

Eligiusz Dymowski • Mirosława Niewińska • Erazm Stefanowski •
Agnieszka Suchowierska • Kazimierz Kondrat • Zofia Olek-Redlarska •
Janina Kozak-Pajkert • Anna Tomczyk • Krystyna Gudel • Irena
Grabowiecka • Irena Słomińska • Joanna Pisarska • Barbara Lachowicz •
Zofia Piłasiewicz • Ida Matysek • Janusz Sowiński • Zofia Metelicka •
Grażyna Cylwik • Regina Świtoń • Joanna Dawidziuk • Ewa Danuta
Stupkiewicz • Marek Dobrowolski • Robert Panek • Grażyna Łapin •
Ryszard Kondratowicz • Kazimierz Słomiński • Andrzej Polakowski •
Apoloniusz Ciołkiewicz • Andrzej Jarosz • Józefa Drozdowska • Roman
Kowalewicz • Regina Kantarska-Koper • Dariusz Wiszowaty • Zbigniew
Głuszcak • Michał Siedlecki • Tomasz Chmielik • Eugeniusz Szulborski •
Mieczysław Wojtasik

EPEA

almanach

Białystok 2009

EPEA

ALMANACH



2009

KSIĄŻNICA PODLASKA IM. ŁUKASZA GÓRNICKIEGO
BIAŁYSTOK 2009

Redaktor naczelny:
Jan Leończuk

Redakcja:
Daniel Znamierowski

Korekta:
Janusz Taranienko



TOM VIII

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca

ISBN 978-83-60368-37-4

Skład i druk:



MARIUSZ ŚLIWOWSKI

15-703 Białystok, ul. Zwycięstwa 26c lok.7

tel. (85) 869-14-87, kom. 0602 766 304

www.prymat.biasoft.net, e-mail: prymat@biasoft.net

Eligiusz Dymowski

Modlitwa zmęczonych oczu

O daj mi Panie jak najprostszą wiarę
bo ta wyuczona
zbyt często staje się kulawą
gdy potrzeba zwykłego świadectwa

o daj mi Panie taką właśnie wiarę
która nadzieję uskrzydli tęsknotą
jak wiosna życie
by mimo słabości
dotknąć skrawka nieba

Zima na Podlasiu

drzewa wystrojone
w białe futra śniegu
stoją dumne przy drogach.

stawy rzeki mokradła
mróz uścisnął za gardła

w domach grube kominki
syczą syte od drzewa

wszystkim zimno dokoła
tylko wiatr uśmiechnięty
kantatę swą śpiewa

Biała Podlaska, luty 2007

Z rozmyślań nad Księgą Życia

Czy aż tyle potrzeba doświadczyć cierpienia
aby zrozumieć czułość gwoździ w Krzyżu

jakże bezcenna wtedy kropla rosy
co na spragnione spada nagle usta

lecz kiedy przyjaciel ze słowem się spóźnia
trudniejsze od zdrady staje się czekanie

bo wszystko może stracić sens w milczeniu
lub zmartwychpowstać gdy się serce daje

Kraków, 17 lutego 2009

Nim staniesz się snem

moje miasto jesienią
płonie kolorami
złota brązu czerwieni i smutku
spaceruje samotnie w parku
pośród starych drzew

wstępując w otchłań mgły
odkrywam deszczowym wzrokiem
że spadające liście
umierają tak samo cicho
jak nasze życie
chore na nostalgię

Biała Podlaska, 10 X 2009

Przyjaciół kot

Mojemu Ojcu w Dniu Imienin

mój kot
o wdzięcznym imieniu Kokaina
wcale nie jest przesądny
spokojnie przechodzi przez drogę
bez potrzeby nie wdrapuje się na drzewa
nie wróży z kart tarota
ani nie układa pasjansów

za to gdy odmawiam brewiarz
jak podłotek zaczepia kolorowe wstążki
a na głos dzwonów na Anioł Pański
rażno ogonem wystukuje rytm o nogi krzesła
przyglądając mi się bacznie
swoimi kocimi oczami

ponadto kocha bardzo marynarki (najbardziej te w
kratę)

gdy zostawiam je na łóżku
zaraz zagląda do każdego rękawa
jakby chciał bawić się w chowanego

wieczorem kiedy zakładam pidżamę
rozpoczyna w transie radości swój szalony taniec
przeczuwając
że już nie będzie sam przez długie godziny

mój kot podobnie jak i ja
nieudolnie wyciąga czasem łapki do nieba
aby prosić swojego pana
o miskę koniecznej stawy
co daje siłę na zwykłą codzienność

i jak tu nie dziękować Bogu
że dał człowiekowi
takie kocie szczęście

Kraków 9 grudnia 2009

Ogrody

powoli rozwiązuję te supły
przeszłości

moje ogrody
choć pilnie strzeżone
porosły chwastami

teraz potrzebuję ciszy
aby znów odnaleźć uśmiech Boga -
w sobie

Mirosława Niewińska

Kobieta od Początku Świata

Czytając wiersz Zbigniewa Jerzyny „Magdalena”

Inanna Matka sumeryjskich kobiet
 ostoja mężczyzn Szczodra Artemida
 Bogini Piętej Góry i Świetlista Isztar
 która bitwom i godom przewodzi
 wychodzi z morskiej piany
 na ziemię Cypriotów
 w ciele Afrodyty ofiaruje miłość
 i miedź (kruszec tajemny)
 a dzisiaj...
 „Magdalena włosami zasłoniła śmierć”
 w jej sercu wieczne dziewictwo
 Córek Ziemi
 Papusza
 życie – Zachowuję
 – Przybywam – Przybywasz
 – i oto od nowa życie
 (sentencja cygańska)
 Przyszła do nas ze Wschodu
 tak jak co dzień Słońce
 (z ptakami rozmawiała
 pod Grodnem Wołyniem)
 na ludzkie dole rozkładała karty
 a czy na swoją rzuciła jarzębinę?
 Cóрка Siostra Matka
 (bez córki bez syna)

Papusza czarny brylant
Muza Apollina
ze świętym ogniem w sercu
bo życie PO-CZYNA
każdy kto życiu wierny

Paryż, 31.07.2008

Wtajemniczenie

(Z Omara Chajjama)

bądź wolny wolnością wiatru
zapomnij zmartwienia
modlitwę powtarzaj jedną
do samego życia
Słów prawdy słuchaj
zna je Sokół i Wilk
upij się jeśli chcesz
i nawet gdybyś kradł
bądź Dobry
i nakarm głodnych

Paryż, 20.04.2008

Nad Narwią

w folderach zdjęcia błyszczą jak makijaż
i posyłają kuszące spojrzenia innym widoków
kielich zapomnienia podaje sprytny
handlarz tradycjami
nijakiej mody przedstawiciel

tutaj w Ziemi radość Kupały
 płynie rzeczulkami Żywia
 do snu kołysze pisklęta
 Duchy Przodków błogosławią ludziom
 białe obrusy na Święta

nad Narwią piękno jest rzeńskie rumiane
 jak szczodre kobiety niemalowane

Paryż, 2008

Erazm Stefanowski

Nie myśl

nie myśl
że jestem Duchem Świętym
nie nabiorę Cię przecież
na złożone dłonie
ani głowę w chmurach

dziś potrzebują Cię
moje kolana
więc
daj mi wiarę
lecz nie wniebowziętą
i nadętą
jak anielska trąbka
a taką zwyczajną
z krzyża zdjętą

Pod krzyżem

nie żartuj
że masz ręce i nogi
że warto stawiać
na rzeczy niewidzialne
że klęcząc widać więcej
że śmierć jest życiowa
a chleb po wsze dni

lepiej przytul mnie
do krzyża
bo choć częściej w Ciebie wierzę
niż ufam
on wciąż
twardo stoi
na chwiejącej się ziemi

Dziękuję

za Twą świętą
do mnie cierpliwość
za to
że Ci na krzyżu
ręce nie opadły
że oczy masz podkrążone
jak wdowie grosze
że nie jesteś relikwią
ani legendą
z brodą długą jak u Piotra
za to
że choć niezmierzony
skryłeś się w moim sercu
a nie w małym palcu

Bez Ciebie

jakże smutno
żyłoby się na ziemi
gdybyś był
gdzieś w niebie

mieszkał między ludźmi
a nie wśród nich

pewnie łaskę byś robił
a nie dawał
przeszkadzałoby Tobie
Ojcie Nasz
i spadający z nieba
śmiertelnie poważni
święci

a ja
nawet nie wiedziałbym
jak smakuje Chrystus
zbity na kwaśne jabłko

i wciąż
pukałbym
w niemalowany konfesjonał

Zamiast modlitwy

/przed obrazem Jezusa Miłosiernego/

choć czuję na plecach
Twój oddech
niebo
to dla mnie wciąż
nieziemsko daleka perspektywa
bo nibyś
po trzykroć jedyny
lecz nie sam
wszechmogący

a nie zaprzesz się siebie
przedwieczny
choć urodzony
umarły
lecz nieśmiertelny

więc jak z Tobą rozmawiać
gdy szepczesz
że dzieli nas tylko język
Ewangelii?

Modlitwa księdza Michała Sopočki

być piegiem
na nosie Faustyny
czekającym na Twój policzek
jak na zmiłowanie

w kościele na Białostoczku
przemknąć przed Twym wzrokiem
nie tracąc gruntu
pod kolanami

uwierzyć
że na ile zaufam
tyle otrzymam
i zamieszkać bez remontu
na Złotej

zobaczyć
Miłosierdzie Boże w dziełach Jego
by wszystko zrozumieć
i nic nie potrafić wyjaśnić

być Apostołem Miłosierdzia
i pamiętać
że
i tak wiesz o mnie swoje
Boże

Ukrzyżowanemu

wygodniej
powiesić Cię
na krzyżu
niż na szyi
to przecież
wyższa półka
wiary
i choć nie ożywi Cię
moja fantazja
pozwalasz patrzeć
na siebie

a ja znów
zasłaniam oczy
byś nie poznał
że nie mam twarzy

Liryk zimowy

nie mów
że to tylko śnieg
że już nie czas na motyle
jeśli tak zazdrośnie patrzysz
na zmięte prześcieradła
obłoków

one nie znają oddechu
który unosi sukienki
nie czerwienieją
od pocałunków
słońca
nie potykają się
o gęsią skórę gwiazd

i nie stawaj na rzęsach
by dostrzec
jak na kosmyku mych włosów
rozhuśtał się anioł
w ślubnej sukience
i sypie z rękawa
rumiankami

przecież
i tak zobaczysz
tylko śnieg

Agnieszka Suchowierska

* * *

przydarzyły się trzy historie
jedna w mojej głowie
druga w twojej głowie
a trzecia naprawdę

myślałam że moja jest prawdziwa
i była
aż jej wiatr nie zdmuchnął

* * *

ironia to dobry środek znieczulający
pomaga także na dystans
przykrywa zimną kołderką ciepłe jeszcze rany
posypuje szczyptą słonego uśmiechu
jest mądrzejsza od nas dzisiejszych
a głupsza od nas jutrzejszych

* * *

każdy wiersz
to prawda
jak może być tyle prawd
o jednym liściu?

* * *

nie warto mieć żalu do nikogo
z sobą włącznie
każdy próbuje być szczęśliwy
czasem za zbyt wszelką cenę
jak umie
w bezwinie jednak każdy płaci
co jest do zapłacenia

* * *

wyraźnie czuję
przez te pięć centymetrów powietrza
puls w czubkach naszych palców
które niezdecydowane
pytają gdzie iść
szczerze od nas

* * *

skrzywdziłam niechący
mimoходом potrafiłam
przypadkiem nastąpiłam
patrzyłam w inną stronę
myślałam o czymś pięknym
twój ból tego nie zmieni
a moje sumienie
zdziwione i niezdecydowane



* * *

twoich oczu
jak ranne zwierzę w klatce
nie ocalę
chyba że ty sam

moich oczu
jak ćma w ciemnym pudełku
nie ocalisz
chyba że ja sama

wleczmy swą wolność
na urwanych postronkach

* * *

nie wiadomo nawet
czy jutro spadnie śnieg
kogo będzie bolała głowa
kto minie mnie na ulicy
nie wiadomo nic
a co dziś wiadomo
jutro niknie bez ostrzeżenia
albo siedzi na swoim miejscu
szelmowsko uśmiechnięte
co by tu zrobić, co by tu zrobić?
nie wiadomo nawet
czy w ogóle coś zrobić

Truskawka

taka jędrniutka
i czerwoniutka
taka piękniutka.
trzymam, obracam,
wącham, nadgryzam,
czuję jej smak.
trzymam go w buzi
znika na zawsze.

druga truskawka
tak idealna
już czuję strach.
trzymam ją dłużej,
dłużej dotykam
i dłużej znika.

trzecią truskawkę
zapobiegawczo
trzymam w słoiku
wącham i nie jem
czwartej nie wącham
piątej nie zrywam

a szósta dla mnie robi wyjątek
śmieje się z krzaka
na zawsze moja.

kiedy wszystko uśrednimy
wyrównamy, wygładzimy
w statystykę zamienimy
i przymusem ozdobimy
może nie zostanie nic
tylko prawidłowy pic

miłość musi być natchniona wolna
co dzień bardziej dobrowolna

Kazimierz Kondrat

Zielona pani i kot

Z Zielonym Kotem pod rękę
Idzie Zielona Pani
Zieloną mruczy piosenkę
Zielony Kot wsparty na niej
Ona szalonym wzrokiem
Roztacza szalone wdzięki
Więc idą szalonym krokiem
W Zieleni Kociej piosenki
Nadzieja biegnie przed nimi
Na drzewach pąki otwiera
Pachnie kwiatami świeżymi młodość
Gdy noc obumiera
Tak idą szaleni w sobie
W Zieleni wiosny dojrzali
Słońce nad nimi jak owoc
Prowadzi ich do przystani
Gdzie jest ta przystań? – zapytasz
Pytanie brzmi dość trywialnie
Gdy do niej dojdiesz w zachwycie
Możesz się poczuć banalnie

Ciocia Ola i kot Olik

Raz byłem w Gościnie pod Grodnem
 U Cioci Oli
 Powitał mnie chlebem i solą
 Jej Kotek Tolik
 Zaciągnął mnie zaraz do środka
 Bym nie stał jak grzyb na schodkach
 Bym usiadł wygodnie
 I golił, i golił, i golił!
 Szklaneczki zostały wyjęte
 Rozdane już były prezenty
 Świeżynką pachniało rzęsiście jak ułał
 Muzyka też poszła na całość
 By ucho ją dobrze słyszało
 By każdy kto żywy
 Zagulał, zagulał, zagulał!
 Gaworki pęczniały do krzyku
 A swoich było bez liku
 Niczego nie brakło więc każdy chłonał swą pulę
 Toasty wysoko wzniesione
 Wzmocnione trzecim galonem
 Za Olę, za Tolka, za Tolka, za Olę, za Zulę
 Gościna przetrwała do rania
 A z rania aż do wieczora
 I nikt nikogo nie dręczył, nie pytał
 „Kakaja u ciebia pora?”
 Wieczorem się wszyscy rozeszli
 Kot Tolik z Olą posprzątał
 I było pięknie jak przedtem
 We wszystkich gościnnych kątach
 Gdzie znajdziesz taką gościnność
 Na zgniłym globalnym Zachodzie
 Gdzie spotkasz zwykłą uczynność

W domu, w parku, w gospodzie
 Żyjemy w świecie pieniądza
 Bitego na ludzkiej nędzy
 Do Wschodu nie czas już dążyć
 Bo gonią nas prędej i prędej
 Z tego powstaje bryndza
 Uczenie zwana kryzysem
 To strzała zatruta szmałem
 Śmiertelnie raniąca Parysa

Pragnienie jarzębiny

Może mnie zerwiesz
 Czerwoną, dojrzałą, soczystą
 Zapleciesz warkocz koralu
 Ognistą przeciągniesz nić zespolenia
 Na stole położysz ubraną
 Ustami krzykniesz podano!
 Jesienną niewiastę we śnie uwodzenia

Obudzisz we mnie namiętność czerwoną, soczystą
 Słowa biegnące ulicą, dojrzałe
 I cierpki zapach na parę chwil dżdżystych
 Nocą za krótki, za długi w dniu małym

Opowiem tobie sny upojone czerwienią
 Smagane wiatrem, mgławicą, olśnienia
 Przybiegnie królik bawiący się ze mną
 Wypowie słowo, i wszystko się zmieni

Kwaciarka

Jak długo Pani tu czeka?
 Nieważne!
 Kwiaty czekają ze mną uważnie
 Przechodnie idą, patrzą, odchodzą
 Zajęci sobą, swoją urodą

Czekam jesienią, wiosną i latem
 Nie liczę czasu cierpliwym dniom
 Patrzę na ludzi pędzących miastem
 Niesionych chwilą wyrwaną snom

Czekam z nadzieją barw i zapachów
 Na oczy tknięte blaskiem, i smak
 Taki najprostszy, z poczuciem braku
 W objęciach nocy kojący wiatr

To nieistotne, że Pan mnie pyta
 Ktoś musi czekać, by inny szedł
 Nie tylko w kwiatach myśl jest ukryta
 Nie tylko oczy spowija sen

Bez końca

Tak trudno jest przejść jesienią
 Przez płot zamglony
 Tak trudno zjeść rzodkiewkę
 Wypartą melonem
 Nałożyć buciki płytkie
 Spódniczkę do kolan
 Zatrzymać dzień
 Słoneczko przyłożyć do ran

Tak trudno iść beztrosko
Z dziewczyną po plaży
We włosach kiść
Gorący od róży marzeń
Tak trudno pić
Napój soczysty, nagi
Tak trudno być
Pieszczotą promiennych wrażeń

Ozdobna nić
Zaplata warkocz koralu
Jesienny liść
Ogień w sercu rozpali
Powróci myśl
Rozgrzana potokiem Słońca
Jesień to my
A wiosna jesienią bez końca

Nie czekaj

Nie czekaj na jesień
Przyjdzie kolorowa
Wiatrem zadzwoni w oknie
Melancholią deszcz

Nie czekaj przyniesie
Dłoń zerwany w rowach
Bukiet pachnący miodem
Opęchniały rosą dreszcz

Nie czekaj na słowa
Ukryte w mokrej trawie
Na rękę wyciągniętą dnia
Owiniętą mgłą

Nie czekaj w tych słowach
Jesienna słów rozmowa
Złotem przetykana

Bard

(Wspomnienie o Piotрку Bielasio)

Odleciał bard w krainę pieśni
Był życia wart, odszedł za wcześnie
Śpiewał i grał w słońcu, księżycu
Niewiele miał, perełki życia
Wierna gitara strofami w tysiąc
Siadał byle gdzie, rozpraszał nicość
Z serca, z pamięci rozdawał światy
Dla tych w rynsztoku i pod krawatem
Nie żądał grosza, marne trzy piwka
Przy okowitce jak mag rozkwitał
Charyzmą, stylem ciągnął jak magnez
Pochodnia mocy czysta jak jagnię
Odleciał światem, w ramionach słońca
Zmęczony życiem, śpiewem bez końca
Dusza potężna, zbyt wielka w ciele
Nie nadążało, za dużo wcieleń
Cóż Panie Piotrze, kolego śliczny
Płaciłeś życiem swój dług liryczny
Czy to rozrzutność, czy magia trwania?
W wieczności będziesz ikoną grania

Zofia Olek-Redlarska

Jesteś

Jesteś

błękitną
wstążką

opodal kamienia.

Jesteś powiewem wiatru
związanym pod szyją,
warstwą cichego mchu,
brzozą, sarną,
białą pierzyną śniegu
na pierwiosnkach,
zapamiętaniem,
powrotem,
zapomnieniem,
zachodem i wschodem,
westchnieniem

Jesteś Matką.

Ten mały...

Nie słyszał
 gdy liść
 upadł
 w studnię
 gdy bąk przemykał za osą
 gdy wiatr bił się
 z bólem
 a ten odpływał bezgłośnie oceanem
 do Przylądka Nadziei
 i wiatr wplątał się we włosy
 gryzł serce ciepły deszcz
 z nadzieją
 na ptasi śpiew

I jeszcze o nim

Zdaje się, że imię swoje pamiętał
 uśmiechał się do wszystkich
 i do Ciebie
 na stopach miał dwa lewe kapcie
 i z tym mu było do twarzy
 rano i wieczorem
 zmieniał się w pająka
 a w dzień
 lubił wszystkim chorym
 roznosić zupę,
 gdy jedli, cieszył się
 po czubki palców.
 A pamiętasz jak
 było z tą zabawą
 w pająka,

zdaje się,
 że wszedł na strych
 i na swojej pajęczynie usechł
 z tęsknoty za życiem

Z daleka

A dzieci przyjdą
 do nas...

w sierści królika,
 w przebaczeniu,
 w maku garstce,
 w milczeniu,
 w piasku
 i na bosaka
 i w podmuchu
 wiatru
 z babim latem
 i w bańce mydlanej,

w okrusku chleba
 w obłoku, pod jodłą,
 która pachnie, w ciepłym, robionym
 na drutach sweterku
 z wełny owczej,

w górach
 w oczach naszych
 skaleczonych porankiem

Napiją się z nami mleka...
 Czy mnie słuchasz?
 A dzieci... przyjdą... do nas
 z daleka

Sen z porcelany

Nie wiedziałem,
 że umiem
 pisać listy
 o mgle,
 powrotach,
 drobnych kamieniach
 pod szklanką wody
 tak jasnej,
 jak dym papierosa
 na przystanku
 do nieba

Postawiłem wazę
 - jest z porcelany snu -

Janina Kozak-Pajkert

Dedykacja Pielgrzymowi

Rozpacz
to kołek wbity w tętno szyi,
cisza tak pusta,
że słowa „r” tracą
piasek nie skrzypi,
gdy słońce z Tobą
nie wypije kawy
noc się rozpostrze nagła,
bo drzewa rzucą się na ziemię,
tracąc chlorofil, cień i oddech.

Ręce też cierpią
jakby sznurek sparcił,
co wiąże ciało ściegami
pod skórą...

Tylko gdzieś skrzą się
śnieżynki białe
takiego rysunku,
że Bóg się cieszy
a poeta WIDZI

Odpoczynek

Odpocznij Cyprianie,
Zanurz swoje stopy
w chłodnej wodzie.

Świat jest Ci winien
nie tylko szczęśliwą
wilgoć.

Idziesz
jak wierny dobosz.
Podsuwasz tęskniące słowa,
przy których myślniki
mają lonty do zapomnienia
albo są klawiszami
spod palców Chopina.

Gdzie cię pogrzebią

Gdzie cię pogrzebią
poeto?

Na półce w glinianej urnie,
aż prochy wytchną
duszący swąd przemijania?

Między stosami książek
obok ślubnego portretu,
z którego wnukowie zrobią
wózek dla lalki Barbi?

Może na wzgórzu
w dobrotliwych brzozach,
żeby wiatr drażnił,
nawet pośmiertnie, twoją hardość?

Gdzie?

Anna Tomczyk

Poezja

Stary człowiek
mieszka piętro wyżej
do sklepu mu dalej
do nieba ma bliżej.

Swoje przeszedł
z trudem chodzi
słuch mu czasem
już zawodzi.

Drepcze sobie
na lasce oparty
lecz oczy ma bystre
i umysł otwarty.

W parku każde drzewo
zna go osobiście
po imieniu szepczą mu
jesienne liście.

Ból stary przyjaciel
wciąż mu towarzyszy
lecz uśmiech ma na twarzy
bo śmiech aniołów słyszy.

Mühlacker, 4.9.2009

Siedzę w ogrodzie
zamiast coś robić
mogę być
żyć skrzydłem
motyla
chwila
dojrzeć
w zamszowej sukience
brzoskwini.

Czy trawa
zna prawa?
Rośnie nie pytając
susa na krawężnik dając.

Cel więziennych
mur przebija
w zieloną szatę
czas owija.

Choć kosiarka gilotyna
nastaje na życie jej córki, syna
trawa bezprawia
się nie obawia.

Pod pozorem
utruty głowy
korzeń pod ziemią
jest wciąż zdrowy

i żdźbło nadziei
z głębi zdarzeń
pnie się w górę
pełne marzeń.

* * *

Słonecznik
kiwa głową
bo ma co roku
nową.

Raz na tak
raz na nie
raz owak
kiwa się.

Planować nic nie musi
władza go nie kusi,
więc żyje sobie z całych sił
jakby słonecznikiem był!

* * *

Wychodzę z domu
jak ze starych przyzwyczajęń,
wyprowadzam na spacer
zmęczone myśli
aż zaczną merdać ogonem
skakać po łące
i biegać do horyzontu..

* * *

Wszystko już
powiedziane
przez tysiące lat
spisane
rymowane
przemyślane
przeczytane
Stop!
Być może
na to i owo
trzeba spojrzeć
wciąż na nowo.

Tak jak słońce
co dzień wstaje
i wciąż świeże
światło daje
miliardy razy ludzi budzi
i nigdy mu się to nie nudzi.

Mühlacker, 30.8.2009

Krystyna Gudel

Dym

jak przewodnik
na nieznanej drodze
określał czas
z subtelnością
rozdając smak

niezwykły intrygant
i chwilowy gość
który nigdy
nie wraca

w mroźny poranek
prosty
jak płomień świecy

w jesienny wieczór
jak welon
panny młodej
z cieniem wątpliwości

czasem żal
tamtych kształtów
i obrazów
i domu bez dymu

Budzi się las

przez ażurowe zasłony
uparcie zagłada

budzą się sny

białokore madonny
jak trzy Maryje
zastygłe w zadziwieniu

korzenne wonie
przelały kielich nocy

rozwieszone muśliny
niczym porzucony całun

pierwsze trele
w tonacji dur

i tylko puchacz
spóźnia się o trochę

na dziękczynienie

za wczoraj

* * *

wstrzemięźliwość
w rozdawaniu uczuć
pęczniała
jak dojrzewające wiśnie

wiatr
śpiewał i klaskał

pod paznokciami
piasek

przesypywała go palcami
leżąc na barwnym
kocu a właściwie
na piasku

bała się dotyku
jego ust gorących
jak sierpniowe słońce

pragnienie nabrzmiało
i trysło
jak sok z przejrzałych
wiśni

* * *

nieokiełznana moc
napręża się i wzdyma
potargane grzywy
nieujarzmionych wierzchowców

historie zaklęte w siłę
dryfują na horyzoncie
z przerażeniem umykając
rozpędzonym tabunom

jak rozbitkowie
drżą skłębione myśli
na styku morza i skał

Wolontariusz i staruszka

chwytając w dłonie
odwagę
dotyka
kościstych ramion
starcze zdziwaczenie
opiera się cierpliwości

w młodych oczach
troskliwość
na wpół z litością
i determinacją

jak uciszyć usta
bezludnie
prowadzące monolog
(zagłuszające celebranta)
jak uspokoić dłonie
bezwiednie błędzące
wokół własnego ciała

czy jutro
otworzy drzwi
dla kruchości chwil

Jasna Góra, 23 sierpnia 2009 r.

Irena Grabowiecka

* * *

Ponad mądrością myśl prosta
ponad myślą tętno serca
ponad małością
doskonałość prostoty słów
wielkość szarego bytowania

a między nami
bezkres

* * *

Spotkałam cię na perci
mozolnie dreptałeś po głazach
za tobą szły w szarość inne
zwielokrotniały kropki
na pancerzu lat
poczerwieniało pod błękitem
biedronko

* * *

Nince i Zdzichowi

I znowu jestem z Wami
w cieniu starych drzew
w szumie wiatru
w blasku wieczoru

I znowu płyną dobre słowa
drży serce
zakwitają myśli
pachnie latem
płyną wspomnienia wirują obrazy
a słowa zanurzają się w milczeniu

I znowu jestem z Wami

* * *

Na chechlańskim zalewie łopot żagli
w wodzie nieba zwierciadło
spokój zamglenie plusk
idę w ciszę chrzęści piasek
a drzewa płyną w czas

Milczenie...

* * *

Milczenie matek znaczone troskami
drzew milczenie – zapowiedzią burz

a w ciszy nocy ważenie czynów
ile słów dobrych i miłości
ile ciepła i wyrozumiałości trzeba
by być najprostszym z prostych

* * *

Nad Czerną księżyc krzyż i
taniec aniołów
w poświęceniu nocy cisza
czeka na muzykę dzwonów
na szmery źródeł
na zieleń

* * *

Aniele stróżu mojego wiersza
użycz mi skrzydeł lotnych
wzniosę się ku twym błękitom
łaską gór i pięknem uśmiechu
będę

Ty tylko bądź...

Irena Słomińska

Z dzieciństwa

taka zimna woda
takie zimne przeznaczenie
i zimne stopy

i taka szlachetność
tej rzeki wykutej
z kryształu

taka wiotka rybka
w rwącym nurcie
kryształ ożył –
małe
zmartwychwstanie

taka niedojrzałość
u stóp
tej rzeki

Spokój

gwiazdeczko
na nieboskłonie

minęła pora
spadających gwiazd

i tak mi ciepło
i tak mi dobrze

i nic się nie stanie
i nic nie zakłóci
porządku

i po nic pójdę
i znam się na niczym
i zbuduję z niczego
swój świat

zasiedlę go
nicpotem
gołębie

możesz wierzyć
że z gałązką oliwną
w dziobku

* * *

miód gryczany
pierwszy miód gryczany
na wysokości kuchennej
szafki
w szklance

pamięć
gryki
białych kwiatuszków
które rozsnuły sieć
zapachu

i od pszczoł rojno plonnych*
i od pszczoł
niebezpiecznie
nad polem

tak wieczność się styka
z chwilą

z chwil układaliśmy
mozaikę
smak
życia

* * *

ta szafa
otwierała mi się na nieznane
światy światów
nie jak w Narni
ścieżynkę
mitu

w tej szafie
istniała czarna dziura
zasysająca
niepojęte

* plonny – neologizm od słowa *plon*.

to z czym zdarzyło mi się żyć
tam się dookreślało
parametry nieba

i byli tam wszyscy bliscy
i wszyscy mieli
określone ścieżki
jak ruchy planet

nieznany mi z dotyku wszechświat
ze światłem
jak latarnia

otwierałam tę szafę gdy
samotność przytłaczająca
ściemniała mój świat

i kiedyś
powrócę do niej
na zawsze

Gdzie miejsce na szarość

wiewiórka ruda smużka przesmyrgnęła
z drzewa na drzewo las żyje
podskórnym życiem gdzieś niewidoczny
przemknął lis a sarny
prężą się w całym swoim dzikim pięknie

to las o którym marzysz życie
takie bujne choć bezlitosne ale życie
przemierzasz szlak z kuchni do przedpokoju
i z powrotem a nawet mucha nie zabrzęczy

i tylko wyobraźnia kłamie krajobrazy
takie piękne słońce jest bardziej promieniste
las bardziej wolny śnieg skrzy się boleśnie

gdzie miejsce na szarość

* * *

wilgoć znaczy plamy na ścianach
zaniedbanych domów
skrzypiące schody krzyczą
klębuszek pod schodami
stareńki pies
na zębach wydzwania
symfonię

ludzie w domach
zjedzonych przez korniki
zapalają duszę
domu
pękaty piec
ciepło jak dobrze

czasem przychodzą jak liście
jesienne
pojedyncze listy
od kogoś kto ukochał
na dobre i złe

i dzień się staje
piękniejszy
na długo

* * *

dam ci prezent pod choinkę
nie byle jaki
mój szczęśliwy los

przyszło nim się dzielić
na dobre i złe

obwiązany wstążeczką
w kolorowym papierku
i cóż że pustka

ty zrozumiesz
daję ci na zawsze
wyzbywając się nadziei

dałabym ci dobro
gdyby nie było takie podejrzone

dałabym ci przedmiot
gdyby nie przemijał w naszym sercu

Joanna Pisarska

Spacer w słońcu

na krawędzi morza
próbuję dogonić twoje ślady
które chowają się przede mną

słońce białe i skośne
łśni w muślinie piany
i zakładkach fal

chyba idę już tak od stu lat

gdybyś się teraz obejrzał
nie poznałabym cię

kroki stają się coraz dłuższe
i coraz szybciej znikają

ty także znikasz
w rozgrzanym powietrzu

a może
nie ma nas tu
wcale

Szeptem

nie śpij jeszcze

noc taka ciepła
próbuje zbliżyć nas
ku sobie

okruchy wspomnień
zlatują się ku światłu

nasze dwie historie
przez chwilę piszą się razem

posłuchaj szmeru świerszcza

gdziekolwiek jesteś
mój szept przyjdzie do ciebie

zanim zaśniesz

Ostatnia rozmowa

spotkaliśmy się jeszcze raz

w symfonii zieleni
twoje i moje stopy biegły pod górę
wiedzione delikatnym
tremolo intuicji

wśród ciepłych tonów
przekomarzań
żarliwe adagio
niedopowiedzianego uczucia

pożegnalny uśmiech
batuta zawieszona przez chwilę
powstrzymuje napięcie
wyczekiwanego akordu

dłonie spotykają się zwyczajnie
może tylko odrobinę dłużej
dyskretne arpeggio rozsypuje się
zamiast żegnaj

już każde w swoją stronę
z ociągającymi się wciąż jeszcze oczyma

one rezygnują
ostatnie

* * *

tyle jeszcze nie odkrytego
pomiędzy nami
jakaś woda głęboka
rozległa
fala muska dłonie
oblewa stopy
zmywa duszę jak lustro
przezroczyste i ciemne

tyle jeszcze nienazwanego
w naszych słowach
jakaś muzyka pod niebem
każdy szept gra koncert
delikatne allegro
płyń lasem
oplątuje czoło
drażni serce i boli

tyle jeszcze nieuchwytnego
w naszych oczach
jakiś taniec na plaży
grecki i dziki
oddech gorący w słońcu
miesza się z wiatrem
w ubraniach i ciałach
zmienionych w jedno

* * *

dotknij raz jeszcze moich włosów
w skry światła wpleć bukiet jarzębiny
zaczaj to światło
aż do sytości

dotknij uśmiechu bez cieni
ostatniego świtu przed podróżą
wchłoń go w siebie
zanim zgaśnie

powiedz że wszystko jest jeszcze możliwe
że tylko chwila i znów będziemy razem
w naszym lesie
pełnym nieba i ptaków

dotknij raz jeszcze moich włosów
zanim rozsypią się bladym popiołem
bez szelestu skrzydeł
i bez jutrzeńki

Barbara Lachowicz

Między przybytkiem a ołtarzem
Jeruzalem niebieskie
Miasto święte – miasto pokoju
A domy ze słów miłosiernych

Człowiek zgiął kolana
W Imię Pańskie
Modlitwy przechwyciła cisza

Ważą się losy myśli

I ja je oswajam – wołam po imieniu
Sprowadzam z pastwisk poezji

Prorok rysuje dla nich bramę
Jak ucho igielne

2008-05-30

W nitkach babiego lata
Promyczek ostatni śni ciepłutko
Słońce w czerwieniach
Zmierza na wieczerzę

A ktoś – jak cień
Lub ptak co stracił skrzydła
Piechotą za horyzont
Ciężko

Jakby dotąd się nie radował
Albo to było dawno

* * *

Na wyciągnięcie ręki – dojrzałość
Jesieni godna

Minuta po minucie – w sen
Nieunikniony

Klepsydra rosą zbiega
Po gałęziach nagich – chłodnych

Słowa słów dotykają w locie
A dłonie zamknięte
Ubogie takie i niegościnne

Dlaczego dlaczego dlaczego

A słowa takie niedobrane
Nie łączą się w pary w rodziny
W zdania
W idee się nie łączą

Tylko wysypisko słów
Zmoczonych listopadem
Liści nie wysłanych do tych co czekają

Zofia Piłasiewicz

Wileńska impresja

Poranek!
Budzi się
Miasto aniołów i poetów,
Utkane z barokowego snu.

Nad symfonią kościołów, klasztorów,
Cerkwi i synagog,
Przesiąknięte woalem mgły,
Unoszą się do nieba modlitwy.

Te małe i duże.
Te, którym tak ciężko oderwać się od ziemi
I te, niczym płatki dmuchawca - wdzięczne i czyste,
Szybują świetlistą smugą nad dachami.
Zawadzają o niedomknięte okiennice.

Może ktoś je zdąży schwytać,
Nim rozplyną się w obłokach, wyschną w słońcu,
Czy utkną w gałęziach zaczarowanych drzew.

Drzewa znają wszystkie tajemnice miasta.
Ich cienie odgrywają misteria na murach klasztorów,
A w cmentarnych gałęziach odpoczywają anioły
Wilna.

Skwarnym południem,
 Uliczkami i zaułkami
 Wszyscy święci wędrują do nieba,
 A zakochani, trzymając się czule za ręce,
 Znajdują schronienie w zagubionych
 Dziedzińcach, podwórkach i bramach.

Tu mity przeplatają się z historią
 A pamięć z przyszłością.

Jedenastoletni chłopiec
 Ściąga koszulę,
 by rozpędzonymi piętami wskoczyć
 w chłodny nurt Wilii.

Notatka z podróży do Portugalii

Pociąg odjeżdża o 19.00

Siedzimy na pustym peronie,
 Jedynym w tej okolicy.

Przez otwarte okno szyn
 Rozpychają się marzenia
 O kolorowym świecie.

Za nami czerwone dachówki
 Obidosz,
 Stukot samotnych kroków
 Po bruku
 I młoda sprzedawczyni,
 Co tęsknym uśmiechem
 Czule barwi gliniane miski,

Jakby zrobione były
Z najcenniejszej materii.

Pociąg odjeżdża o 19.00

Z wymiętego plecaka wyciągasz butelkę
taniego wina
Najdoskonalszego wina na świecie.
Dzisiaj są Twoje urodziny.
Siedzimy na peronie,
Jedyni podróżni tego wieczoru.

Niebieskie *azulejos*
W ciemnościach gubi kształty.
Rozsypały się postacie
Przekupek, wojowników, budowniczych
I tych niosących księgi.
Zostaliśmy tylko my.
Dwoje przypadkowych rozbitków
I tanie wino.
Najwykwintniejsze wino na świecie.
I cichy chrobot kota na dachu przybudówki,
I cykady,
I stacyjka biedna jak rozczarowanie
Wszystkich marzeń odjeżdżających
Pociągiem do kolorowego świata.
A nam,
Jedynym podróżnym tego wieczoru,
Zostaje wspomnienie,
Jak kolorowy motyl, przyszpilone na zawsze do
tablicy
I smak taniego wina na koniuszku języka
- najdoskonalszego wina na świecie.

Ida Matysek

* * *

Anioły bez usterek,
 Bez skaz ani dziur,
 Ze skórą bladą gładką,
 Zstępują spośród chmur.
 Nie węszą i nie słyszą,
 Bez uszu i nosa,
 Bez ust nie mogą mówić,
 A słowa z ukosa
 Spadają, wpelzają,
 Wskakują, wdzierają
 Do mózgu i mamia,
 I mamia, i mamia,
 I każą nam myśleć
 Jak same wymyślą
 Zrzucając z chmur na Ziemię
 Swe wyrodne plemię.

* * *

bambawolą armatele
 burabanią same loty
 piszczu wiszczu żliza ludzi
 rozrabują wleszkie wanki
 pitpirity papataki
 zapistrzelą K. Rabinow
 bija buzia hup na tuzia
 z Asrem kawem wycyngolą

zastra husta prorok musztra
maszterują płomień rostop
myślif akty tuman fatum
poczek enda koniec rzęda

Zamiast atramentu nocy
- Niebo jak różowy świt
Gdzie są gwiazdy? Gdzie planety?
Światła miast zabrały je.

Wszechmogące jupitery
Zawłaszczyły sobie noc
Gdzie wieczory romantyczne?
Nałożyły z blasku koc.

Snów głębokich i z przeszłości
- Dziejów jutra nie zna nikt.
Gdzie się podział stary księżyc?
Panem jest żarówek świt.

Nas uniosło oświecenie?
Raczej pochłonoło światło.
Jutro - w dali - będzie ciemne
Póki od nas bije blask.

Niewidzialne widzialne
Gdy się odwrócę
- świat za mną znika
Gdy zamknę oczy
- wciąż trwa i trwa

Na powiekach rozświetla
 Się wyobraźni obrazem
 To, co pamiętam
 I to, co mózg doda
 Na powiekach to wszystko,
 Lecz rzęsami ucieka
 Przez te małe luki
 Też możesz zobaczyć,
 To, co ja widzę,
 Kiedy ty nie patrzysz...

Barany

Tamci ludzie – czarne owce –
 Na białej kartki tle.

A ich ręce – połączone –
 Za postronki łapią się.

A ich nogi – jak kopyta –
 Zbijają i ratują się.

A ich włosy – sfilcowane –
 Jak futro zaniedbane.

A ich głosy – niby dzwonki –
 Zakłócają ciszę swą.

A ich myśli – zbaraniałe –
 Tylko pokarm, woda, dom.

Tamci ludzie – to zwierzęta –
 Dziksi niż prawdziwe.

Modlitwa

Z białymi skrzydłami,
Złotymi słowami,
Dwa anioły klęczą
Pod malowaną tęczę

Z dłońmi złożonymi,
Nogi skrzyżowanymi,
Po cichu cisza szepcą
Pod malowaną tęczę

Poruszają ustami,
Przemawiają sercami,
Smutną radość tańczą
Pod malowaną tęczę

Tańczą szeptami,
Duszy słowami
I tylko Boga męczą
Pod malowaną tęczę

Tajemnice

Jak zrozumieć ludzi,
Którzy zwariowali?

Jak ujarzmić mięśnie,
Które są ze stali?

Jak odczuwać zmysły,
Które za nas czują?

Jak usłyszeć język,
Którym już nie mówią?

Jak wymówić bajki
Które są nieznane?

Jak usłyszeć myśli
Niewypowiedziane?

Gdy dożyjesz śmierci
Bez skończenia życia
Może uda ci się
Odkryć prawdy bycia...

Warriors

Mój mózg zwariorował
Zironiał na wspak
Zmiędzyleżał półkule
Zarozkładał na hak

Myśli wiatropędzą
Bezsensują ni siak
Zakatuszą grubością
Główkomaki na mak

I oczouch, smakowęch
Lubochichry a jak
Wariorują ze sobą
Japodoba się tak

Janusz Sowiński

Ojciec

Skurczył się
Garbu lat nie widać
Tylko siatka skóry
I bruzdy czasu
Wykreślają mapę
Jego twarzy

Ręce pokręcone
Jak korzenie

Żelazne buty wieku
Na zawiasach kolan
Zgrzytają i trzeszczą
Słysząc szuranie
Ślimaczych kroków
I stukot laski

Oczy w denkach szkieł
Łzawią kroplami soli

Na własnych plecach przenosi
Stary wiek w nowy

Dni odchodzą

Dni odchodzą z myślami
 Za granicę słów
 Cóż znaczą dźwięki
 Szeptane przez usta
 Ptakiem myśli odlecą
 Zapłonie uśmiech
 Wspomnień i marzeń

Nie znają granic
 Wymyślone obrazy
 W lustrach oczu
 W drganiu warg
 Za słowem tęsknią
 Samotne słowa
 Światłem przenika
 Iskra dobroci

Jeszcze dzień mruga
 Rzęsami przeznaczeń
 Chwila trzepocząc
 Drżeniem przenika
 Słowa zapłoną znów
 Ogniem otworzą
 Warg litanie

Nie gaś

Nie gaś dźwięków
Ukrytych w cieniu
Bezpłodnym słowem

Drzewa świecą nagością
Gdy odchodzi nieczuła
W zapomnienie

Świat ginie
Zagrożony mrokiem
Wygaśniętych myśli

Najpierw

Najpierw rozbudzisz
Noc uśpioną
Jak rzeka Netta

Najpierw rozjaśnisz
Zastaną północ
Sercem człowieka

I łagodnością
Zaczniesz rozplatać
Łańcuch niemocy

Ażeby potem
Przyptywu falą
Otworzyć oczy

Jest taki dom

Jest taki dom
 W którym drzwi
 Nie mają zamków
 Gdzie można
 Odnaleźć siebie
 Osuszyć łzy samotności
 Uspokoić serce
 Zamienić się
 W dźwięk muzyki
 Zapomnieć

Jest taki dom
 W którym czas
 Zatrzymał się
 A zegary
 Nie mają wskazówek
 Gdzie króluje
 Serdeczność słowa

Zofia Metelicka

Lecą cicho kartki z kalendarza

Lecą cicho kartki z kalendarza
 Jak szum dalekich fal
 Dnie, miesiące i lata
 Ulatują w nieznaną dal.

Przyszłość zamknięta jest kartą
 Nie wiemy co czeka nas
 Czy będzie on miły sercu
 Ten szybko płynący czas.

Czy pozostawi nam miłe wspomnienia
 Które nam kiedyś serca ogrzeją
 A smutek szarych, samotnych dni
 Jak mgłę jesienną rozwieją.

28.08.2007 r.

Ojciec Święty

Kochany Ojciec Święty
 Synu naszej Ojczyzny
 Tej ziemi krzyżami usianej
 Gdzie pozostały niewoli blizny

Kochałeś ją sercem całym
 Wiernie służyłeś potrzebie
 Dlatego my naród polski
 Tak bardzo kochamy Ciebie

Pragnąłeś by tylko miłość
 Zawsze rządziła światem
 A każdy człowiek
 Był człowiekowi bratem

Błogosław naszej Ojczyźnie
 Ześlij pokój dla świata
 I niechaj z Twoim Imieniem
 Spokojnie płyną lata

Kapliczka przy polnej drodze

Stara kapliczka przy polnej drodze
 Maleńka lampka twarz Chrystusa złoci
 Tyle w niej bólu i smutku nad światem
 Tyle nadziei i ludzkiej dobroci

Tutaj przed świętym Chrystusa obliczem
 Możesz swe skargi i prośby zanosić
 O twoją łaskę i przebaczenie
 O miłość nad sobą i światem prosić

O każdy dzień i każdą chwilę
 Bo z tego składa się życie człowieka
 O spokój o pojednanie wśród ludzi
 Świat z utęsknieniem na łaskę twą czeka.

Grażyna Cylwik

Pejzaże domu

Jutrzenka wstaje
Z koszem obietnic
Budzi bóstwa domowe
Na poduszkach

Spada zasłona nocy
Dwie splecione trzciny
W liliach skąpane
malują obraz marzeń

Nadzieja czeka
Z parasolem szczęścia
Na firance motyl
Aksamitne skrzydła
Rozpina w słońcu

Kafarnaum

Stoi na gruzach
czasu
Miasto pocieszenia

Pamięta Pana
Rybaka - łowcę dusz

* * *

Ziemia Święta
niczyja
Pora na czas wyboru

Kto jest z nią
A kto przeciw
Pan rozumie
sumienie

Rękę poda każdemu

Nie chce świata
dla siebie

Życie daje kierunek
Oczy zwraca ku ziemi

Ks. Jerzemu Popiełuszko

Krzyż twój jest bramą moją
Świat przechodzi przez te drzwi
Patrzy na dom rodzinny
Okryty miłością
Jak zrębem czasu

Twój duch wiarą i nadzieją
Na lepsze jutro
Odradza świat

Niebo spadło nam na głowę

Modłę się bez lęku
Z ufnością
Bez odwetu i przemocy
Przy krzyżu i przez krzyż
Do zmartwychwstania

Łagiewniki

Boże
W rozwianych włosach wiatru
Odnajduję Ciebie
Blask ducha miłości
Opasuje ziemię
Odradza mnie z popiołu
Zdrój miłosierdzia
„Miłość moja utonęła w Tobie”
„Przystań duchowej mocy”
Stoi pod żaglem prawdy
Ufam

Regina Świtoń

* * *

kraina pełna zadziwień
Podlasie
gdzie historia miejsc
dotyka ludzkiej głębi

malownicze bogactwo
przecięte wstęgami szlaków
wiekowe puszcze bagienne skarbnice
noce rozrzucone gwiazdami
w zwierciadłach wody
piękno płynące muzyką wiatru
koncertem ptasich śpiewów
wieczory
wtopione ciszą w serce przyrody

wrosłam miłością w tę ziemię
jak słońce promieniami
w oblicze nieba

na rodzinnych ścieżkach
zbieram wspomnienia dzieciństwa
pachnące kromką chleba

Zapomniana kapliczka

tam
gdzie droga wije się złotym strumieniem
a maki płoną rumieńcem
pośród łąków zboża
w zmurszałej kapliczce
pochylonej wiekiem
spogląda dobrocią
samotna Matka Boża

oczy poranka
rozbudzone sygnaturką skowronka
rzeźbią horyzont
bladym różem dali
kłosem pochylonym
życiodajna ziemia
opuszczoną w kapliczce
Maryję chwali

Joanna Dawidziuk

* * *

w moim domu
bardzo wcześniej
budzi mnie słowik

jego śpiew wdziera się
nieproszony
do sennych pokoi
i moich myśli

jest taki srebrny
dźwięczy

zaraźliwe kochanie
małego serca

* * *

Powtarzam
to spotkanie
by być
jak wtedy
piasek polnej drogi
rozgrzany słońcem
przesypują stopy
tak daleko i blisko

Podobać się
na troszeczkę
na jedną chwilę
zapatrzenia
z marzeniem
które przychodzi o zmierzchu
i trwa tyle co on

Pomarzę
rozmarzę myśli
w czerwieni ust

ten moment
przed snem
taki tęskny wtulenia
w dotyk aksamitu

Jesteś małym pocałunkiem
i obietnicą ziarenka
niewielką
taką na miarę dłoni
by zmieścił się w niej świat
rozmów i snów
a czasem przemilczanych minut

* * *

Mówisz
Nikt nie przeżyje życia
Za kogoś
Tak
Jak nie napisze
Wiersza

W tysiącach słów i zdarzeń
Jedno moje zdanie i wiersz
O miłości i cierpieniu
Nie potrafię ich rozłączyć
Taka moja droga
Z kapliczką i bzami
Gdzie stary świętek patrzy
Na zapędzenie ludzi
I tak się dziwi
Głupocie życia
Przeciekającego przez palce

* * *

Panie, który jesteś
światłem i cieniem
drogą i rzeką
pozwól mi czytać
Twoje słowa
w codziennym stąpaniu
tam skąd me serce wołanie słyszy
niech dostrzegę
Światło

Ewa Danuta Stupkiewicz

Stolica

pustoszeje niedzielą
włącza
drugi bieg

zagłada przechodniom
w oczy
marszczy troski

słonecznym ciepłem
odbija się
w szybach okien

kapryśny wiatr
wtóruje
leniwym samochodom

błogi spokój
dorównuje
siódmemu dniu
Stwórcy

Podróż do Gdańska

Cisza przed burzą na straży 4 czerwca,
słonecznym blaskiem wibruje powietrze
i wtapia się w kwiatowe plastry gryki.

Pola migają kolorowymi wstęgami...
Myśl wyprzedza fakty nadchodzącego dnia
i ląduje emocjami pamięci odroczonej.

Marek Dobrowolski

Uśmiechy

obudził się dzień
a ja w porannej drodze
zupełnie bezpłatnie
powoli i bez pośpiechu
rozdaję uśmiechy
przyklejam je
do ust napotkanym

może pomogą im
dziś zakwitnąć

* * *

wypełniasz mnie sobą

pracowicie jak pszczoła
gromadząc nektar w ulu
a przecież
królową jesteś w roju uniesień
królową pocałunków
w których przytulenie kwitnie
i obietnica

tak mówi serce
moje serce
miodem wypełnione

Poeta

jak niemowlę
krzyczy
niemym atramentem
nieświadomy swojej samotności
odkrywa
by w szczerbach słów
znowu ukryć

ze schyloną głową
skleja wycinki czasu
dodaje ułamki z życia

wreszcie
oczami dziecka
jak o jałmużnę
prosi
o wysłuchanie

* * *

pamięci Michaela Jacksona

żyłeś pół wieku
by być wiecznym
byłeś czarną gwiazdą
a chciałeś świecić
białym blaskiem

przy innych
mogłeś
dorównać słońcu
co ciepłem
otula wszystkie dzieci

w pamięci
pozostaniesz
wielki i jasny
jak księżyc
ze swoją ciemną
nieznaną stroną

7.07.2009 r.

Robert Panek

Maj

przez otwarte niebo
przez dekolty dziewcząt
wlał się maj
w uliczny rozgwar

zapachniał perfumami
zafalował zakołysał biodrami
w alejach i parkach
sprężył się pod dżinsami

rozgwarzył się i rozpłomienił
w dziewczęcych uśmiechach
w drżących oddechach
w gorących uciechach

rozzielenił się i rozkwiecił
słońcem po mieście
podmalował podcieniował
smukłe kształty wieżyc

odświeżniała miejska brama
koralami kolczykami
i zaprasza czym bogata
jak dziewczyna z amatorami

rozpłomieniony ogniem amor
w kształty wiosny strzały ciska
w rozpalonych ustach pali
sercem serce czuje z bliska

Pieśń ciała

w kształtach twego ciała jest pieśń
co po gładkości ramion spływa
ku źródłu
skąd wyrasta zielone drzewo życia

sięgam wzrokiem od wzgórz
po rozwidlenie prawd dobrych i złych
których jeszcze nie znam

tęsknię za ciepłem grzechu
u twoich kolan
przywołaj mnie gestem do doliny ogrodów
a odnajdę drogi do dna tajemnic

będę pełznął spragniony smaku jabłka
przez gaje pinii i platanów
ku gorącym brzegom

przywołaj mnie gestem do edenu
wprowadź do krainy rodzaju
zdejmij z głowy szaleństwo krwi

w nieświadomości zła i dobra
nie liczę uczynków
śpiewam pieśń twego ciała

twoje ciało jest miarą dobra
twoje ciało jest urodzajną ziemią
twoje ciało jest rzeką wód słodkich

Wróć ze mną w tamta dni

wróć ze mną w tamte dni
skąd wracają wspomnienia
walc pośród fal mi się śni
i kształt twego imienia

zazumią nam wierzby przestworza
szmer gwiazd pośniętych
będzie ciepły wiatr od morza
będzie zapach traw pomiętych

będzie wróżka szeptała
wieściła nam przyszłość odległą
wróżba wróżki wspaniała
linie nasze ku sobie pobiegną

uczepią się komety warkocza
przez niebo przelece strzałą
spełni się wróżba prorocza
spotkam ciebie za dałą

otworzymy nocy czarne bramy
rozsiane pozbieramy gwiazdy
z gwiazd srebrne utkamy dywany
wymościmy nimi niebieskie pojazdy

po słonecznej pojedziemy ekliptyce
po wszystkich znakach zodiaku
będę cię woził w niebieskiej lektyce
w najjaśniejszym zamieszkamy znaku

Tropikana z Karaibów

spotkałem ją w windzie
madonnę południa
czarną różę
nad którą unosił się zapach karaibów
stała obok w upale swej ziemi
patrzyłem jak we śnie na otwartą do objęć kibić
szumiały mi palmy
i biodra jej kołysały w szalonym rytmie
napierających mocy
w rękach trzymała dzban poezji
który miała od chwili swoich narodzin
poila z niego wszystkie moje zmysły
rozwierając kolana strofami wierszy
gdzie miałem uciszyć krew w upale jej ziemi
przed zejściem do głębin tajemnic
gabriel uderzył w dzwon świetlisty
i śmignęła
jak czarna jaskółka
rozleciały się nasze losy przez otwartą windę
do dziś czuję jej oddech
jak ciągnie niebem
i ilekroć wejdę do windy
szumią mi palmy

pod nimi stoi tropicana z karaibów
czarna róża
miłość południa
gorąca
przywidziana

Miłość

dla miłości noc nie śpi
tylko śni
i wcale nie jest czarna
tylko w blaskach lśni

i gwiazdy nie są gwiazdy
tylko oczu ognie
i serce przy sercu płonie
jak dwie pochodnie

z miłości jednakie łzy płyną
bólu i radości
i wyrzut zawsze z tej samej przyczyny
braku sytości

ręka rękę wiernie oplata
jak bluszczu kiść
przysięga na całe życie
razem iść

usta sycą usta
lecz nie gaszą ogni
oddech podsyca płomienie
w których jeszcze są zgodni

Mój grzech

grzeszę gdy szeleszczę zeschłym liściem
lub wkradam się do cudzych gniazd
grzeszę gdy nie kłaniam się bogom
i zamiast ziemi głową dotykam gwiazd

grzeszę gdy pokorę w ogniu spalam
lub zakazane zrywam owoce
grzeszę gdy ciszę grzmołem roznoszę
i gwiazdy rozpalam w pomroce

błogosław mądry boże mój grzech
i bunt wobec ciebie
wszak nie dla modlitwy dałeś mi siłę
i cuda pokazałeś na niebie

Wydłużony cień

pamięci ojca

ojciec siedział pod starym rozłożystym dębem
między nim a dębem stała cisza
w której słyszeć było myśli
jakby cisza w nich się zamyśliła
a może ojciec i stary dąb rozmawiali ze sobą
rozumieli się przez ciszę
w której nie musieli wypowiadać słów
bo w nich się zamyśliła
rzucali na ziemię wspólny cień
jakby sięgali myślą w przeszłość
której nie mogło oświetlić słońce
była mrokiem odeszłych dni

dzisiaj już nie ma ojca i dębu
tylko ich wydłużony cień pozostał we mnie
czasem wydaje mi się że słyszę myśli
które przez ciszę przenikają z tamtego dnia

Grażyna Łapin

Wiersz dla mamy

Dziękuję Ci mamo
za życie i los
jaki mi dałaś
Przyjmuję Cię taką
jaka jesteś
I chylę przed tobą czoło
z pieczołowitością

Przez krew i pot
jaki przelałaś
we mnie
swą codziennością
Wyrośłam na glebie
żyźnej i jałowej
skąpana w dobroci,
bezpieczeństwie
przyduszona troską
i miłością

Wyrośłam dzięki Tobie
bo jesteś dla mnie
najlepsza na świecie

Biorę wszystko co dałaś
przesiewam przez sito
czasu i uczuć

wyłuskuję perły...
 drogocenne skarby
 chwytam w dłoń
 oświetlając drogę:
 nazywam
 by odrzucić
 to, co niepotrzebne

Przędę nić jak Ty
 mamó
 Na osnowę wrzucam
 kilka nowych odcieni
 czerwieni
 zieleni
 żółci

kilim pozostawię
 następnym prądkom

Wiersz dla taty

Kochany Tato
 biorę Cię w całości
 jako mego tatę
 i chylę się z pokorą
 dziękując za wszystko
 co dałeś
 a ja wzięłam

białe karty fotografii
 ozywające
 bielą i czernią uśmiechów i zapatrzeń

nasycane barwami
skapującymi ciekawością
z wyciśniętej bibuły

białe i czarne klawisze, basy
i wachlarz miechów
które przywiewają
Twój uśmiech
zapach harmonii
i nocny zgiełk

zerwaną ćwierćnutę
i zadrukowane karty niespodzianek
ulatujące z niespełnieniem
i rzucające cień

zapach szczęścia
gdy wtulona pomiędzy Was
Mamo i Tato
jechałam w nieznane
bezpieczna

rozkładałam nuty
które przekazałeś mi Tato
nastrajam serce i pamięć
na nową pięciolinie
wrzucam wzór

i nasłuchując gram
Tobie na radość Tato
by życie nieustannie
rozbrzmiewało nam
na nowo

* * *

nakarmiłeś mnie przyjaźnią
aż do sytości
napoiłeś pięknem niewypowiedzianym
co przez brzegi pucharu się przelewa

przekonywałeś wytrwale cudami
aż to co niemożliwe
stało się możliwe
– bym zaufała

otulałeś cierpliwie z troską
przed podmuchami zgubnych wiatrów
bym ci urosła
– choć ciągle mi czegoś brakuje

zaprosiłeś do weselnego tańca
pośród krążganków życia
piętra wysmukłych kolumn
ratują mnie przed smutkiem

przypadam do Ciebie
jak łania spragniona
do krystalicznego źródła
zawsze i wszędzie Jesteś

Drzwiczki

wersja: historia

barokowe kształty
zaokrąglone fantazyjnie i dostojnie
jak omega
kryją żywą Tajemnicę

uchylam rzeźbione drzwiczki
przykryte starannie
nieskazitelną bielą
nakrochmalonej firanki

dotykam kuli
pulsującej rytmicznie
w mocnych konarach
winnego krzewu

czuję przenikającą świeżość
nieznanej zwielokrotnionej przestrzeni
odbijającej tęczę
znak przymierza

Drzwiczki

wersja: wrażenia

uchylam rzeźbione drzwiczki
przykryte starannie
nieskazitelną bielą
nakrochmalonej firanki

dotykam ciepłej kuli
spowitej
mocnymi konarami
winnego krzewu

czuję przenikającą świeżość
we wnętrzu
krystalicznej zwielokrotnionej ramy
odbijającej tęczę
znakiem przymierza

smakuję barokowe kształty
zaokrąglone
tajemniczo dostojnie
jak alfa i omega

wszystkie kryją
żywą Tajemnicę

Wyobrażenia

Siedzisz na obłoku
i przyglądasz się z daleka
co czyni człowiek
drogie ci stworzenie
- aleś nieczuły

Karzesz piekłem
i płaczem i zgrzytaniem zębów
tych co nie słuchają ciebie
- boś groźny i surowy

Owiewa Cię tajemnica
która budzi we mnie lęk
bo możesz uczynić
ze mną wszystko
- więc drzę

Pochylasz się z czułością
i tworzysz ze mną nowy dzień
jak czuły, troskliwy ojciec
biorąc mnie nieraz na ramiona
gdy braknie mi sił
- i ja Ci ufam

A Ty jesteś pomiędzy
nieopisany nieogarniony
lecz pełen nieskończonej
miłości
która przetapia serce człowieka
- i w Ciebie wierzę

Ryszard Kondratowicz

Imię

Pamiętam, że nie opuściłem żadnego startu
 Byłem dokładny jak życie, które
 Finiszowało nade mną
 Odrys również nie zabił nikogo
 Gdy Jego strzały dosięgły każdego
 Ale nie zabiły, zabiły się w sobie.
 Moja pani to wie, nosi Paramatma
 Swoje imię.

Królestwo

Do słowa dalekie
 A pieniądz tkwi w gardle
 Przynęta umiera w Tobie
 Królestwa ignorancji.
 Każda religia ciągnie w swoją stronę
 Dwa ołtarze, wszystkie schizofrenie.

Wsparcie

W zwiędłej histerii
 Aniołowie tracą głowę,
 Bóg stworzy dzień,
 My nie weźmiemy ze sobą zysku

Zysk pójdzie przed aniołami
 A Ty Synku gdzie się poznasz
 Jak weźmie kwiat Ciebie nieznany,
 Skąd będzie anioł,
 Dokąd było zwiędłe wsparcie.

W szlachetnym tym razie

Człowiek, który pracuje za srebrniki,
 Pracuje za nic,
 Nawiedza złudzeniem z czym następuje
 Jego walka,
 Walka ze złudzeniem toczy się dotąd
 Noc, która jest dniem,
 Dzień, jakiego nie ma
 Pragnę odnaleźć Go
 Nie znasz miłości,
 Nie wiesz co może miłość
 Swoje kroki które niebawem odczytam
 Na lśniącej szekspirowskiej płaszczyźnie
 Ocalałego dycha w szlachetnym tym razie
 Ocalała przed schizofrenią bieli,
 Krukami, wronami przez ojczyznę za sukcesją, trwa
 Dystans, który nas dzieli, łączy zarazem,
 Biel, która pracuje nie za srebrniki
 Nie wiedza złudzeniania,
 Nawiedza czerni,
 Wszyscy się za nią biorą

Bez żadnej przeszłości, pamięci
 Nigdy nie dałoby się zamierzyć najważniejszego,
 Zawsze działa w sposób niezamierzony
 Bóg za równi z niezamierzonym

Jest światło księżyca
 Ono Cię zbawi
 Wiesz co mogłoby
 Do Królestwa Niebieskiego nie nadaje się serce
 Z nikąd, bo nie wie co było
 Swoich kroków, które niebawem nie odczyta
 Nie w czasie, bo wiecznie czemuś służy
 Dojrzałe, nie potrzebowałyby
 diabelskich adwokatów
 ani w oślej, ani w wielbłądziej
 poświacie rycerz serce rozbija,
 rycerza rozbija płomień.

Przez przypadek

Świątynia to społeczność,
 To nie biegun dobra czy zła,
 Ciepła czy zimna,
 Obojętność na nicość
 Z pustej głowy sitwy finansowej
 O purpurowej filozofii bez człowieczeństwa
 Ze wspartym wiekiem do trumny
 O życie, daremnie wytoczone przez przypadek.

Kazimierz Słomiński

Artystę poznaje się po kierunku błędzenia.

Dno kieszeni włazi ludziom w duszę.

Przed snem niektóre barany liczą pieniądze.

Listek figowy dodaje moralności posmaczku.

Częściej już słyhać krakanie mediów niż krakanie
wron.

Lewica i prawica biorą oburącz.

Filozofia potrafi dać kłamstwu naukowe podstawy.

Brak poczucia więzi to żadna wolność.

Aforysta przesiewa piasek mądrości na pustyni
słów.

Miernota chciałaby urastać do rangi miary
człowieczeństwa.

W konsumpcyjnym świecie anioły kojarzą się
z tandetą.

Na poboczach dróg donikąd niektórzy odnajdują
swoje miejsce.

Od życia zwykle oczekuje się więcej, niż jest się w
stanie przeżyć.

Poeta to dureń gadający do rzeczy albo do siebie.

Dzisiaj banici to ci, którzy nie mogą powrócić do
świata wewnętrznego.

Przestrzeń jest tam, gdzie można swobodnie
odetchnąć pełną piersią.

Udawanie głupiego bynajmniej nie zwalnia od bycia
głupim.

Naga prawda w naszym klimacie trochę za bardzo
prowokuje.

Nic nie jest nam obce, póki ludzkie.

Z nędzą i nadmiernym bogactwem zawsze jest
bieda.

Materializm – pozbawiając duszy – okalecza.

Historia potrzebna jest po to, żeby nie pochłonęła
nas teraźniejszość.

Zalewany robak lepiej się konserwuje.

Nie jest godzien odpuszczenia grzechów ten, kto nie
grzeszy.

Nawet udawanie człowieka nie wszystkim się udaje.

Pogodzić się z losem można, trudniej z brakiem
wygranej.

Łaska teraz bardziej dziadowska niż pańska.

W ziarnku piasku kiełkuje pustynia.

Za bezmyślnością podąża bezpomyślność.

Duch czasu nie pokutuje w pałacach, tylko w
szarych komórkach.

Pomimo tylu śrubek mechanizm władzy wciąż jest
rozklekotany.

Za niektórymi wlecze się cień od ich ciemnoty.

Dzisiaj nie ma błędnych pajaców, są tylko błędne
pociągnięcia.

Bywa, że hasła zamykają ludziom dostęp do
mózgów.

Po przejściu przez polskie piekielko w raju byłoby
już nieciekawie.

Ech, ten nieoczekiwany przeskok z epoki kamienia
do epoki śmiecia!

Podobno za Balzaka komedia jeszcze bywała ludzka.

Kiedy człowiek przejrzy na oczy, to czuje się już
trochę przejrzały.

Znaki nieszczególne mówią o szpetocie duszy.

Nie warto już wróżyć z fusów, lepiej z dodawanej chemii.

Frazesy kantują nas na wadze słów.

Idea nie służy człowiekowi, tylko człowiek idei.

Pieniądz wypiera ludzi z wartości.

Ludzka miłość rozbija się o ludzką małość.

W małżeństwie nie wiadomo, co głupsze: miłość czy rozsądek.

Przed życiem po życiu wskazane jest życie w pożyciu.

Małżeństwo nie musi być spółką dwóch sierot samotnych inaczej.

Popiołem z domowego ogniska niektórzy powinni posypać sobie głowę.

Pieniądz jest już wirtualny, tylko wyzysk ciągle realny.

W zdaniu niepokoi mnie podmiot bezmyślny.

W ludzkim wnętrzu nawet las nie potrafi do końca się wyszumieć.

W lustrze wody robionej z mózgu odbija się twarz
demokracji.

Media sprzyjają wymianie poglądów na głupsze.

Moralność bez grzechu byłaby niehumanitarna.

W kulturze współżycia najważniejsza jest
skuteczność pieczy.

Lepiej słusznie się gorszyć.

Andrzej Polakowski

Mozolna jest wspinaczka na cokolwiek, a i spaść zeń
niełatwo.

Kręta droga do celu nie musi zamieniać się w drogę
zakrętną.

W ciemnych snach podpadzichów – gdzie togi, tam
trwoga.

Apoloniusz Ciołkiewicz

Daj adnoho

Nie wiadomo, dlaczego czułem się jakoś niekomfortowo, siedząc w pociągu przy przepisowo brudnej szybie i trzymając na kolanach w reklamówce dwadzieścia paczek deficytowych „klubowych”. Wydawało mi się, że wszyscy pasażerowie podejrzliwie zerkają na mój paku- nek z papierosami. Wiosenny poranek obiecywał pogodę na cały dzień, słońce pracowicie pięło się ku górze, hojnie rozsypując ciepłe promyki także na mój policzek nastawiony do grubego, okiennego szkła. Poza tym to moja pierwsza podróż po zniesieniu przez Jaruzelskiego zakazu wyjazdów w stanie wojennym.

Pociąg włókł się jak pielgrzym w przedostatnim dniu peregrynacji, przepuszczał jakieś opóźnione po- śpieszne, długie składy kolejowe, nawet pojedynczą lo- komotywę. „Ciekawe, w jakiej kondycji jest Marek?” - pomyślałem. To przecież jemu wiozę te papierosy do psychiatryka w Choroszczy. Czy nadal ma do mnie żal, że go nie wpuściłem do mieszkania? Ostatnio z zemsty zdjął na mojej klatce klosz z żarówki, nasikał do niego i zostawił mi pod drzwiami. Ale to nic. Zabrali go w ka- ftaniku, kiedy w swoim mieszkaniu zrzucił telewizor z czwartego piętra

Upał rzucił mi się do płuc na dworcu w Białymsto- ku. Teraz przesiadka na autobus. Ściskam kurczowo re- klamówkę z papierosami, którą dała mi do przekazania

matka Marka. Moja dłoń mokra, lepka, ohydna. Tak jak Marek, kiedy go krępowano w kaftanie...

W szpitalu zachodzę do dyżurki pielęgniarek i nikt mi nie robi trudności. Marek? Zaraz zawołamy.

Widzę go już z daleka, macha do mnie ręką. Gdy podchodzi blisko, długo ściska mi rękę, czuję, że za chwilę popękają mi palce, więc zagaduję, że przywiozłem papierosy. Poskutkowało. Marek chwyta podaną mu paczuszkę i po chwili raczymy się dymem klubowych.

- Wiesz, dam ci ze trzy paczki - proponuje Marek i wciska mi papierosy do kieszeni marynarki.

- Okej, dzięki - odpowiadam. Nie będę musiał kupować tych ohydnych, duszących „Yugo” z importu.

Nawet nie zauważyłem, gdy wokół nas zebrała się niewielka grupka pensjonariuszy zakładu. Cały czas obserwowałem Marka, który wydawał się nadmiernie pobudzony. Wesołkowaty, śmiał się z byle czego, poklepując mnie po plecach. W pewnym momencie podszedł do nas ogromnego wzrostu Białorusin i wyciągnął rękę:

- Daj adnoho!

- O co panu chodzi? - nie domyśliłem się od razu.

- Daj adnoho papierosa...

- Aha, proszę - usłużnie podsunąłem mu paczkę klubowych, z której momentalnie ubyło sześć sztuk.

- To Waśka - poinformował mnie Marek - ona zawsze tak mówi, a bierze, ile się da.

Popatrzyłem za odchodzącym, potem zauważyłem, że dzieli się zdobytymi papierosami z jakąś kobietą i dwoma mężczyznami.

Zacząłem Markowi opowiadać o moich domowych kłopotach (kot mi zdechł, spalił się agregat w lodowce) i już prawie zapominałem o incydencie, gdy po chwili

znów usłyszałem tubalny głos, o katerycznej tonacji: „Daj adnoho”.

Historia się powtórzyła w najdrobniejszych szczegółach, z wysuniętej w jego stronę paczki Waśka znowu wyszabrował sześć papierosów.

– Wiesz – mówi Marek, może przejdziemy w inne miejsce, tam pod lipę, w pobliżu płotu. Bo Waśka zabierze ci wszystkie fajki, a ja więcej nie dam, wiesz, jak jest...

Usiedliśmy na wiosennej trawie, zapaliliśmy, teraz Marek zaczął opowiadać o swojej kuracji. Po kilku minutach jego zwierzeń trzeci raz usłyszałem sakramentalne „daj adnoho”. Gdybyście zobaczyli Waśkę na własne oczy, wiedzielibyście, że jego prośba jest rozkazem. Tym razem jednak ten rozkaz potraktowałem najzupełniej dosłownie i podałem jednego papierosa, uprzednio wyciągniętego z paczki. O, dziwo, Waśka zadowolili się tym łupem, zaklął tylko i odszedł.

– Może będziemy mieli spokój – powiedziałem niepewnie.

– Może – zgodził się ze mną Marek i dalej opowiadał o swoim pobycie w psychiatryku.

Waśka rzeczywiście już się nie pojawił, ale przyszła za to pani Krysia.

– Panowie, poczęstujcie papierosami.

Nie byliśmy jednak tacy skorzy do poczęstunku, szczególnie ja, więc kobieta odeszła z kwitkiem. Tylko coś tam mruczała pod swoim miniaturowym nosem.

Po chwili zjawił się pan Czesio.

Pan Czesio, jak dowiedziałem się potem od Marka, przebywał w zakładzie praktycznie od zawsze. Podczas wojny Niemcy wymordowali mu całą rodzinę, zabrali też rower. Biedna, skołatana pamięć ocalała tylko stratę roweru, którego pensjonariusz zakładu szukał latami.

Raz nawet ktoś dobrotliwy przyprowadził mu jakiś jednośląd, ale pan Czesio orzekł, że to nie ten... Pan Czesio miał około 70 lat, kępki siwych włosów na skroniach, brakowało mu wielu zębów na przedzie, kiedy mówił, ślina ściekała kącikami ust.

Pacjenci urządzali sobie rozrywki kosztem pana Czesia. Informowali go, że widzieli jego rower w różnych miejscach. Kiedyś pan Czesio w poszukiwaniu zrabowanej przez Niemców własności wdrapał się na dach szpitala, innym razem wszedł na sam czubek topoli, skąd musiała go ściągać wezwana straż pożarna. Kiedy okazywało się, że we wskazanym miejscu nie było roweru, pan Czesio płakał jak dziecko i trzeba go było uspokajać farmakologicznie.

I właśnie teraz pan Czesio podszedł do mnie.

- Kujwa, oddaj mój jowej, złodzieju - piszczął, wbijając mi rękę do kieszeni spodni.

- To Kryśka go przysłała, bo nie dostała papierosów - objaśnił mnie Marek. I widząc, że nie mogę się połapać w sytuacji, dodał:

- Ona na pewno powiedziała, że masz jego rower w kieszeni.

Istotnie, optyka pojmowania świata przez człowieka chorego jest inna. Pan Czesio naprawdę był przekonany, że ten zrabowany niegdyś przez Niemców rower zmieścił się w kieszeni moich spodni.

Usłyszałem trzask materiału i poczułem, że szew na spodniach zaczyna się rozłazić. Gdzie i czym to zaszyję? A pan Czesio nadal krzyczał:

- Oddaj jowej, hitlejowcu!

I wtedy wpadł mi do głowy szatański pomysł:

- Proszę pana, muszę się panu do czegoś przyznać, tylko niech pan wyjmie rękę z mojej kieszeni.

- Dobja, no to mów.

- Ja rzeczywiście miałem ten pana rower, ale go oddałem.

- Komu?

- No, tej pani Krysi.

- Ale ona go nie ma.

- Bo schowała go pod sukienką...

Pan Czesio popędził w stronę pani Krysi i pakując jej rękę pod kwiecistą sukienkę, płaczliwie domagał: - Dawaj mój jowej!

Wolałem nie czekać na to, co może jeszcze nastąpić. Pożegnałem się szybko z Markiem i opuściłem szpitalny teren.

Wiem od Marka, który jeszcze kilkakrotnie zaliczał kurację na oddziale w Choroszczy, że pan Czesio zmarł prawie cztery lata później. Odszedł z uśmiechem na ustach. Ktoś mu powiedział, że rower czeka na niego w niebie.

Andrzej Jarosz

Harlekin jeziorny

Jezioro powitało Bejlę ciszą, przerywaną lekkim szumem drzew. Gdy zjeżdżali z szosy w las, poczuł ulotny zapach wody. Głęboko wciągnął powietrze, przesycone wonią igliwia. Otworzył okno i odetchnął pełną piersią. Lubił to miejsce. Dopiero tutaj tak naprawdę rozpoczęły się dla niego wakacje.

Jeszcze tylko kilometr przez las... kilkaset metrów. Drzewa coraz rzadsze i oto jest... Jezioro w pełnej krasie witało go i wabiło.

Tym razem Bejle to miejsce wydało się szczególnie urokliwe. Ośrodek był wprawdzie szary, jak zwykle, ale chłopak tego nie zauważał. Każdego roku przyjeżdżał tu z rodzicami i starszym bratem na wakacje. Wracał tu jak do siebie. Ot, skromny zakładowy ośrodek wczasowy. Domki kempingowe, jezioro, pola, lasy, obok wioseczka dotknięta sierpniem, żyjąca leniwie i jednostajnie. Bejła znał to miejsce doskonale. Przemierzył tu każdą ścieżkę, zajrzał w każdy kąt. Codziennie kąpał się w jeziorze, chodził do lasu, biegał po okolicy. Czasem udawało mu się znaleźć jakieś skarby, które ukradkiem przemycił do domku: muszle, wygładzone wodą kamienie, korzenie o cudacznym kształtach. Pamiętał olbrzymie kanie, które mama smażyła wieczorem... I tak niezmiennie od lat. Zawsze w sierpniu.

Zakwaterowanie, czysta pościel z magazynu, talony na obiady i – można się wprowadzać. W środku łodów-

ka, umywalka, kuchenka gazowa, dwa tapczaniki przykryte nieświeżymi kocami, świetlicowy stolik i krzesła. Wszędzie stary kurz, brudne ściany, niedomyte naczynia i półmrok. Wczasy pracownicze, marzenie wielu polskich rodzin. Domek barwy brudnej zieleni, z plamami obsypującej się farby i mała weranda, na której w ciepły wieczór można było pograć w karty. I wszędzie cień rzucały przez wszechobecne drzewa, i szyszki spadające wprost na głowy...

Czas płynął. Bejła stawał się starszy. Pokoik dzielony z rodzicami i bratem kurczył się. Las i pola wokół wołały go ku sobie. A on coraz chętniej z tych zaproszeń korzystał. Uwielbiał samotne wędrówki, przemierzanie odległych przestrzeni. Wabiły go konie pasące się na łące, stary młyn z jaskółczymi gniazdami. Dwa kroki za progiem domku pachniało już wodą. Kajakiem czy łódką, w upalny czy dżdżysty dzień, pływał swobodny po jeziorze lub odległej cichej rzece, szukając dorosłości w jej zakolach. To były jego wakacje.

Jaki będzie tegoroczny turnus?

Następnego dnia – wieczorek zapoznawczy. Dla setki wczasowiczów, starszych czy młodszych – wyjątkowe wydarzenie. Nowi znajomi, kieliszek brudzia z sąsiadami na najbliższe dwa tygodnie. Na stole trochę wędlin, sałatka, oranżada i pół litra, a orkiestra gra. Może Bejła też kieliszek wypije? Wszak jest już dorosły, skończył niedawno osiemnaście lat.

Ewę poznał już w dniu przyjazdu. Witła się ze swoimi rodzicami, gdy wysiadał z samochodu. Zerknęła na niego. Wysoki był, lekko przygarbiony. Minę miał znużoną. Żółta koszula w kratę podkreślała ciemną karnację. „Przystojny...” – pomyślała. Ewa nie lubiła przystojnych chłopaków. Zblazowani byli, nudni, w siebie wpa-
trzeni. Rzadko który z nich miał do zaoferowania coś

więcej prócz opowiadania o sobie i przechwalania się osiągnięciami w rozmaitych „męskich sportach”. Nie miała ochoty na tę znajomość. Po miesiącu spędzonym nad jeziorem zmęczona była adoracją wczasowiczów, głupawymi komplementami, cmokaniem, pogwizdywaniem, wzdychaniem na jej widok.

Od obrócenia się na pięcie i powrotu do obowiązków powstrzymał ją głos mamy. Powiedziała coś, co sprawiło, że została, a chłopak zerknął na nią spode łba. Burza loków zatańczyła na jego głowie jakiś dziwnie krótki, szybki taniec i znieruchomiła. Ich ojcowie się znali, więc prezentacja dzieci dokonana się szybko. Bejła spojrział na nią ponownie, już naturalniej, a ona w jego oczach zobaczyła słońce. „Kolejna sztuczka” – pomyślała. Wyciągnęła rękę. Poczowała lekki, ale nie za delikatny, uścisk ciepłej, nieco wilgotnej dłoni. Coś powiedziała o pracy i odeszła. Na plecach czuła jego wzrok. Nie starała się zwolnić kroku ani iść „z wdziękiem i gracją”. Nie obejrzała się, by się upewnić... Wiedziała, że patrzy. Ale nic ją to nie obchodziło.

Ewa przyjechała tu do pracy. Była kulturalno – oświatową. Zaczynał się kolejny turnus. Letnicy przyjeżdżali zwykle dzień wcześniej. Trzeba było ich zakwaterować, wydać pościel, klucze, sprzęt, którym dysponował ośrodek, wskazać drogę do domku, odpowiadać na niezliczone pytania i uśmiechając się, ukrywać zmęczenie po nieprzespanej nocy. Dla Ewy czas wypoczynku jeszcze nie nadszedł.

Wiedziała, że to swoje obowiązki wypełnia, ale kierownik ośrodka miał ciąg. Ostatnio prawie nie trzeźwiał. Ledwo zdołała wyprosić klucze od magazynu i domków. Chrapał teraz głośno. Całą noc awanturował się, krzyczał, kłął, dobijając się do niej. Nie pierwszy raz spędziła niespokojną noc nasłuchując, czy nie wraca.

Słyszała, jak Janek, chłopak ze wsi i jednocześnie „złota rączka” w królestwie Hirka, odciągał swego pracodawcę, jak tłumaczył mu coś, jak odprowadzał do przesiąkniętego zapachem potu, alkoholu i wymiocin zielonego domku. Jak potem wrócił z pytaniem, czy jej niczego nie trzeba i czy wszystko w porządku. Od początku pomagał, chronił, czuwał. Teraz też był blisko.

Jakaś pani poprosiła o coś do czytania. Ewa poszła z nią do biblioteczki, pomogła wybrać książki. Trzeba było przygotować dekorację. Na jutro, na wieczorek zapoznać. Te z ostatniego balu już się do niczego nie nadają. Eh... Ale są rodzice. W razie czego... Ale lepiej, gdyby nie wiedzieli. Zamknęła stołówkę. Jutro to będzie sala balowa, tylko trzeba ją wcześniej udekorować.

Dzień się kończył. Słońce zachodziło krwawo – na pogodę. Ewa zatrzymała się w pół drogi, by tę chwilę zapamiętać, to pożegnanie dnia. Z daleka zobaczyła znajome sylwetki rodziców i brata, którzy przechadzali się ze znajomymi brzegiem jeziora. Był z nimi ten znudzony chłopak. Patrzył na nią, a może gdzieś obok. Przywoływali ją, ale gestem dała znać, że nie może, nie teraz, nie dziś... Chętnie przytuliłaby się do mamy, porozmawiała z ojcem o „tylko ich” sprawach, pożartowała z bratem. Może udałoby się zaprzyjaźnić z małym, śmiesznym pieskiem, który radośnie poszczekując biegał wokół gromadki spacerowiczów. Ale nie miała siły już udawać. Była zmęczona. Bardzo. A rodziców i tak by w pole nie wywiodła najbardziej przekonującymi kłamstewkami. Dziś nic nie było dobrze. I jeszcze ten chłopak... Wydało jej się nieustannie, że czuje na sobie jego wzrok.

Skierowała się w stronę swego domku.

Był rozczarowany, że nie podeszła. Nie rozumiał, dlaczego? Mignęła tylko w czerwieni zachodzącego słońca i tyle ją widział.

„Może jutro?” – pomyślał.

Serce zakolało tylko niezrozumiale w jego piersi, jakby mu tam za ciasno było.

Tej nocy Ewa spała spokojnie. Obudziło ją słońce natrętnie zaglądające przez zakurzone okienko. Próbowała zatrzymać sen, ale w pamięci pozostały jej tylko barwy nieba w porze wczesnego zmierzchu. Ogarnęła szybko pokój i wyszła na werandę. Wstawał kolejny upalny dzień. Wyspana, radosna szczotkowała długie, gęste włosy, nucąc jakiś przebój lata. A królowała ABBA. Hasta mañana? Nie, jeszcze się nie żegna. Przeciwnie, zaraz powita najbliższych i nowy dzień.

Na dyżur w świetlicy poszła syta prostym szczęściem. Byli tu wszyscy, których kochała. Widziała ich z daleka na plaży. Rozwinęła kolorowe bibułki i zaczęła kleić lampioniki. Wyciągnęła nogi, by chwyciły więcej złocistego koloru. Podciągnęła wyżej letnią spódniczkę. Nikogo w ośrodku nie było. Wszyscy wylegli na plażę lub schronili się w lesie przed słońcem. Czuła się znacznie lepiej, niż poprzedniego dnia, spokojniej, bezpieczniej. Leciąco „Lato z radiem”. Znane piosenki poprawiły jej nastrój. Słuchała muzyki, nucąc cichutko. Palce coraz sprawniej składały papier, coraz szybciej powstawały nowe ozdoby.

„Do obiadu zdążę” – pomyślała i zadowolona spojrzała na świetlicowy stolik z wytworami jej wyobraźni i rąk. Jeszcze konkursy... Nie, nie będzie się wygłupiać. Nie każe tańczyć wczasowiczom z jabłkiem między głowami, nie będzie opasywać zakochanych papierem toaletowym ani przyklejać im numerków. Ludzie to ludzie, a nie numery. Ogłosi „Konkurs na konkurs”. To zawsze zdaje egzamin. I korzyść też obustronna...

Nagle poczuła, że nie jest sama. Lekko uniosła powieki i na odsłoniętych udach ujrzała cień. Zmieszana

ukryła nogi pod blatem stołu i obciągnęła spódnice. Powoli uniosła głowę. Stał obok, taki młody, opalony, z głową okrytą masą wilgotnych poskręcanych w pierścionie włosów i dziwnym wyrazem twarzy... hm... wcale teraz nie znudzonym.

Szukał jej od rana: w lesie, nad wodą, krążył wokół domku... Wypatrzył ją wreszcie na świetlicowej werandzie. Sklejała kolorowe bibułki w śmieszne ozdóbki. Palce miała w kleju, rozpuszczone włosy zasłaniały jej twarz. Ale nie nogi... Szkoda, że już je skryła pod stolikiem. Nucila znany przebój o takim dziwnym, obcojęzycznym tytule. Rozczulała go...

Spojrzała na niego. Nie była zaskoczona. Musiała wcześniej wyczuć jego obecność.

- A, to ty? - ni to stwierdziła, ni spytała. Była speoszona, ale tylko troszeczkę.

Bejła milczał. Dziwnie jej się przyglądał. Mięśnie twarzy leciutko drżały. Czytała ten niemy przekaz, jak tekst z otwartej książki. Czytała i nie dowierzała. Czas dla obojga z nich jakby zatrzymał się w miejscu.

Słońce paliło niemiłosiernie. Aż żal było opuszczać plażę. To kłbowisko nieopalonych jeszcze ciał łaknęło każdego promienia. Zbliżała się pora obiadu. Wczasowicze składali już powoli leżaki i koce. Niektórzy wcierali jeszcze kremy w czerwoną od pierwszej opalenizny skórę.

W stołówce zrobiło się tłoczno. Zapach kiszonej kapusty, zmieszany z wonią perfum „Być może” i kremu do golenia „Wars” przyprawiał o lekki zawrót głowy. Ewa w przelocie uściskała rodziców, klepnęła brata w ramię, aż syknął z bólu i skierowała się do służbowego stolika. Bez apetytu zjadła obiad. Zamyśliła się przez moment, czym zwróciła uwagę Janka.

- Wszystko w porządku, królewno - nie - moja? - zapytał.

Lubiła, gdy tak do niej mówił.

- W porządku, Janku - i posłała mu ciepły uśmiech.

Szybko zebrała talerze ze stołu i odniosła do okienka. Zwykle czuła się nieswojo, gdy patrzył na nią swymi smutnymi wielkimi oczami. Rozejrzała się po stołówce. Podeszła do rodziców, dała im po buziaku i obiecała wpaść jutro na pogaduszki. Brat już znalazł sobie partnera do ping-ponga: pyk-pyk, ping-pong... wybijała rytm malutka piłeczka na zielonym stole. Poszukała wzrokiem Bejły. Jeszcze siedział przy swoim stoliku. Jadł szybko. Pochłaniał jedzenie i ta czynność sprawiała mu wyraźną przyjemność.

„Ma chłopak spust” - pomyślała. Chciała mu pomachać ręką, ale on nie zwracał na nią uwagi zajęty schaboszczakiem. A przecież jeszcze godzinę temu, gdy tak stał obok niej bez słowa... Pewnie jej się wydawało... Wyobrażnię zawsze miała zbyt wybujałą.

„Ech, za chłopakami nie nadążysz” - uśmiechnęła się do siebie, wspomniawszy powiedzonko cioci Lilki.

- Pomożesz mi zawiesić te ozdóbki? - spytała Janka.

- Będę za pół godzinki. Idę popatrzeć na wodę.

- Pomogę, królewno.

Bejła lubił pływać. Spragniony wody i ruchu, zaraz po obiedzie pobiegł nad jezioro. Zatrzymał się na chwilę, rozejrzał. Pięknie tu było. Brzegi porośnięte lasami, czyste niebo przeglądające się w gładkiej tafli, słońce, które jakby specjalnie dla niego przywędrowało w to miejsce, tak zwykle, i tak cudne zarazem. Dojrzałe lato, i ta cisza, niezwykajna o tej porze. Wczasowicze wypoczywali po obiedzie. Tylko ptaki dały się nad jego głową. Bejła nie próbował nawet sobie przypomnieć, jak się nazywają. Nie rozglądał się też zbyt długo. Za młody był, by do-

strzec uroki natury: drzewo – drzewem było, niebo – niebem, ptak – ptakiem. Wskoczył na zbity z nieheblowanych desek, krzywy nieco pomost i dał nurka w przejrzystą toń. Mocnymi ramionami rozgarniał wodę, tak mile chłodzącą rozgrzane upałem ciało. Płynął beztrzesko, nurkował sięgając prawie dna, wyskakiwał wysoko nad powierzchnię jeziora. Bawił się wodą, pozwalając, by ona bawiła się jego ciałem. Zawrócił. Płynął sprawnie, pewnie, odważnie. Coraz bliżej był pomost, kolorowe domki, dzika plaża. Ostatni raz sięgnął dna, dłonią wyczuwając muł. Wyplął i gdy woda spłynęła z jego twarzy, ujrzał Ewę rozkładającą koc na trawie.

Dziewczyna nie widziała go. Otworzyła książkę, zaczęła czytać. Ale albo lektura była nudna, albo... Bejła nie zastanawiał się nad tym. Widział jej twarz skierowaną ku słońcu, jej ciało... Zesztywniał. Odwrócił się na plecy, odetchnął głęboko. Płynąć już nie mógł. Wkrótce poczuł grunt pod nogami i powoli, nie czyniąc zbędnego hałasu wyszedł na brzeg. Chciał jeszcze poprzyglądać się dziewczynie, ale ona już wyczuła jego obecność. Otworzyła oczy osłonięte teraz cieniem jego sylwetki i patrzyła wprost na niego. Przysiadł mokry obok niej na kocu. Nie odsunęła się. Wciąż przyglądała mu się z zaciekawieniem. Nie zdążył się spieszyć, gdy powiedziała:

– Woda na twoich ramionach przypomina mi kropelki tęczy. Nigdy nic podobnie pięknego nie widziałam. Staram się to zapamiętać...

Mówiła cicho, aż za cicho.

– Mogę? Nie przeszkadzam? – Bejła dopiero teraz zdołał wydobyć głos ze ściśniętej krtani. – Nigdy nic podobnie pięknego nie słyszałem...

– Bo tylko słońce i wiatr to mogą – roześmiała się. – Wymknęłam się na pół godzinki. Muszę udekorować świetlicę na potańcówkę. Dziś wieczorek zapoznawczy.

Nastrój prysł.

– Pomogę ci.

– Dzięki, nie trzeba. Janek obiecał, że przyjdzie i pozawiesza serpentyny, takie z bibułki.

Bejła poczuł zazdrość. Spojrzał prosto w oczy Ewy. Zobaczył w nich błękit nieba i spokój. I bardzo zapragnął przytulić się do niej, poczuć ciepło jej ciała. Sięgnął po jej rękę. To musiało wystarczyć. To było wszystko, na co w tej chwili starczyło mu odwagi. Jej mała dłoń skryła się cała w jego dłoni. Bejła poczuł, że drży, a chłodna strużka czegoś nieznanego i tajemniczego spływa mu wzdłuż kręgosłupa. Popołudniowe słońce grzało mocno. Oczy Ewy pociemniały, a z jej ust zniknął uśmiech. Oboje poczuli magię chwili, w której coś ważnego się zaczyna.

– Obiecaj, że zatańczymy wieczorem... – Bejła drżącym szeptem przerwał ten czar.

– Obiecuję... – odpowiedziała równie cicho i powoli.

Chłopak musnął ręką jej rozgrzane słońcem włosy. Zerwał się z koca i pobiegł w kierunku jeziora. Czuł się tak lekko. Chyba był szczęśliwy... Wskoczył do wody. Po sekundzie wynurzył się, by jeszcze ujrzeć uśmiechniętą twarz Ewy. Dziewczyna już wstała i zamyślona składała koc. Gdy ich oczy się spotkały, pomachała mu ręką i zawołała:

– Do zobaczenia wieczorem!

I, nie oglądając się za siebie, powoli odeszła. Znowu czuła na plecach wzrok Bejły.

Do świetlicy szedł jak uskrzydłony. Ponaglał wszystkich, by się zbierali. Nie chciał stracić ani minuty z zabawy. Gdy tylko znalazł się w sali, zaczął niecierpliwie poszukiwać wzrokiem Ewy. Wypatrzył ją wreszcie. Była zajęta ostatnimi poprawkami, niczym pani domu oczekująca gości. Biegała między stołami a kuchnią, po-

prawiała kolorowe lampioniki z bibułki, sprawdzała, czy dla wszystkich starczy miejsc. Robiła tysiąc, niepotrzebnych, zdaniem Bejły, rzeczy.

– Ewa! – zawołał nieśmiało.

– Cześć! – odpowiedziała z nutką radości w głosie. – Jesteście już?

Poczuł dławienie w gardle. Co się dzieje, u licha? Czy to jej głos? Czy ruch? Czy spojrzenie? Dlaczego nie może wydobyć żadnego dźwięku? Dlaczego nie potrafi znaleźć słów, by odpowiedzieć na proste pytanie? Dziwił się, niepokoił, a przecież wiedział... Gdy znalazła się tuż obok, poczuł znajomy dreszcz. Próbował zajrzeć jej w oczy.

– Później pogadamy.

I uciekła. Najwyraźniej nie miała dla niego czasu.

Bejła chciał krzyknąć za nią, przywołać. Już otworzył usta, ale zagłuszyły go głosy wchodzących tłumnie wczasowiczów. Posmutniał. Z daleka wodził za nią wzrokiem.

Ewa odświeżona i przebrana wyglądała pięknie. Przycupnęła na krzeselku obok kuchni i razem z młodziutkimi kelnereczkami ze wsi obserwowała gości. Bejła śledził każde jej spojrzenie. Widział, jak oczy Ewy rozbłysły dumą na widok rodziców. Rzeczywiście, świetnie się prezentowali.

Pojawiła się orkiestra. Roześmiani chłopcy wnosili instrumenty. Bejła obserwował, jak dziewczyna serdecznie wita się z nimi. I znowu poczuł igiełkę w sercu. Jeden z nich poszedł negocjować z kierownikiem ośrodka warunki nigdy nie spisywanej umowy. „Do 23-ej gramy za ośrodkowe, a później zrzuta... kolacja i alkohol oddzielnie...”. Hirek tylko machnął ręką i rozglądał się po sali. Wyraźnie przywoływał Ewę gestem, a ona... udawała, że tego widzi.

„Dlaczego?” – pomyślał Bejła. I znów stracił ją z oczu. Witła się z coraz liczniejszym gronem znajomych, rozdawała uśmiechy, spojrzenia, niektóre – zdaniem Bejły – znaczące. Nie wytrzymał:

– Ewa!

Usłyszała swoje imię.

„To ten ze słońcem w oczach” – pomyślała.

Peszyły ją jego spojrzenia. Wiedziała, że chce coś powiedzieć. Zespół zaczął stroić instrumenty.

– Za chwilę! – rzuciła

Zakreśliła się na pięcie, chwyciła podany jej przez Krzyska mikrofon. Pięknie dygnęła i powitała gości, zapraszając do zabawy.

Gitara załkała. Bejła spojrzał z ciekawością w kierunku trzyosobowego zespołu. Gitara, organy, perkusja. Gitarzysta z dwudniowym zarostem i zmęczoną twarzą... Długie włosy spadały mu na ogorzałe czoło. Potrząsał blond grzywą, by lepiej widzieć gości na sali. Pospolity, byle jak ubrany wioskowy grajek – tak na pierwszy rzut oka ocenił go Bejła. Ale ten głos. Gdy zaśpiewał, chłopaka zamurowało. Stał nieruchomo, wsłuchując się w czyste brzmienie gitary i głos solisty: chrapliwy, dźwięczny, z nutą nostalgii w tej prostej piosence. Bejła też próbował czasem grać na gitarze i śpiewać z kolegami przy ognisku. Ale Krzyskowi do pięty nie dorastał. Spoglądał z podziwem na solistę małomiasteczkowego zespołu. Jak on śpiewał... I stał tak zasluchany, oczarowany długo jeszcze. Nagle usłyszał głos Ewy:

– Chodź, przedstawię cię.

Bejła wziął Ewę za rękę. Muzyka zamilkła. Chłopaki z zespołu usiedli do stolika. Krótka, niezobowiązująca rozmowa wystarczyła, by Bejła poczuł wielką sympatię do Krzyska. I nic w tym nie było dziwnego. Ten prosty chłopak obdarzony przez naturę świetnym słuchem

i nietuzinkowym głosem, szybko zjednywał sobie ludzi. Był mądry zwyczajną mądrością, dobry niezwykłą dobrocią, serdeczny i szczerzy. Był też wytrawnym znawcą ludzkich serc. Świetnie wyczuwał nastroje. Nie dało się go nie lubić.

- Uważaj, to łowca dusz - zażartowała Ewa.

Stali śmiejąc się, gawędząc i przekomarzając. Bejła bezwiednie objął dziewczynę. Nie wzbraniała się. Położyła swoją dłoń na jego dłoni. I choć nie działo się nic szczególnego, oboje poczuli dziwną więź. Spojrzeli na siebie, jakby chcąc upewnić się w swoich domysłach. Nie uszło to uwadze Krzyśka.

- Pasujecie do siebie - rzekł nagle z błyskiem w oku.

- Coś wam zagram. To będzie piosenka dla was.

Dał znać kolegom z zespołu. Zabrzmiały pierwsze dźwięki gitary. Bejła i Ewa stali zaskoczeni, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Uśmiechnęli się do siebie. Nie obchodziło ich, czy ktoś w tym momencie zwracał na nich uwagę. Pośród gwaru sali, licznie wznoszonych toastów i biesiadnych przyśpiewek rozległ się tęskny głos Krzyśka:

*Maleńka Ewo, nie mów tak żałośnie, że nie dla ciebie są
zurnale mój, do każdej z wystaw swój przyklejasz nosek, a od
twych westchnień kamień zmieknąć by mógł.*

Bejła przytulił Ewę.

- To nasz taniec - szepnął.

Powoli wyszli na parkiet. Byli jedyną tańczącą parą. Bejła czuł, jak ciało Ewy drży pod dotykiem jego dłoni. Serce zwariowało mu w piersi, gdy ustami musnął włosy dziewczyny. A ona spojrzała prosto w jego bure, kocie oczy, uśmiechnęła się i przytuliwszy się, skryła bezpiecznie w jego ramionach.

Cóż, mała Ewo twój intymny światek ma naście latek właśnie tak, jak ty. Zbierasz maskotki, lubisz barwne szatki, Chcesz być dorosła i to zaraz już dziś.

Na parkiecie zrobiło się tłoczno. Ewa podniosła głowę, stanęła na palcach, by sięgnąć jego ucha:

– Masz słońce w oczach – szepnęła.

Bejła w odpowiedzi przyciągnął ją bliżej do siebie i zamarzył o jedności.

Maleńka Ewo, spójrz dokoła wiosna, tak szybko minął cały jeden rok. I cóż, maleńka, chyba znów urostaś, więc rozmurz buzię, po co ten smutny wzrok...

Zajęczały struny gitary tęsknym wołaniem. Krzys całym sobą zaśmiał się do nich widząc ich ciała splecione w tańcu. Odpowiedzieli mu promiennym uśmiechem.

Cóż mała Ewo... twój szczęśliwy świątek ma naście latek właśnie tak, jak ty. Zbierasz maskotki, lubisz barwne szatki, Chcesz być dorosła i to zaraz już dziś.

Zamilkła gitara, zamilkła piosenka. Bejła i Ewa stali jeszcze przez moment bez ruchu, przytuleni i odrobinę zmieszani. Ewa poczuła na swej skroni usta Bejły. Jej ciało przebiegł znany dreszcz, który nie był jej niemiły. Z chłopakiem też działo się coś dziwnego, ale jej obcego. Odsunęli się od siebie powoli i niechętnie. Trzymając się wciąż za ręce podeszli do Krzyska.

– Dzięki, mistrzu – Ewa uśmiechnęła się do gitarzysty. A ten, podkrecając lekko wąs, w odpowiedzi puścił do niej figlarne oczko, w którym dziewczyna odczytała aprobatę.

– Dziękujemy – dodał Bejła. – To będzie nasza piosenka. Zagrasz nam ją jeszcze?

– Pewnie! – zaśmiał się. – Bawcie się dobrze.

Łąka kipiała od kwiatów. Bejła z Ewą, trzymając się za ręce, ostrożnie stąpali po tym barwnym dywanie, jakby bali się zrobić krzywdę delikatnym płątkom kwiatów i źdźbłom traw. A one tuliły się do ich stóp i pieściły je w podzięce, szepcząc w letnich porywach wiatru najczulsze tchnienia. Dziewczyna i chłopak, odurzeni wo-

nią nieznanych ziół i kwiecica, szli przytuleni, niechętnie odsuwając się od siebie na zbyt wąskich odcinkach ledwo wydeptanej w trawie ścieżki.

Mówili niewiele. Zachłyśnięci sobą i tą dziką łąką chłonęli każdy zapach, podawany im przez wiatr. W głowach szumiało im od śpiewu ptaków, gry świerszczy i żaru sierpniowego popołudnia. Włosy Ewy tańczyły na wietrze...

Dziewczyna dobrze czuła się w towarzystwie Bejły. Polubiła delikatny dotyk jego dłoni, ukradkowe spojrzenia kocich oczu, chłopięcą nieśmiałość i tembr głosu. Nie musiała być przy nim lepsza, piękniejsza, bardziej elokwentna. Wystarczyło, że była sobą. I ten komfort Ewa bardzo sobie ceniła.

Szli do Starego Młyna. Bejła wybrał drogę przez łąki, by było dalej, by dłużej mogli być razem. A Ewa na to przystała. Poznawali się dopiero. Spojrzenia, początkowo wstydlive, z każdym krokiem stawały się częstsze i śmielsze, coraz bardziej ciekawe i pytające jakby. W chwilach zażenowania twarze rozpromieniał im uśmiech. Nie spuszczali już wzroku. Dłonie, spragnione siebie, pieściły się wzajemnie. Nie mówili wiele. Słowa musiały poczekać.

Nagle przystanęli. Oto strumyk leniwy przestąpił im drogę. Spojrzeli po sobie: Ewa z zaciekawieniem, co też Bejła wymyśli. Przyzwyczajona, że inni rozwiązują za nią problemy, czekała.

Bejła roześmiał się. Wysoki, długonogi, sam pewnie jednym susem pokonałby przeszkodę. Ale Ewa? Drobna, niewysoka dziewczyna w letniej sukience w groszki... Popatrzył na nią z czułością i wypalił:

– Jak dostanę buziaka, to cię przeniosę.

Ewa nigdy nie była zbyt nieśmiała. Zarzuciła mu ręce na szyję, przytuliła się nieco mocniej, niż wypadało,

wspięła się na palce i delikatnie ucałowała jego rozgrzany policzek. Uszczęśliwiony Bejła zdjął buty i przerzucił je na drugi brzeg strumienia. Porwał Ewę w ramiona. Dziewczyna ufnie przytuliła się do niego, gdy zrobił pierwszy krok w sam środek strumienia.

„Łatwizna” – zdążył pomyśleć, zanim poczuł, że dno zapada się pod ich ciężarem, a muł coraz szczelniej otula jego stopę, potem łydkę, udo. Lewa noga, nienaturalnie wygięta, została na brzegu. Twarz Bejły wykrzywił grymas bólu. Uniósł Ewę jeszcze nieco wyżej, by nie zamoczyła sukienki i już niewiele mógł zrobić. Zaśmiał się, próbując obrócić wszystko w żart.

– Ewuniu, utknęliśmy. Spróbuję przerzucić cię na brzeg.

Dziewczyna uśmiechnęła się szelmowsko. Po chwili stała na trawie, jednocześnie podziwiając siłę Bejły i bawiąc się śmiesznością sytuacji: oto jej adorator zanurzony po pas w wodzie, z miną raczej nietęgą, szukał wytrwale twardego oparcia dla nóg. Plaśnięcia mułu utwierdzały go w przekonaniu, że trud jest bezcelowy... na razie. Po kilku bezskutecznych próbach uwolnienia się z blocka, schował dumę do kieszeni.

– Piękna sytuacja – rzekł wściekły. – Podaj mi rękę. Może wspólnie damy radę.

– Na pewno!

Ewa wreszcie mogąc dać upust tłumionemu śmiechowi, znalazła wygodne i bezpieczne miejsce dla stóp. Chwyciła wyciągnięte ramię Bejły i pociągnęła ku sobie raz i drugi. Wprawdzie jej wysiłki przynosiły nikłe rezultaty, ale... krótki odpoczynek i walka potoczyła się dalej. Kolejny raz zwyciężyła natura. Dziewczyna zrezygnowana usiadła na trawie.

– I co teraz?

– Próbujemy. Musi się udać.

Złapała jeszcze raz rękę Bejły. Walczyli tak dobrych kilkanaście minut.

- Idę po pomoc. Sami nic nie zwojujemy. Bądź grzeczny i czekaj na mnie. Wróć.

Bejła zaprotestował gwałtownie.

- Dziwny jesteś - skwitowała jego słowa. - Ambicję rozumiem. Ale kompromitacja? Wstyd? To, że ludzie wyśmieją? Że będzie temat na cały turnus? Śmieszne! - prychnęła gniewnie.

Bejła był nieprzejednany. W jego oczach zobaczyła niemą prośbę.

- To pójdę do wsi. W ośrodku się nie dowiedzą - dziewczyna jakby czytała w jego myślach. - Szybko obróć. Mam młode, zdrowe nóżki

- Nie! - tym krótkim słowem Bejła uciął kolejną próbę negocjacji.

- To działaj sam! - Ewa była już nie tylko rozbawiona, ale i zła.

Chłopak spojrzał bezradnie na ciemną wodę strumienia rozbijającą się na jego brzuchu.

- Przepraszam - szepnął. - Nie tak miało być...

- Ależ wiem. Nie przepraszaj. To nie twoja wina - w tym Ewa była dobra. - A poza tym... Patrz! Słońce świeci, łąka rozkwita, a my jesteśmy razem.

Popatrzyła mu prosto w oczy i uśmiechnęła się czule.

Uskrzydłony tymi słowami Bejła, jakby w przypływie nowych sił, podjął trud wydostania się z matni. Rozkołysał ciało, szukając jednocześnie luzu dla uwięzionej w mule nogi.

„A gdy już ją wyciągnę...” - pomyślał.

Nie był to dobry sposób. Wzburzył tylko fale w strumieniu. Trzeba inaczej. Począł rozgarniać muł rękami.

Pracował zapamiętane. Zdawał się nie dostrzegać, że w miejsce wydobytej mazi pojawia się nowa.

Ewa przysiadła na brzegu, podciągnęła kolana pod brodę i obserwowała walkę Bejły ze strumieniem. Czoło i ramiona chłopaka pokryły się potem. Musiał być już bardzo zmęczony. Wysłała mu więc nieco energii w nadziei, że to zadziała.

I udało się. Bejła, bardzo już znużony, poczuł nagle, że może poruszać nogą. I w dodatku – nie zapada się głębiej! Jego walka dobiegała końca. Obmył twarz wodą. Przyniosło mu to ulgę, bo mimo zbliżającego się wieczoru, żar lał się z nieba. Jeszcze chwila i jego smukłe palce sięgnęły darni na brzegu. Ewa podniosła się powoli, ujęła mocno wyciągniętą dłoń. Krople tęczy znikwały powoli z ramion i ciała Bejły, a on sam po chwili leżał u jej stóp na soczystej zielonej trawie. Dyszał ciężko. Umorusany błotem wyglądał jak siedem nieszczęść. Ewa siadła obok, przytuliła jego głowę i zaczęła bawić się pierścieniami ciemnych włosów. A gdy zauważyła, że już tylko markuje zmęczenie, roześmiała się: – Ale przygoda!

Bejła uśmiechnął się leciutko, a ona paplała dalej:

– Wracajmy... Stary Młyn zestarzeje się najwyżej jeszcze kilka dni, ale poczeka.

– Marnie wyglądamy, trzeba się trochę obmyć. Co sobie ludzie pomyślą?

Ewa spozrzała na swoje upaprane błotem nogi i ramiona, na plamy mułu na ulubionej sukience.

– Ludzie? E, tam! Pomyślą, że byliśmy na randce nad strumieniem. Co w tym złego? Idziemy!

Bejła, śmiejąc się, wskazał strumień.

– Musimy przeprowić się na tamtą stronę. Może cię przeniosę?

– Wariat! Idziemy dokoła.

Słońce zachodziło krwawo – na pogodę. Znów bawili się swoimi palcami i zerkali na siebie z zainteresowaniem. Znaleźli miejsce, gdzie strumień był na tyle wąski, że mogli go swobodnie przeskoczyć. Gdy dotarli do ośrodka, zmierzchało.

– Chyba nikomu nie powiemy, co nam się przydarzyło? – powiedział Bejła u progu zielonego domku Ewy. Dziewczyna dostrzegła w jego oczach wielki znak zapytania.

– Trochę głupio – dodał.

– Nie dlatego, że głupio, ale dlatego, że to nasze – poważnie odrzekła Ewa. – Mamy już swoją piosenkę, a od dziś też tajemnicę. Dziękuję ci...

– Nie, to ja dziękuję... Idę wykąpać się w jeziorze. Wszędzie czuję muł. Pójdziesz ze mną?

– Nie dzisiaj. Obmyję się tu, trochę odpocznę. I coś zjem, bo kolacja nam pewnie przepadła.

Bejła wyciągnął dłoń, by musnąć kosmyk włosów dziewczyny. Plamy zaschniętego błota na palcach spowodowały, że powstrzymał się z żalem i rzekł tylko:

– No to idę. Ale dziś jeszcze zabiorę cię na spacer. Nad... jezioro.

Roześmiał się, uniósł rękę w geście pożegnania i pobiegł. Ewa patrzyła w ślad za nim, aż jego cień nie zniknął między drzewami.

Minuty wlokły się w nieskończoność. Bejła spoglądał z niecierpliwością na zegarek.

„Iść już, czy może jeszcze zaczekać?” – bił się z myślami.

Nie chciał być zbyt natrętny. Po kąpieli w jeziorze czuł się lekko i rześko. Uśmiechnął się na wspomnienie przygody nad strumieniem.

„To ci heca”.

I już chciałby biec do Ewy, znów ująć jej dłonie... Minęła ledwie godzina, nim się pożegnali. Zmierch już zapadł. Wieczorny wietrzyk bawił się jego lokami. Stęskniony był okrutnie. Wreszcie ruszył. Biegiem mijał zabudowania ośrodka, byle szybciej... Przed domkiem Ewy zwolnił kroku w obawie, że dziewczyna zauważy jego przyśpieszony oddech i pozna, jak bardzo się śpieszył.

Ewa czekała. Patrzyła na kołyszące się czubki drzew. Za nimi było niebo. Gdzieś obok coś zaszeleściło. Pewnie któryś z piesków wybrał się na wieczorny spacer. Pac! Spadła szyszka. Z dala słyszać było muzykę i odgłosy balangi. Spojrzała na zegarek. Może jeszcze włosy przeczesać? E, tam... Już ciemno. Po co w ogóle malowała rzęsy? I ta odrobina perfum mamy... Jeszcze sobie Bejła pomyśli, że to dla niego... Hm... Będzie miał rację.

Weszła do domku, zostawiając uchylone drzwi. Wyłączyła lampkę, żeby komarów nie ściągała. Siadła na tapczaniku, podciągnęła nogi i zamyśliła się. Ośrodek, ten pokój, jej od kilku miesięcy azyl, jezioro wśród lasu odpływały coraz dalej... Rozmarzyła się... Przypomniła sobie łąkę i strumień... silne ręce Bejły... tę delikatność i przytulenie mocniejsze niż trzeba. Obserwował dziewczynę przez otwarte drzwi. Odczekał jeszcze chwilę i wszedł na werandę. Ewa usłyszawszy jego kroki wstała i wybiegła mu naprzeciw.

- Jesteś?

- Jestem, jestem.

Wciąż jeszcze byli onieśmieleni sobą. Tylko ręce były odważne. Oczy błyszczały, usta się śmiały... Półmrok wokół im sprzyjał.

- Chodź, pójdziemy na pomost... - zaproponował.

Ewa delikatnie wsunęła palce w dłoń Bejły. Chłopak poczuł miłe ciepło jej dłoni i leciutki dreszcz wstrząsnął jego ciałem. Do jeziora i pomostu mieli ledwie kilka kro-

ków. Las cicho szumiał. Bejła spojrzał na gwiazdziste niebo i w głowie mu się zakręciło. Monumentalne sklepienie było jakby na wyciągnięcie ręki. Poczł w nozdrzach zapach kobiety, jeziora, a wiatr przyniósł mu z dali woń ogniska biwakowiczów. Mocniej ujął dłoń Ewy. Weszli na trzeszczący pomost i usiedli spuszcżając nogi ku wodzie.

Oszołomieni chwilą zrazu nic nie mówili. Bejła objął Ewę delikatnie, a ona z ufnością oparła głowę na jego ramieniu. Trwali tak w bezruchu całą wieczność.

- *„Jak się nie nudzić, gdy oto nad globem milion gwiazd cichych się świeci”* - nieoczekiwanie wyszeptał Bejła. - *„A każda innym jaśniej sposobem, i wszystko stoi, i leci”*.

- Lubisz Norwida... - raczej stwierdziła, niż zapytała Ewa.

- Lubię, to mój ulubiony wiersz.

- Nad globem milion gwiazd cichych... - powtórzyła. - A ja w gwiazdach wciąż szukam Małego Księcia. Powinam już z tego wyrosnąć, a wciąż wierzę, że on tam sobie gdzieś siedzi i nóżką kiwa.

- *„Jeśli spojrzysz nocą w niebo, wszystkie gwiazdy będą się do ciebie śmiały, ponieważ ja będę mieszkał na jednej z nich i będę się śmiał. Twoje gwiazdy będą się śmiały”*. Tak to było?

Ewa zaskoczona oderwała na chwilę wzrok od nieba.

- „Znasz „Małego Księcia?” To należysz do „ludzi Józefa”! Kiedyś ci to wyjaśnię - odpowiedziała na pytające spojrzenie chłopaka. - Ale nie teraz. Taka chwila może nam się więcej w życiu nie przytrafić. Poszukajmy lepiej naszej gwiazdy. Takiej, która będzie przypominała nam siebie, gdy już nie będziemy razem.

Bejła chciał zaprotestować, ale ona mówiła dalej:

- Nie musi być ani wielka, ani bardzo błyszcząca, ani widoczna dla wszystkich. Ważne, abyśmy my kiedyś umieli ją odszukać. Może ta? - wskazała małą gwiazdę, migocącą nad czubkiem drzewa rosnącego tuż nad brzegiem jeziora. - Łatwo będzie ją znaleźć w tak rozgwieżdżoną noc... Spójrz, obok jest gwiazdozbiór...

Przerwała. Poczuła, że Bejła wcale jej nie słucha. Patrzy i patrzy, ale wcale nie na niebo, a gdzieś w ciemny horyzont. Zajrzała w jego ledwie widoczne w ciemności oczy, by dostrzec zakłętą w nich na moment magiczną chwilę. Ich twarze znalazły się blisko siebie. Tak blisko, że... Szczelniej przywarli do siebie. Ewa poczuła na policzku dłoń, znajomym gestem odgarniającą jakiś niesforny kosmyk włosów. Gdzieś niedaleko w czarnej toni plusnęła ryba i gwiazda spadająca rozświetliła na moment niebo.

- Patrz! - wykrzyknęła dziewczyna.

- Pomyśl sobie życzenie. Ja już to zrobiłem. Może się spełni? - Bejła poderwał się: - Chodź, przejdziemy się.

Powoli wstali i wolnym krokiem ruszyli prawie niewidoczną w ciemności ścieżką, mając zaledwie dwa metry od siebie toń jeziora. Fale z pluskiem rozbijały się o brzeg. Szli tak bez słowa, pokonując małe zakręty, odgarniając chwilami przestępujące im drogę gałęzie przybrzeżnych zarośli. We wsi, daleko, zawył tęsknie pies, i zaraz odpowiedział mu inny, z drugiego krańca wioski. Poza tym nic nie przerywało tej ciszy zakłętej. Potykali się niezgrabnie w ciemności o grudy ziemi, chcąc iść blisko siebie na zbyt wąskiej ścieżce. Bejła nie wiedział, dokąd ich polna dróżka tym razem zawiedzie. Zapewne do wsi, bo gdzieżby indziej. Po prawej stronie mieli jezioro, osłonięte zaroślami, mniej w tym miejscu przyjazne, bo skrywające się za szuwarami znanymi tylko wędkarzom. Po lewej, jak okiem sięgnąć, pola uprawne...

Bejła już chciał zawrócić, gdy oto oczom ich ukazał się niewielki stóg siana, oddalony zaledwie o kilka kroków. Spojrzeli na siebie z zakłopotaniem. Bejła, odważniejszy, pociągnął Ewę w jego kierunku.

Wysuszona letnim słońcem trawa pachniała mocno, wabiąc i rozbudzając zmysły młodych ludzi. Zapadli się w siano odurzeni jego wonią i sobą nawzajem.

Bejła wyciągnął rękę ku górze, jakby chciał sięgnąć nieba.

- Czy teraz widzisz naszą gwiazdę? - zapytał.

- Jest, zagubiona wśród milionów innych. Spójrz - Ewa też wyciągnęła rękę i nakierowała dłoń Bejły ku dalekiej gwiazdzie.

- Zgubi nam się, taka maleńka wśród tego ogromu. Nie odnajdę jej później, nie rozpoznałem...

Więc ją dziś zapamiętaj.

Mimo późnego wieczoru oboje nie czuli chłodu. Ewa wtulona w ramiona Bejły wyglądała przy nim jak krużyna, delikatna i bezbronna. Zapragnął Bejła ust dziewczyny i strach go dziwny obleciał, bo przecież on... nigdy... I ten paraliż, że ona... odgadnie.

Wyczuła jego przyspieszony oddech. Usłyszała bicie serca, łopocącego w piersi niczym ptak na uwieży. Zauważyła dziwną nieporadność, z jaką próbował zbliżyć usta ku jej ustom. Przeczesła mu palcami włosy, wygładziła brwi, leciutkim dotykiem przymknęła powieki, musnęła policzek, wargi... Czule ujęła w dłonie jego twarz i podała mu wilgotne usta gotowe do pocałunku. I przyjęła jego delikatną pieśczętę, ciepłą i miękką.

Świat zawirował nad ich głowami, gwiazdy się radośnie roztańczyły, gdy oboje poczuili smak swoich ust. Nieśmiałość i drzenie każdego mięśnia zastąpiła namiętność, uwolniona wreszcie z ich ciał. Bejła chciał ukryć wzruszenie, jednak łza, niewidoczna w ciemności, spły-

nęła mu po policzku. Ale Ewa poczuła jej słony smak i mocniej przylgnęła do chłopaka. Oddawali sobie pocałunki bez opamiętania, aż zmęczeni, oderwali się od siebie.

Bejła szybko oddychał. Chciał Ewie powiedzieć tysiąc słów, że ona... że on... że jeszcze nigdy... i że ta gwiazda, ich gwiazda.

Kolejne gwiazdy spadające przecięły niebo, warkocze przecudne pozostawiając za sobą...

Ewa wiedziała. Nie pozwoliła mu mówić, ponownie kładąc usta na jego ustach. A on dopominał się ich całym ciałem, chciał jeszcze i jeszcze... I noc ich szczelnie otuliła, szmer wody z jeziora ukoił, a gwiazdy nad nimi jaśniej zabłyśły... Czas zatrzymał się w niespełnieniu.

Bejła do Ewy

Naszej gwiazdy już nigdy więcej nie odnalazłem na niebie. Szukałem na nieboskłonie, sam siebie okłamując, że to właśnie ta. Jednak za każdym razem była to inna gwiazda. Wybrałem więc sobie inną. Ją zawsze znajdę. To mała gwiazdeczka obok drugiej gwiazdy w dyszlu Wielkiego Wozu. Później wielokrotnie jeździłem do R. To były krótkie, dwu- trzydniowe wizyty. To miejsce mnie urzekło. Ostatni raz byłem tam przed rokiem. Od naszego spotkania minęło ponad trzydzieści lat. Te same obskurne domki, skromne wnętrza z tapczanikiem, stolikiem i dwoma świetlicowymi krzeselkami z lat siedemdziesiątych. Wiem, bo nie mogłem się powstrzymać, by nie zajrzeć do jednego z nich przez rozsunięte firanki. I szyszki spadające z drzew wprost pod nogi. Świetlica zamieniona na bar byle-jaki. Nikt już nie tańczy tam na wieczorkach zapoznawczych. I „Małej Ewy” nikt nie

nuci, bo Krzyś od dawna już aniołom gra na gitarze. Wzruszenie dziwne ścisnęło mi gardło.

Nie pojedę więcej do R.

Pozostał żal niespełnienia, pozostała złość na Chłopa z Mazur, który pewnego dnia przyjechał i zabrał mi ciebie daleko.

Dla mnie R., to jezioro i przyroda na wyciągnięcie ręki, lato rozciągające się po horyzont, spacer w gorące noce, wspomnienie spadających gwiazd, strumień przecinający łąkę i nasza cudowna przygoda. I miłość niespełniona, która gdzieś, głęboko w sercu utkwiała na wiele lat. I ten młody chłopak w żółto-kracastej koszuli, zbyt może jeszcze młody, by odważnie porwać dziewczynę w ramiona i powiedzieć: kocham.

Pomiędzy ośrodkiem a wsią wyrosło daczowisko. Ruch jak na Marszałkowskiej w Warszawie. Wieczorami pijackie hordy przewalające się alejkami, ryk wypasionych motocykli i wymiotujących gardeł. Nie ma cichych nocy, łąk kolorowych, ścieżek wąskich i nas siedzących na pomoście z nogami spuszczoneymi ku wodzie. Nie pojedę więcej do R.

Ewa do Bejły

Ośrodek najpiękniejszy był w czerwcu, gdy wszystko dopiero budziło się do życia. Za domkami rosły ogromne kanie, które łatwo przyrządzało się w domku (miałam kuchenkę dwupalnikową). W jeziorze było dużo raków, które gotowali Ela i Wojtek z Wrocławia. A ja z ich szczypiec produkowałam naszyjniki (i długo nosiłam, chyba widziałeś?). Noce były cudne: drzewa głośno szumiały, niebo na wyciągnięcie dłoni, gwiazdy leciały, świetliki fruwały nisko nad ziemią. Pachniały dzikie kwiaty i skoszone trawy. O świcie robiło się czerwono-

purpurowo, potem pomarańczowo-żółto i wstawał dzień. Zaraz za świetlicą (no, może nie tak blisko) przy drodze, była jakaś stodoła, którą upatrzyły sobie jaskółki. Lubiłam patrzeć, jak pisklęta uczą się latać, lubiłam słuchać ich głosów, zwłaszcza, gdy nisko latały ostrzegając przed deszczem. A zachody słońca... Nie byłam tam nigdy więcej. Domki były świeżo pomalowane i wydawało mi się wtedy, że mieszkam w wiosce krasnali. Zbierałam kwiaty, szyszki, gałęzie, muszelki i znosiłam do domku. Ale tu nie chciały pachnieć...

W R. miałam zostać jeszcze cały wrzesień i wyjechać, kiedy lato przekwitnie. Taką miałam umowę o pracę. Nadszedł koniec sierpnia. Choć więcej się tam bawiłam, niż pracowałam, czegoś organizm nie wytrzymał. Pamiętam, że po którymś wieczorku tanecznym, może nawet pożegnalnym, pomagałeś mi sprzątać. Ustawialiśmy stoliki i krzesła. I wtedy zasłabłam. Ze wszystkimi tego konsekwencjami. Los zadrwił ze mnie. Zatarł w mej pamięci piękne chwile. Teraz, gdy o nich piszesz, gdy pytasz, czy pamiętam, wydaje mi się, że tak. Ale sama nie jestem sobie w stanie nic przypomnieć. Chociaż? Czy Ty miałeś koszulę w kratę? Żółtą? Zapamiętałam niebo. Zapamiętałam wszystkie zapachy i dotyk twego ciała. I tyle. I to wrażenie, że byłam szczęśliwa.

Lubiłam chłopców nieśmiałych, jak ty. Zwłaszcza w tamtych czasach... Czułam się bezpiecznie i uciekałam, gdy sprawy zachodziły za daleko. Czy żałuję? Chyba nie. Nie zależało mi nigdy na zaliczaniu facetów. A w sprawach miłości byłam równie niedoświadczona, co ty. Bałam się „samców”. Lubiłam i lubię do dziś grę wstępną. Wtedy mi wystarczała. Kochałam maślane oczy, drżące ręce i piękne słowa. Nigdy by ich nie mówili, gdybym ulegała. Nigdy nie pozostałabym w pamięci

jako miłość niespełniona. Czasem wpadałam we własne sieci.

Ale nie żałuję. Nie myślałam też, co by było gdyby... Bo i po co? Stało się inaczej... Zmieniliśmy się, wydorośleliśmy, zmadrzeliśmy... Mamy za sobą spory kawałek życia, a w nim wciąż miejsce dla tej przygody. Czasem myślę tylko, po co Los znowu nas ze sobą zetknął? Jaki ma w tym cel?

*Tyle razy się z Tobą żegnałam
bez słów, zwyczajnie, ot tak.
Oczy jak pieprz suche miałam,
w sercu gniazdo wił tęsknoty ptak.
Tyle razy zapomnieć umiałam.
Pewnie uda się znowu... Po prostu
– nie szukać tej jedynej z gwiazd,
nie pamiętać blasku oczu, tonu głosu.
Tyle razy wracało w marzeniach to,
czego nigdy nie było
i nazwać próbowałam coś,
co się nam nie przydarzyło.
Tyle razy potem myślałam
znajdując ciebie wśród wspomnień,
że nie uda mi się z tobą pożegnać,
że nie uda mi się ciebie zapomnieć.*

Józefa Drozdowska

Bzy

Ogromny krzak bzu od zawsze pilnował wejścia do naszego ogrodu od strony *zielonej dróżki*. Jego gałązki, jak dobrze pamiętam, przechylały się z jednej strony na drucianą siatkę okalającą sad, z drugiej zaś – na drewnianą odsuwaną w bok bramę. Z czasem brama rozpadła się, trudniej więc mu było pełnić tę służbę. Wszystko, co żyło bez względu na to, ile miało nóg, nie pytając nikogo, kiedy tylko chciało wchodziło do królestwa jabłoni i grusz. Siatka trzymała się jeszcze bardzo długo, choć i w niej zaczęły powstawać coraz większe dziury, a niemalowana rdzewiała, i wyginała się na wszystkie strony. On, krzew bzu, był zaś z każdym rokiem dostojniejszy, większy, gęściej porośnięty gałązkami, tak jakby miał zastąpić w swej roli i bramę, i siatkę naraz.

Ciocia Marysia oraz inne osoby z jej otoczenia nigdy nie mówiły o nim inaczej jak *beśt*. Tak więc do *beštu* odprowadzało się sąsiadki będące na *wieczorynkach* i gości częściej bywałych w naszym domu, ponieważ tych, co zjeżdżali raz na jakiś czas, odprowadzało się aż do szosy. Krzak był więc świadkiem niejednych zwierzeń i tajemnic sąsiedzkich, szeptanych bardzo często sobie na ucho. Nie było pory roku, w której stada wróbli przekrzykujących się i wymyślających sobie nawzajem, nie buszowałyby w jego gałęziach. Zdarzało się i też nie tak rzadko, że któraś z naszych lub sąsiedzkich kur uznawała, że nie gdzie indziej, tylko w środku bzu, w siwiuteń-

kim leżącym u jego korzeni piachu, warto jest umościć gniazdo i przez dwa tygodnie znosić w nim jajka, aby potem niespodziewanie wywieść z niego stadko płochliwych *bachorów*, jak nazywano tak nielegalnie wylęgłe z jaj kurczęta.

Tuż obok krzaku bzu rosła, przewyższająca go o kilka głów, stara dziczka rodząca każdego roku mnóstwo maleńkich, cierpkich w smaku gruszeczek. W niedalekiej zaś odległości trwała rozłożysta, krępa kronselka, której jabłka jesienią trzeba było wybierać spośród bżowych gałązek.

Najpiękniejszym czasem dla bzu był maj. Jeszcze z końcem kwietnia stał jedynie w sukni zielonych liści, a wraz z początkiem maja jak za dotknięciem pałeczki wróżki, niebiescił się cały od stóp do głów. Wiechy ciemnoniebieskiego, wpadającego w lila kwiecica okalały cały krzew. Czym wyżej, tym kwiaty zdawały się być pełniejsze i bardziej rozłożone. Rosnąc zaś nisko dopiero pękały i jeszcze długo w maju były przymknięte w swoich tulejkach. Zrywałam ich kiście do bukietów, które ustawiałam na wszystkich stołach, jakie znajdowały się w naszym domu. Firanki w oknach wychodzących wprost na tę część ogrodu, gdzie rósł bez, przesycone były jego zapachem, a gdy nadchodził zmierzch, zdawało się, że bez podchodzi aż pod samiutki okna i przenika sobą wszystko, co się znajduje w domu – także ludzi w nim mieszkających. Wszystko więc wokoło niebiesciło się od jego bytności. Wszystko zdawało się być odurzone jego wonią. Zaś dzwonki małych konwalii rozspanych pod płotem ogródka, zdawały się drzeć na tym niebie zeszłym na ziemię.

Finał rozkwitu krzewu zdawał się przypadać na św. Zofię. Wtedy dopiero w pełni dojrzawał. Zrywało się jego gałązki i dla towarzystwa dodawszy rozkwitłe do-

piero bujany, winszowało się z najlepszymi życzeniami mamie i sąsiadce – pani Zofii Sołtys. Bez był symbolem ich święta. Zofie zdawały się być całe spowite w jego fiolety, lile i niebieskość.

Dziewczęta często wróżyły sobie z kwiatów bzu. Ileż to godzin przestało się przy krzewie, by wypatrzeć na nim odmienne kwiaty, które miały więcej niż cztery płatki. Każde takie szczęście połykało się, pomyślawszy nieco wcześniej życzenie do spełnienia albo zbierało się je do jakiegoś pudełeczka. Choćby po zapalkach. Kiedy już było całe napełnione, zjadało się kwiatki uroczyście, marząc o wielkiej zmianie w życiu. Czasem wsypywało się zawartość pudełeczka za kołnierz bluzki. Ta druga forma wróżby miała swój defekt, ponieważ wieczorem myjąc się, trzeba było wyrzucić zwiędłe kwiatki nie będąc pewną spełnienia zaklęć. Na dodatek brudziły bluzki i sukienki. Wkładano też pudełeczko z kwiatkami bzu na noc pod poduszkę. Ach, te dziewczęce naiwności niespełnione do dzisiaj!

Zawsze wielkim podziwem obdarzałam bzy moich sąsiadów. Gdy zamknę oczy, widzę cały długi rząd białych i fioletowych krzewów przeglądających się w dużym stawie Sołtysów. Jakże one pięknie wyglądały z malowniczą starą lipą obok warującą tuż nad drogą. Mama przez wiele lat obiecywała, że posadzi od nich krzak białego bzu, ale tylko na obietnicach się skończyło. Ten biały lepszy był na wróżby. Miał więcej wielopłatkowych kwiatków. Może mama nie chciała zdradzić naszego niebieskiego? Dbała o niego jak tylko mogła najlepiej, często podlewała go gnojówką, by szybciej bujał ku słońcu. Mówiło się u nas, że krzewy i kwiaty często przejmują od siebie kolory i z czasem te słabsze zanikają. Może nie chciała, by kiedykolwiek zanikł? Może...

Dopiero po wielu, wielu latach wokół naszego podwórka pojawiły się przyniesione przez mamę od kogoś ze wsi, może od Zalewskich, krzaki czarnego bzu. Rozpanoszyły się w moment, stanowiąc swoiste ogrodzenie dla zszarpanego zębem czasu podwórza. Ale to już całkiem inna opowieść.

Może nadal kwitnie w maju, stróżując ogrodowi, drodze i naszej pamięci niebiesko kwitnący bez, który rósł tam, jak mniemałam od zawsze. Bez pilnujący moich dziecięcych przestrzeni.

Czajki

Wiosna na wsi zjawiała się ni stąd, ni zowąd. Wychodziło się przed dom, siadało na drewnianym, wypłukany przez deszcze progu, po którym wędrowały już mrówki – zwiastuny ocieplenia. Pod wieczór rozlegał się wokół śpiew ptaków.

W jednym ze swoich wierszy napisałam kiedyś: *Rzucam wokół spojrzeniem. / Jak mało czajek. / Jakie puste pola. Czajki. Tak je kochałam! Były zawsze i wszędzie. Teraz, kiedy odwiedzam rodzinne strony, słyszę i widzę je coraz rzadziej. Ki - wit, ki - wit rozlegało się już bardzo wczesną wiosną, czasem już w marcu, a nawet pod koniec lutego i towarzyszyło nam aż po wrzesień, kiedy to odlatywały w cieplejsze strony.*

Jak okiem sięgnąć, na morenowych pagórkach naszych pól i leżących w ich zagłębieniach bielach aż po bagna Trukiele – wszędzie były one. Chyże, smukłe, z fikuśnie zagiętym do przodu czubkiem, już tuż za domem zakładały gniazda. Gromadkami krążyły bez przerwy nad głowami orzących pola i kiwitając spadały prawie na końskie grzywy. Jeśli podchodziło się blisko ich

gniazd, krzyk czajek się wzmaczał. Chcąc *wywieść w pole* intruza, opuszczały skrzydła i utykając na długie nóżki udawały chore, i tym samym kierowały uwagę na siebie, a nie na gniazdko. Pamiętam, że czasem pokazywał mi czajcze gniazdko ojciec, kiedy nosiłam mu posiłek na pole. Leżały w nich ciemno nakrapiane zielono-brązowe jajeczka. Nieszczęśliwe czajki z powodu, że je tak blisko podglądamy o mało nie wyrwały wówczas z naszych głów włosów. Późną wiosną można było spotkać opuszczone już gniazdko, a w nich porozrzucane skorupki jajek.

Wszyscy cieszyli się z czajek. Nie pamiętam, by ktokolwiek robił im krzywdę. Czasem chłopców trzymały się pokusy i wybierali z gniazd jajeczka, lecz nie było to pochwalane.

Cichły dopiero wtedy, kiedy rosy całkowicie zakrywały biele i pola. Powoli jedna po drugiej, by przed nocą pozwolić na głębsze zasłuchanie w rechot żab. W tumanach białych „mórz” na tle wieczornej zorzy zachodzącej nad Grabowskim Lasem powoli zanikał ich krzyk. Od czasu do czasu jakieś ciemne skrzydełko przecinało rosę jak ostrzem i znikało szybko, za nim następne, a potem coraz to rzadziej i rzadziej, aż całkiem przestały się pokazywać. Pola stawały się jakby puste, ale wiadomo było, że to tylko do wczesnego ranka.

Szkoda, że teraz pola są naprawdę puste, że coraz rzadziej wykluwają się w kwietniu z małych, nakrapianych jajeczek piskłeta wesołych, towarzyskich ptaków, jakimi są czajki. *Ki – wit, ki – wit* nawiedza mnie w snach, zapelnia coraz szczelniej pamięć.

Czerwiec

Czerwiec ma szczególny urok. Jest miesiącem, w którym schodzą się ze sobą wiosna z latem. Nie brakuje mu również zadumy. Otóż za chwilę wraz ze śpiewem ptaków wychowujących swoje pisklęta przeminie *jak z bicia trzasnąć* półrocze. Jeszcze jedno świadectwo szkolne potwierdzi naszą coraz dojrzałą dorosłość. Przybliży się nieco zarysowujący się na horyzoncie kres roku. Jest wreszcie ciepło. Wieczorami od Trukieli aż pod gościniec, a nawet i podwórze podchodzą rosy, zatapiając w swych iluzorycznych morzach wszystko, co w dzień jawi się nam na widnokręgu.

W ogródku kwitną już piwonie, nazywane u nas pospolicie *bujanami*. Niezbyt je lubią dziewczyny. Każde zarumienienie z zawstydzenia jakże kolorystycznie do nich zbliżone, przypomina te czerwonekrwiste, że aż purpurowe kwiaty. Każda z nich, która tylko pełniejsza jest na twarzy, *bujanem* często jest przezywana. Nie da się ukryć za nic w świecie kłamstw czy zmieszania, kiedy się nagle zapłoni niczym piwonią.

Bujan przez wiele lat rósł pod płotem w rogu naszego ogródka nie mogąc nigdy rozwinąć się w pełni. Musiała dożyć swego kresu nasza kotka Katarzyna, by los jego mógł odmienić się. Otóż 15-letnią, bardzo lubianą przez nas wszystkich kocię, mama postanowiła wielce uhonorować, grzebiąc ją w ogródku w szczycie domu pośrodku obu okien. Następnie w to miejsce przesadziła *bujana*. Miał teraz dużo przestrzeni, by móc rozłożyć swoje palczaste liście. W połowie czerwca zaczynały dojrzewać jego pąki, by tuż przed wakacjami mogły rozkwitnąć w purpurowe kule płatków. Z każdym rokiem był większy i wspanialsze miał kwiaty. Wieczorami ciepły czerwcowy wiatr wwiewał do pokoju wraz z jego

subtelnym zapachem ostatnie brzęczenia pszczoł. W miarę jak wiosna przeobrażała się w lato dołączał do nich jaśminowy aromat.

Naręcza *bujanów*, jaśminów, maruny i smolinosów znosiliśmy swoim wychowawcom w dzień odbierania świadectw szkolnych. Nasze granatowe spódniczki i obowiązkowo białe bluzeczki często przez nieuwagę brudziły się wścibskimi wąsami smolinosów, a na kołnierzyki sypały się pyłki z jaśminów, bo każdy bukiet musiał być przez nas trzymany wysoko, jak najwyżej. Uważaliśmy, że czym wyżej je trzymamy, tym bardziej widoczna jest miłość nasza do pani.

W czerwcu, gdy nagle wszystko cichnie, można posłyszeć rosujące łany zbóż. Tu i ówdzie zakołyszę się podobna niebu ostróżka polna i przez wieki noszący na sobie znamię biblijnego przekleństwa fioletowy kąkol. Miesiąc, który roznosi się po świecie drzeniami brzozywych gałązek zdobiących ołtarzyki i wonią więdnących wianków z ziół. Jakże pomocne są w chwilach, gdy zaniemoże z przestrachu dziecko. Okadzone zmory wygnane mocą Bożą złożoną w rozchodnikach i macierzankach pierzchają wtedy na sam koniec świata. Święty Jan ochrzci wodę i sady, a wtedy mama pozwoli nam na kąpiel w sadzawce czy niedalekim jeziorku. Będzie można też już jeść owoce z drzew.

Znak to, że wiosna odeszła już bezpowrotnie i tylko ogniska po miedzach przypominać będą o palinocce – czerwcowym wieczorze, w którym pocznie się lato.

Dziurawiec

Jest moim dobrym znajomym. Teraz, kiedy chodzę lasami Puszczy Augustowskiej, zrywam go zarówno dla celów leczniczych, jak i ozdobnych. Latem gości w moich bukietach. Jakże mu do twarzy w starym gliniaku odnalezionym na strychu mego wiejskiego domu i po doszorowaniu zajmującym czołowe miejsce w panteonie przedmiotów mojego pokoju. W kuchni zaś wraz z innymi ziołami wisi w pęczkach na ścianie, stając się dostępnym darem natury w chwilach, gdy niedomaga zdrowie.

Pamiętam, że porastał łagodnie spadający ku łąkom ugór tuż nad rzeczką Turówką. Dzielił miejsce wraz z dużymi złocieniami, zwanymi przez nas rumiankami, macierzanką, drobną białą koniczyneką, waplinkiem, świeczkami i innym zieleń, które gdy tylko przymknę oczy, przybiegają do mnie w barwnych obrazach dywanów, niegdyś rozpościeranych przez lato. Rósł też na wyżej położonych dzikich łąkach, tuż koło bagien zwanych Trukielami, a także na szerokich miedzach granicznych pomiędzy moją wsią Jeziorkami a Turówką. Kiedy tylko kwiaty dziurawca zaczynały złocić się i otwierać się szerzej na słońce, chodziłyśmy wraz z mamą ścinać go, i całymi wiązkami przynosiłyśmy ziele do domu. Królował wraz z kminkiem, piołunem i gałązkami lipy na strychu, przywiązany do sufitu tuż przy niepotrzebnych nikomu matronach lamp naftowych, pozostawionych nie wiadomo komu nicielnicach tkackich i ramkach na pszczeli miód. Kręciło się w głowie od tych wszystkich zapachów już na ostrych schodach prowadzących na strych. Jakże lubiłam to królestwo staroci i ziół ze smużką kurzu wirującego w szybce małego okienka w szczycie domu. Ileż w tym było tajemnic.

Pośród innych ugorowych roślin wysoki dziurawiec wyróżniał się swą postawą i dostojnością. Chociaż nie, czasem przewyższał go jakiś rumianek lub krzak bylicy na miedzy, którą też znosiłyśmy do domu. Ojciec robił z niej miotły.

Był wszechstronnym lekiem stosowanym przez moją mamę. Używała go na wszelkie dolegliwości żołądkowo-wątrobowe. Niech tylko przyczaiła się jakaś biegunka w domu czy okolicy, *ściskanie w dołku* itp., zaraz gotowała wodę i zaparzała dziurawiec. Tak jak maliny z kwiatem lipowym były jedynym antidotum na wszelkie choroby przeziębieniowe, tak dziurawiec – na wszelkie choroby brzuszne. Leczone nim też chore zwierzęta. Mama obdarzała nim dookoła sąsiadki, które jakoś same nie wpadły na pomysł zbierania roślin. Czasem miejsce dziurawca zajmował ostry piołun. Tego bardziej bałam się niżli penicyliny, a jego gorzki zapach wywoływał we mnie dreszcze w najbardziej słoneczny dzień.

Jarzębina czerwona

Jarzębina nie upodobała naszej zagrody. Różnorodnych drzew i krzewów rośło tu mnóstwo. Jedyne mizerne jej drzewko przedzierało się pośród olszyny ku sinemu wrześniowemu niebu.

Gdy szło się pomiędzy dwoma sadkami *zieloną drózką* od bagna, bujną jeszcze jak na tę porę roku wrześniową zielen, zdobiły różnej tonacji czerwienie. Dwie malinówki rozrzucały wokół pnia swoje purpurowe aż do bólu oczu jabłka. Tuż za nimi małe kartoflane poletko odgradzały od warzywnika dwa rzędy astrów, wśród których nie brakowało czerwonych, wiśniowych, bordowych i karmazynowych. Od przysadzistych po karłowa-

te i okrągłe, jak piłeczki porzucone przez dzieci, aż po wysokie o igielkowych kwiatach na żółkniejących plamach grządek kładły się jaskrawymi plamami, radując oczy przechodniów i pracujących w ogrodzie.

Za zarastającą wąską łączką oddzielającą sad od *torfowniaków*, rosło pośród olszyn owo jarzębinowe drzewko. Trudno było je wypatrzeć z drogi. Czerwone baldachy jego owoców sprawiały wrażenie, jakby zatrzymała się na chwilę pośród drzew jakaś zawstydzona wątpa dziewczynka. Drzewko nie miało szczęścia widywać zbyt dużo słońca. Olszyny pięły się ku niebu, zasłaniając mu je ciągle. Wyższe drzewa doganiała wciąż olszynowa młódź. W miejscu tym było przez to dosyć gęsto i ciemno. Jarzębina przechyliwszy się przez jedną z olszyn, kierowała swoje czerwone lica ku wodzie, ku rosnącym na brzegach torfowniaków *kalmusom* i pałkom wodnym. Ona pierwsza za to miała okazję wypatrzeć przepływającą tu każdą kurkę wodną i dziką kaczkę. Niechcący stawiała się miejscem ich połowu przez naszą burą kocicę, która przycupnięta na jej gałązkach czatowała na ptaki.

Z drogi jej czerwone owoce były mało widoczne. Gdzieniegdzie jedynie zdawała się błyszczeć w ciemnej zieleni olch barwna łza. Czy to za odchodzącym latem czy nad losem ptaków się żaliła? A może to były łzy zawstydzienia? Dostęp do jej owoców był dla nas bardzo utrudniony. Zrywanie ich groziło wypadnięciem do *torfowniaka*, a mogło skończyć się ono nawet utonięciem. Poblże jarzębiny upodobała sobie jeżyna. O jej gałązki zdrapać można było na dobre sobie łydki, a i rozerwać sukienkę często także. Z tychże powodów jarzębina rosła bezpieczna, ozdabiając czerwonymi koralami okolice w jesień i zimę, stając się zarazem spiżarnią dla tutejszych ptaków.

Ucieszyć bardziej mogła nas ta, która rosła tuż przy samej drodze, w bagnie Wyszyńskich. Było to drzewo dorodne i względnie nisko trzymające swe gałęzie. Idąc, można było podskoczyć nieco, by chwycić czerwonych jej kiści, ile się tylko chciało. Nie przypominam by ktoś z ludzi zrywał jej owoce na konfitury, jedynie jak przez mgłę wydaje mi się, że zbierano je na wino i nawet przyjmowano przez jakiś czas na skupie owoców.

Jarzębino czerwona śpiewano na każdym przyjęciu, jakie tylko było w okolicy. Zawsze, kiedy tylko podchmielono się nieco alkoholem i radością wspólnego biesiadowania, nucono tę rzewną, smutną pieśń. Czasem i kilka razy w ciągu jednego wieczoru. Chyba dobrze radziła jarzębina tutejszym pannom, bo tylko nieliczne z nich pozostały samotne.

Lampy, lampki, fanary

Niepotrzebne już nikomu wiszą na strychu. Ich blaszane talerze pokryły setne warstwy kurzu, w szklanych, często wyszczerbionych przez czas kloszach, zwisają zasuszone na wieczność przeźroczyste skrzydełka much i ciem. Tu i ówdzie zardzewiały drut z żałością zaskrzypi za dawnymi czasami. Stare naftowe lampy opowiedziałyby wiele, bo wiele słyszały i widziały. W świetle palących się w nich knotów rozgrywał się teatr dookolnego świata.

Ogromna, jak mi się niegdyś zdawało, lampa wisiała pośrodku kuchni. Zwisiała na masywnym haku wbitym w sufit i była najważniejszym przedmiotem w domu. Mama, rzadziej ciocia Marianna, stając na szeroki stołek, jak najuważniej zdejmowała ją tuż przed wieczorem z sufitu i stawiała na stół. Przycinała wówczas ostrymi

nożyczkami jej knot, dolewała z litrowej błękitnej butli wyciągniętej z kącika obok kredensu, nafty, napełniając nią cały szklany pojemniczek, a następnie przecierała lnianą szmatką do połysku szkło. Tak opatrzona lampa czekała aż do chwili wyciemnienia dziennego światła w szybach, do szarości, która nierozjaśniona domowym światłem stawiała się zawsze nieco wroga. Praca ta należała do codziennego przedwieczornego rytuału, bez którego zdawało się, że nigdy nie byłoby kolacji i nie zawitałyby wreszcie noc. Do wieczerzy zasiadaliśmy dopiero w blasku naftowej lampy i ognia buzującego pod płytą.

Lampy, jak dobrze pamiętam, były zwyczajne bez żadnych ozdób, z blaszanymi w górnej części emaliowanymi talerzami, szaroniebieskiego lub granatowego koloru. Z dziecięcą zazdrością patrzyłam na dużą, zdobną z białej porcelany lampę karbidową u mojej koleżanki Katarzyny, która na dodatek szumiała podczas palenia się.

W razie potrzeby lampę można było *objaśnić* (rozjaśnić), wtedy jej blask dokładniej otaczał krosna tkackie czy mamine lub ciocine ręce uwijające się nad drutami przy robieniu skarpet lub rękawic. W czasie prac wymagających szczególnej jasności zapalano nawet dwie lampy. W jasnej poświacie lamp w zimowe wieczory powstawały serwety i makatki wyszywane przez mamę kolorowymi nićmi. Jeżeli nie potrzeba było większej ilości światła knot podkręcano i lampa ledwo *ćmiła* w ciemnawej kuchni, którą rozjaśniały jedynie snute na głos, zasłyszane lub osobiście przeżyte, opowieści, któregoś z członków rodziny. Najbardziej bałam się tych o duchach i tu i ówdzie pokazujących się cudach, a z największą radością słuchałam o podróżach, dawnych przeżyciach rodzinnych itp. Najjaśniej jednak było w domu podczas odrabiania lekcji, czytania książek

i gazet. W zapachu nafty i migających cieni płomyków po firankach i suficie, rymowały mi się wiersze i układały w pamięci szkolne czytanki, zaś pod pędzlem brata rosły na blokowych kartkach skrzydła uwielbianych przez niego gołębi. Lampa była świadkiem odczytywanych i odpisywanych do dalekiej Ameryki listów, i odszyfrowywania urzędowych kwitów. Ojciec w jej blasku sumował kolumny cyferek. Lubił wieczorami różne rzeczy obliczać, że aż dziwię się, że nie był w swoim życiu jakimś buchalterem, mama zaś wpisywała do swojego zeszytu zasłyszane lub przeczytane przepisy kucharskie. Biorąc lampę we dwie ręce za druciane uchwyty przechodziło się z nią od pokoju do pokoju i do *składowki*, gdzie obok zapachów wędlin, kiszonej kapusty i zsiadłego mleka w kącie królował zapach nafty przechowywanej w dużym blaszanym baku.

Pośród wielu lamp najbardziej zapamiętałam małą stołową lampkę, którą mam zresztą do dzisiaj. Cała szklana i lekko zdobiona wisiała przez wiele lat nieużywana prawie wcale. Dopiero, kiedy zawitała w domu elektryczność i w czasie zimowej zawieruchy zrywane bywały przez wiatr druty elektryczne, przynoszona była do kuchni, by towarzyszyć naszym wieczornym posiadom. Przywykłe do innego już światła oczy nie nadążały w jej świetle ani za igłą, ani za literkami w książce.

Na głównej ścianie w sieni wisiały zaś zawsze fanary. Tych lamp stojących, nazywanych u nas z niemieckiego fanarami, używano do wieczornego obrządku i młócki. Zapalano je również podczas zwożenia nocą przed burzą snopków zboża z pola. Ich niewielkie klosze z grubego przyćmionego szkła były bezpieczne w użytku przy łatwopalnych wiejskich budynkach. Zabierano je również w drogę na targi lub jarmarki. Przyczepione

do wozu lub sań, rozświetlały koniom wyjazdy przed świtem i powroty po zapadnięciu już zmroku.

Kończąc tę gawędę o czasach odległych już nawet dla mojego pokolenia, nie wspomnę o młodszym, zatrzymuję na chwilę swoją pamięć przy małej elektrycznej lampce, misternie wykonanej przez mojego wujka Józika z Elku. Podarował ją na któreś imieniny mojej mamie. W obudowie z miedzianych blaszek, na kolorowej nóżce podtrzymującej żarówkę, z pięknym, złotego koloru abażurem była odąd stałym elementem alkierza stanowiącego naszą sypialnię. Ileż to przeczytałam przy niej książek podczas zimowych ferii. W jej blasku odchodzili kolejno na drugą stronę tejże rzeczywistości moi bliscy. Słyszała niejedno westchnienie i niejedną modlitwę. Lampka przekazująca ich dusze Światłu najważniejszemu, bo wiecznemu.

Lipa

Otwieram okna, dom napełnia się zapachem miodu. To kwitnie lipa. Najintensywniejszy jej zapach jest w samo południe, kiedy słońce parzy wielościwie, a wszystko, co żyje, chowa się w objęcia cienia. Ludzie porzucają polowe prace, kryjąc się w chłodnych z zasłoniętymi oknami domach. Głównym posiłkiem w takie upały jest zsiadłe mleko z kartoflami i sałatą wyciskaną po więksku. Popija się go ostudzonym kompotem z królującego w każdym ogródku rabarbaru. Lipie upał zdaje się nie szkodzić. Jedynie, gdy przeciąga się on ponad miarę, a w dodatku bez kropli deszczu, liście jej skleja spadź. Ociężale kapią mszycowatą słodkością. Lepka lipa odstręcza ludzi, zaś staje się ponętym rajem dla pszczoł.

Nasza lipa rośnie w rogu ogrodu, tuż przy samej między z Prawdzikami i drodze wiodącej z Turówki. Stara, ale wciąż gibka pnie się prosto do chmur, jakby chciała wszystkie je znieść z nieba na drogę i sad. Trzyma dumnie wysoko swoje gałęzie. Chcąc ukraść pszczołom nieco jej lipowego kwiatu na herbatki, tak przydatne w czasie słoty i zawieruchy śnieżnej, trzeba przystawiać do niej drabinę, by go zerwać.

W jej cieniu wyrasta stary drewniany krzyż, którego kute żelazne zwieńczenie dosięga jedynie najniższych gałązek. Już nikt nie pamięta, kiedy i kto ustawił w tym miejscu znak Chrystusowej Męki. A kiedy zasadził drzewo? Legenda podawana jednym przez drugich głosi, że został postawiony na pamiątkę śmierci człowieka, którego zgniotła ściana torfowniaka podczas kopania nieopodał sadu torfu. Spróchniałe krzyże wymieniano na nowe, zawożąc te pierwsze na organistówkę, by służyły – jak mówiono – do wypieku opłatków. Ostatni krzyż poświęcił za czasów mego dzieciństwa ks. Sierpiński – wspomniały mój katecheta. Lipa, od lat rosnąc w otoczeniu krzyża, nabrała od niego świętości. Nikt nie śmie jej tknąć. Przy każdym skłonie jakby całowała jego spróchniałe sęki, jakby spijała kwiatami jego ból i ból mieszkających w jego sąsiedztwie ludzi.

Zapach lipowego kwiecica jest odurzający. Zdaje się płynąć z powietrzem do kuchni i pokoi. Zdaje się osiadać na stole i w książkach. Za nim zaś wpada do domu brzęczenie pszczoł. Wszystkie inne zapachy nikną wobec niego. Jedynie intensywniej pachnie późnymi wieczorami z ogródkowych rabatek maciejka.

Pewnego dnia w progu domu staje ojciec, trzymając ociekające lipowym miodem pszczele ramki. Wtedy łapczywie wysysamy miód ze świeżego jeszcze wosku. W oczach naszych kwitnie lipa. Cała złoto-zielona. A tak

naprawdę przechodzi już jej czas. I lipiec przemija. Na przejeżdżających pod nią ludzi sypnie nie miodem, a opowieściami o tych, co tu żyli kiedyś. O tych, którzy wyhodowali ją z małej krzewinki i na jej straży ustawili drewniany krzyż.

Teraz jedynie otwieram na ciebie lipo okno serca, na twój zapach, na roje pszczoł, którymi tak pieczołowicie opiekował się ojciec. Tylko już okno serca...

Przemijamy...

Przemijamy. Przemijamy jak w listopadzie przemijają liście opadłe z drzew. Jak w grudniu przemijają dni tegorocznego roku. Nigdy bardziej nie czujemy tak mocno przemijalności naszej i świata jak u schyłku dnia, a tym bardziej jeszcze u schyłku roku. Przychodzą wtedy myśli i obrazy widziane we wcześniejszych miesiącach i latach, narzucają się wspomnienia i zdaje się, jakby los tasował za nas karty.

Wybiegam myślami w nieodległy czas, kiedy z koleżanką włączyłyśmy się po dawnym pograniczu polsko-pruskim. Chodząc tak z Irenką Baturową, zapisujemy w swoich myślach i aparatach fotograficznych, zapewne każda z nas inaczej, tę przemijalność, którą jakże intensywnie przeżywa się w końcowym okresie roku. Przechodząc miedze będące dawniej granicami, patrząc na różnoimienne, często z odmiennymi krzyżami, zagubione i podupadłe cmentarze, i siedziby, dotykając fundamentów nieistniejących kaplic i kół młyńskich z byłych wiatraków, ogarnia człowieka szczególna aura pokazująca nietrwałości tegoż świata. I wtedy przychodzi myśl o potrzebie zapisania chwil, które mijają, by tym samym ocalić odrobinę świata. Zachowując je, zachowujemy

siebie. Bo świat z jednej strony przemija, a z drugiej chciałby jak najdłużej pozostać i zachować choćby najmniejszy ślad po sobie.

Pogranicze to znam z opowiadań moich rodziców, ale o tym może kiedyś indziej. Znam też je ze swojego dzieciństwa. Chociaż całkiem inne to czasy. Pierwsze rozsypało się ponad sześćdziesiąt lat temu. To drugie rozsypuje się teraz na moich oczach, podobnie, jak rozpadał się na moich oczach wiatrak w Prawdziskach. Tak samo jak on znika mi z oczu tamtejsza kolejka wąskotorowa. Pamiętam jak przez mgłę, gdy z mamą wracałam nieraz nią z Ełku do Kalinowa z wizyty u wujostwa czy dziecięcego lekarza. W Kalinowie czekał ojciec z wozem lub saniami, by przewieźć nas dalej już do domu w Jeziorkach. Trochę wyraźniej pamiętam ją z Grądzkich. Jeździłam tam wraz z ciotką Marianną latem. Ciotka pomagała wówczas wujnie Bronisławie przy zbiorze lnu. Lniane pole prawie że dotykało torów. Tory i pędząca po nich kolejka najbardziej zajmowało mnie ze wszystkiego, co tam było. Chyba, że dodam do tego jeszcze warsztat tkacki wujny Bronisławy Drozd, gdy spod jej rąk, jak za dotknięciem czarodziejską różdżką wychodziły różnobarwne kilimy. Dyszenie parowozu słyszać było już w Borzymach. Pobierając wodę w Dudkach parokrotnie gwizdał tak głośno, że zdawało mi się, że jest już tuż za moimi schylonymi nad lnem plecami. *O, już kolejka jest w Dudkach* – przekazywano sobie z ust do ust. Dudki, to też szczególne miejsce w moim życiu, gdyż mieszkał mój ulubiony kuzyn z żoną. Praca nie była już w głowie. Na horyzoncie, zza półkola przybliżała się coraz większa sylwetka kolejki. I coraz głośniej dudniły jej koła, i coraz bardziej dyszała. A kiedy zatrzymywała się w Grądzkich, zatrzymywał się wraz z nią nagle cały świat. Za każdym razem myślałam, że wysiądzie z tej

okazji mnóstwo ludzi, a tu tylko jakieś dwie, trzy osoby wychodziły zza nasypu kolejowego. Ona dalej podążała do Kalinowa, gdzie zza horyzontu wyłaniała się kamienna sylweta tamtejszego kościoła, a potem pędziła przez wiadukt w Mażach do Milewa i nieznanego mi Turowa. Później już, w wieku dorosłym, przejeżdżałam kilka razy odcinek z Kalinowa do Milewa odwiedzając tamtejsze biblioteki, to jednak w Turowie nigdy nie byłam. Wciąż tkwi we mnie ciekawość tamtego miejsca. Dziwny to był świat. Innych, wąskich, krętych i obsadzonych ściśle drzewami dróg, czerwonych dachów i jakiejs dziwnej tymczasowości. Teraz chodząc z koleżanką Ireną tym dawnym pograniczem spotykamy nieczynne już stacje, zarastające tory, chylące się znaki ostrzegawcze przed pociągami. I tylko w czerwonych, niekiedy rozpadających się już dachach, snuje się ta sama nuta tymczasowości. Jesteśmy tutaj tylko chwilę, choćby była ona i dłużej, jak niegdyś przed nami inni byli tu też tylko chwilę. I coraz większa dosięga człowieka tęsknota za trwającą tu do niedawna Elką Koleją Dojazdową.

Kolejka mknęła z Elku przesmykami między jeziornymi do Lasek Małych. Tam rozdzielała się na dwie nitki. Jedna z nich prowadziła do Zawad nad jeziorem Rajgrodzkim. Druga, ta, która szczególnie mnie zainteresowała w dzieciństwie, prowadziła przez Sypitki, Pisanicę, Borzymy, Dudki, Grądzkie, Kalinowo, Maże i Milewo do Turowa. Teraz służy jedynie turystyce, ostatnio chyba wyłącznie na trasie do Zawad. Tory w okolicy Kalinowa wyglądają na zarastające. Przemija jak widzę czas kolejki wąskotorowej. A z nią przemija również ogromna połącz historii tej ziemi i zarazem mojej własnej historii. Taka to już najwidoczniejsza kolej rzeczy. U schyłku roku warto o tym pamiętać.

Zegary

Jeżeli rodzice nie szli w Sylwestra na tzw. zabawę składkową, wszyscy razem w domu oczekiwaliśmy Nowego Roku. Gdy zbliżała się północ, stryj Stanisław brał mały kuchenny stołeczek, stawiał na nim i odmykał wiszącą wysoko na ścianie szafkę na zegar. Ręką wstrzymywał na chwilę sporej wielkości zakończone okrągłą tarczą wahadło i niewielkim kluczykiem nakręcał mechanizm zegara. Po czym chował w zakamarku szafki kluczyk i zamykał jej oszklone drzwiczki na zaszczipkę. Chociaż robił to, jak dobrze pamiętam, co najmniej raz w tygodniu, ten sylwestrowy obrzęd przyjmowany był przez wszystkich z uroczystym namaszczeniem. Oto miał zacząć się Nowy Rok i miało się wrażenie, że gdyby stryj nie nakręcił tuż przed północą zegara, może nigdy by on nie nadszedł lub przypadkiem ominął nasz dom. Śledziliśmy z bratem z wypiekami na twarzach lot wskazówek po cyferblacie. Ważne było, kto pierwszy zauważy moment, gdy obie wskazówki mała i duża pokryją się ze sobą na cyfrze znaczącej godzinę dwunastą. Duży krzyżyk i dwie pałeczki, jak się później nauczyłam, oznaczające rzymską dwunastkę, w tym czasie musiały wytrzymać intensywność dziecięcego wzroku i przedziwne niezwerbalizowane zaklęcia, jakby od tej chwili zależał nie tylko cały przyszły rok, ale i reszta naszego życia, wszystkich domowników wraz z psem i licznymi kotami na czele z trikolorką Miśką. Czasem liczyliśmy głośno: jeden, dwa, trzy i tak aż do dwunastu. Innym razem cicho śledziliśmy wskazówki z zapartym tchem, a wszechobecną ciszę przerywało jedynie mruczenie rozspanych na ławie kotów lub trzask drewnianych szczap pod kuchennym blatem czy w kaflowym piecu. W tym dniu nikt nie szedł spać przynajmniej do godziny

pierwszej. *Dwunasta, dwunasta* rozlegało się po kuchni i po alkierzu, a także po stajni i sadzie. Wszystko usłyszało, że jest już dwunasta i stary rok czmychnął gdzieś za stodołę. Hen gdzieś w niebyt i nigdy więcej nie powtórzy się, chyba że we wspomnieniach. Mama objaśniała bardziej lampę nad stołem, by w ten nadchodzący Nowy Rok było wszystkim jaśniej. Składano sobie życzenia. Starsi wychylali po sznapsie jakiejś okowity, zagryzając suto zastawioną zakąską z chrupiącymi wyciągniętymi prosto z antalka ogórkami. Nie brakowało wypieczonego przez mamę chrustu i karnawałowych róż. Ojciec wyciągał torbę czekoladowych cukierków kupionych za sprzedane na targu jabłka, a czasem przynosił ze składówki kosz włoskich orzechów, jeśli wcześniej przyniósł je do nas stary jego kolega, pan Rólkowski. W przetworzonych do alkierzyka drzwiach błyszczały ozdoby choinkowe i skwierczały świeczki na igliwiu.

Zegar jakby dziwił się nieco temu zapatrzeniu w jego stronę. Przez cały rok zerkano na niego tylko z ukosa. Teraz był w centrum uwagi wszystkich. Dziwował się temu nocnemu świętowaniu, bo to z ubiegłego roku już zapomniał. Z minuty na minutę przechodził ponownie na drugi plan. Stawał się jednym z wielu kuchennych sprzętów, nie więcej ważnych od stołu czy ławy przy piecu. Nadal wisiał na bielonej ścianie tuż przy drzwiach prowadzących do alkierzyka, gdzie była nasza sypialnia. W sąsiedztwie po jednej stronie starego drewnianego krzyża, a po drugiej też leciwego w lata, zakopconego nieco od środka, obrazu ze św. Antonim w brązowej ramie. Pod nim stała pomalowana na zielono etażerka z książkami i bukietem bibułkowych kwiatów, później zastępowanych zasuszonymi barwnymi suchotnikami, na górnej półce. Od Wigilii za jego szafką tkwiła mała gałązka jemioli, opadłej z topoli rosnącej na podwórku,

którą mama przed świętami Bożego Narodzenia wtykała tam na szczęście. Trwał tak na ścianie od dawien dawna. Ozdobna szafeczka w każdą sobotę była uważnie odkurzana. Tak, by nie stłuc lub nie zarysować szklanej szybki. Nie wiem, dlaczego prawo nakręcania zegara miał jedynie stryj. Może zegar był jego osobistą własnością. Gdy stryj zmarł pewnego Bożego Narodzenia, zegar stanął na godzinie jego śmierci i już więcej się nie ruszył. Wskazywał przez wiele lat szóstą po południu...

Od tej pory godziny wskazywał budzik, który dotąd był na drugim planie. Nakręcała go mama, bowiem tylko wtedy, gdy tatuś wyjeżdżał bardzo wcześnie, nieraz w nocy, na jarmark z jabłkami do odległych miejscowości, chociażby do Ełku, Suwałk czy Olecka. Jego dzwonięcie mogło postawić umarłego na nogi. Budził wtedy cały dom z kotami i psem na czele. Kogut już nie miał nic do roboty, bo jego pianie było niczym wobec dzwonięcia naszego budzika. Stał na starym rozsiałym jak kwoka kredensie w koncie kuchni. Obaj do siebie pasowali jak ulał. Jego tarczę ozdabiała otoczka w wycinane ząbki. Posiadał nad nią dwa duże dzwonki, które podczas budzenia na wyścigi kołatały się o siebie. Był szarego koloru z jaśniejszym cyferblatem z wypisanymi na nim arabskimi cyframi. Służył nam przez długie lata. Potem zepsuty poniewierał się na strychu nikomu już niepotrzebny. Zastępowały go budziki mniejsze i przy budzeniu ze snu wrednie terkocące w ucho. Któregoś dnia zawitał do mamy człowiek skupujący starocie i wyłudził od niej za kilka groszy nieczynny mechanizm ściennego zegara. Tylko w wierszu pozostała mi zwrotka: *stary zegar sprzedała matka / wędrownemu kolekcjonerowi staroci*. Jeszcze jakiś czas wisiała na wytapetowanej wówczas ścianie pusta oszklona szafka i tą z czasem mama podarowała któremuś z sąsiadów. Tak zegar wraz ze

starym budzikiem pozostały jedynie w mojej pamięci.

W starym rodzinnym albumie znajduję dużej urody maleńką fotografię z innym zegarem. On również wpisał się jakoś tam w mój los. Odwiedzając swoją ciocię w Rajgrodzie lubiłam go słuchać, ponieważ przepięknie wydzwaniał wszystkie godziny. Na fotografii stoi dostojnie na pierwszym planie w rogu ściany. Sięga od podłogi po sufit. Zegarowa szafa podzielona jest na dwie części: dłuższą z dużym ozdobnym, zakończonym kuliście wahadłem i krótszą mieszczącą okrągły cyferblat z arabskimi cyframi. Całość oszklonej z jednej strony skrzyni, zwieńczona jest popiersiem kolorowego anioła z rozpostartymi nad nią skrzydłami i dłońmi złożonymi do modlitwy. Tuż obok na ścianie wiszą obrazy i gitara. Na tym tle ustawili się moi bliscy. Fotografia pochodzi z 1951 roku. Z sześciu osób widniejących na niej żyją już tylko dwie. Nie ma młodej i jakże ładnej wówczas mojej mamy i siedzącego na jej kolanach mego dwuletniego brata Józka. Nie ma przytulonego do zegara mego muzycznego rosyjskiego wujka Konstantego vel Andrzeja, nie ma z oczami pełnymi żaru życia, młodziutkiej mojej kuzynki Ireny. Z fotografii można odczytać, że zegar wskazuje na godzinę siódmą, zapewne po południu, bo któżby z rana się fotografował. Wszyscy są jeszcze młodzi i uśmiechnięci. Wszystko niedobre jeszcze przed nimi za zasłoną tej siódmej godziny.

Zegary, ileż o nich można byłoby pisać, gdyby nie sentymentalna łąza zatrzymująca rękę i ta jakaś tajemnicza siła powstrzymująca opowieść.

Roman Kowalewicz

Stolik we dwoje

Marcin i Ewa od trzech lat byli małżeństwem. Dziś wypadała rocznica ich ślubu. Mieli ją uczcić w restauracji. Ewa wróciła z pracy i rozpoczęła przygotowania do wyjścia. Stolik był zarezerwowany na godzinę dziewiętnastą. Mąż miał przyjść około szesnastej, ale mijały minuty, godziny, a on nie przychodził.

Marcin spieszył się, szedł szybkim krokiem. Wiedział, że w domu czekała żona. Dochodził do końca ulicy, zza rogu domu „wynurzyła się” kobieca postać. Skręcił, próbując ją ominąć, ale nie zdążył. Poczul lekkie uderzenie.

- Przepraszam, nie zauważyłem pani.

- Marcin?!

- Grażyna?!

- Cześć Marcin! To naprawdę ty?! Tyle lat się nie widzieliśmy! Co u ciebie słychać? Ożeniłeś się?

- Tak, a ty? Wyszłaś za mąż?

- Jestem mężatką. Porozmawiajmy chwilę, dawno się nie widzieliśmy. Może wstąpimy gdzieś na kawę?

- No, wiesz chętnie, ale trochę się śpieszę.

- Tutaj niedaleko jest mała kawiarenka. Zajdziemy na chwilkę? Chyba żona się nie pogniewa, że spotkałeś dawną znajomą. Znamy się przecież od dzieciństwa. Nie widzieliśmy się tyle czasu.

- Nie o to chodzi. Obiecałem, że będę w domu o szesnastej, gdyż o dziewiętnastej jesteśmy umówieni w restauracji.

- Przyjechałam odwiedzić siostrę i jutro wyjeżdżam do domu, więc nie będziemy mieli dużo czasu żeby pogadać.

- Dobrze.

Ruszyli razem. W kawiarni panował cichy gwar. Rozejrzeli się, znaleźli miejsce. - Usiądźmy - powiedział Marcin. Zdjęli kurtki. Zajęli stolik, zamówili po kawie i lampce wina.

- Wiesz, Grażyna, cieszę się z naszego spotkania.

- Ja też. Pamiętasz naszą zabawę na podwórku, i to jak broniłeś mnie przed Przemkiem? Mieliliśmy po siedem lat.

- A kiedy byliśmy już starsi, ty pomagałaś mi w matematyce. Dzięki tobie polubiłem ten przedmiot. Byłaś moim najbliższym przyjacielem.

- Pamiętam, kiedy wieczorami przechadzaliśmy się po łące na skraju osiedla, słuchając rechotania żab i podziwiając zachody słońca.

- I nasze wieczorne spacerowanie po seansach filmowych. Po skończeniu liceum staliśmy się sobie bliźsi i bardziej dojrzały.

- Masz rację, Marcin. W każdej sytuacji wspieraliśmy się i mogliśmy na sobie polegać. Dlaczego nie jesteśmy razem? Jak to się stało?

- Nie wiem, Grażyna. Los, przeznaczenie. Może to nie był nasz czas. W życiu nie zawsze otrzymujemy to, co chcielibyśmy mieć. Możliwe, że ta sytuacja ma nas nauczyć pokory i zastanowienia nad głębszym sensem naszego życia.

- Może rzeczywiście, Marcin, w życiu chodzi o coś więcej, o coś, czego nie dostrzegamy i nie rozumiemy, jeszcze większego, niż to, co wydaje nam się ważne. Czasami mam wrażenie, że otacza nas wszystkich niewidzialna kurtyna i wystarczyłoby tylko ją odsłonić, by

świat stał się bardziej piękny i zrozumiały. Trudno, stało się. Nie zatrzymasz dnia przed zachodem słońca.

- Widzisz, Grażyna, aby dwie istoty miały ze sobą tak dobry kontakt w życiu, zdarza się bardzo rzadko. Mogliśmy nie mówić nic, a rozumieliśmy się bez słów.

- Najbardziej lubiłam w tobie spokój i opanowanie.

- A ja twoją wesołość i optymizm.

- Wszystko rozwiało się jak dym. Tak nagle wyjechałeś.

- Wyjechałem do chorego wujka w Anglii. Musiałem mu pomóc. Mnie samego zaskoczyła ta sytuacja. Po jego śmierci postanowiłem wrócić do kraju. Kiedy wróciłem, ty wyjechałaś za granicę. Ożeniłem się, a ty, co robiłaś w tym czasie?

- Wyjechałam, ponieważ ciebie nie było i nie bardzo wiedziałam, co ze sobą zrobić. Planowałam dalszą naukę, a kiedy koleżanka wyjeżdżała do Francji, pojechałam razem z nią. Tam poznałam mojego męża, Polaka. Wzięliśmy ślub i przyjechaliśmy do kraju. Nie powiem, że jest mi źle, ale z tobą czuję się zupełnie inaczej. Cieszę się, że pozostaliśmy przyjaciółmi.

Ja też się cieszę. Wiem, że z tobą żyłbym inaczej. W twoim towarzystwie też czuję się inaczej. Z żoną nie rozumiemy się tak dobrze.

W tej chwili Marcin przypomniał sobie o czekającej żonie i z przerażeniem spojrzał na zegarek. Minęła godzina dwiętnasta czterdzieści. W życzliwej atmosferze czas minął tak szybko. - Trzeba jeszcze odprowadzić Grażynę. - pomyślał. Zerwał się gwałtownie.

- Przepraszam, ale muszę już iść, jestem spóźniony.

Z baru dobiegał gwar męskich głosów. Zamówili po piwie i usiedli przy stoliku.

- Coś taki markotny, Marcin? Pokłóciłeś się? - zapytał Zenek.

- Jestem w trudnej sytuacji. Wczoraj była piąta rocznica naszego ślubu. Mieliśmy razem iść do restauracji, ale spotkałem dawną dziewczynę i nie przyszedłem na czas do domu. Nie widziałem jej tyle czasu. Wspominaliśmy nasze młodzińcze lata. Czas minął tak szybko, nie zorientowałem się, że pora wracać.

- To czemu nie zatelefonowałeś? Gdybyś porozmawiał z żoną, zrozumiałaby, jak ważne jest to spotkanie dla ciebie.

- Nie jestem pewien. A jeśli mylnie by to odebrała. Ta rocznica to dla niej ważna chwila, ale dla mnie to „kawalek” mojego życia, również ważny. Mnie i Grażynę łączy teraz tylko przyjaźń. Ona ma swoje życie, a ja swoje. Nie będziemy przecież niszczyć tego, co mamy, ale Ewa może myśleć całkiem inaczej. Może być zazdrośna. Problem jest poważny. Od wczoraj nie ma jej w domu. Dzisiaj jest poniedziałek. W niedzielę mówiła, że idzie do koleżanki, a może ode mnie odeszła? Co mam zrobić, Zenek? Telefon nie odpowiada, nie wiem gdzie jej szukać.

- Przemyśl wszystko spokojnie, Marcin. Popytaj koleżanek, znajomych, może coś wiedzą.

- Pytałem, szukałem i nic. A jeżeli nie chce ze mną być, to co wtedy? Czy mi wybaczy?

- Spróbuj ją przekonać. Prawdę powinno się mówić nawet wtedy, gdy może narazić nas na niemiłe konsekwencje. Może Ewie byłoby z początku przykro, ale potem zrozumiałaby, że jesteś wobec niej szczery. Powinieneś zrozumieć żonę. Pojawia się jakaś kobieta, o której nic nie wie, a ty poświęcasz jej czas zarezerwowany dla żony.

- Wspominałem jej kiedyś o Grażynie.

- To za mało, nie była na to przygotowana.

- A ja byłem?! Grażynę spotkałem przypadkowo. Skąd mogłem wiedzieć, że zobaczę ją po tylu latach. Teraz wiem, powinienem zatelefonować do Ewy, przeprosić, powiedzieć, że to jest też ważny dla mnie dzień. Przełożyć uroczystość.

- Co teraz zrobisz?

- Nie wiem.

- Byliście do tej pory dobrym małżeństwem. Pozwól ochłonać emocjom. Porozmawiajcie ze sobą jeszcze raz, na spokojnie.

- Nie wiem, czy mnie wysłucha.

- Nie masz nic do stracenia. Każdy popełnia błędy. Dlatego trzeba dać sobie trochę czasu na wybaczenie.

- Dziękuję ci za radę. Zrobię tak jak mówiłeś.

- Nie warto wszystkiego niszczyć przez jakieś nie-dopowiedzenie Zwłaszcza, że do tej pory żyliście ze sobą może nie idealnie, ale dobrze. Przecież zależy wam na sobie - powiedział Zenek.

- Tak, wiem o tym, dlatego poprosiłem cię o radę. Muszę już iść. Dziękuję.

Ta rozmowa dała mu wiarę i nadzieję na pomyślne jutro. Wracał podniesiony na duchu. Przecież nie zdradził Ewy. Jednak gdzieś głęboko w nim czało się pytanie: A jeśli mi nie wybaczy, co wtedy? Przecież z Grażyną nie mogą być! Po przyjeździe do domu nie zastał żony. Siedział sam i czekał, kiedy przyjdzie, ale ona nie przyszła. Chwycił za telefon i wystukał numer jej komórki. „Abonent jest czasowo niedostępny” - usłyszał. Ubrał się i wyszedł. Szedł w stronę skweru. Myśli nie dawały mu spokoju. Czyżby Ewa opuściła go? Dlaczego? Przecież mogli sobie wszystko wyjaśnić! Powinna porozmawiać z nim, wysłuchać, co ma jej do powiedzenia.

Potrzebował samotności. Przysiadł na ławce. Oddychał zapachem drzew i krzewów, rozkoszując się spoko-

jem. Wspominał Grażynę. Mieszkali na tym samym podwórku, naprzeciw siebie. On w dwuklatkowym bloku, ona w trzyklatkowym. Razem bawili się w piaskownicy. Chodzili do tej samej szkoły. Byli w tej samej klasie. Kiedy uczyli się w liceach, co prawda o różnych profilach, poświęcali sobie jeszcze więcej czasu. Spotykali się po lekcjach, pomagali sobie w nauce. Szczególnie bliscy sobie stali się w klasie maturalnej, tuż przed ukończeniem szkoły.

Był zachód słońca. Spacerował z Grażyną po łące na obrzeżach lasu. W oddali zostało ich osiedle. Promienie spełżyły z drzew. Niebo mieniło się złotem, różem i czerwienią, sprawiając wrażenie fantazji, malowanej ręką nieziemskiego malarza, który stale nanosił poprawki na płótno. Szli trzymając się za ręce, otuleni morzem czerwieni o różnych odcieniach. Nie potrzebowali wielu słów. Ukojeni ciszą podziwiali dzieło przyrody. Znad bagna dobiegał rechot żab.

- Jest jedenaście - powiedziała Grażyna.

- Czego jedenaście? - zapytał Marcin.

- Żab.

- Jest dziesięć.

- Nie! Jedenaście! - stwierdziła Grażyna. Przekomarzali się, aby po chwili ruszyć w stronę lasu. Na niebie zabłysła pierwsza gwiazda, gdy znaleźli się w lesie. Usiedli na zwalonym pniu.

- Podobno jeśli pomyślimy o jakimś życzeniu przy pierwszej gwiazdce, to zostanie spełnione - przerwał milczenie Marcin.

- A ty o czym pomyślałeś? - spytała.

- Chyba wiesz o czym...

- Nie mam pojęcia - nie ułatwiała mu odpowiedzi. Odezwała się w niej przekora z zalotnością. - Pewnie

myślisz o jakimś szybkim samochodzie, a może o tej blondynce, Jolce, z naprzeciwka!

- No, coś ty! Przecież wiesz o czym myślę!

- Tak? A o czym? - uśmiechnęła się udając niewiedzę.

- O tobie - odpowiedział. - Chcę zawsze być z Tobą. A ty? Czy chciałabyś być ze mną, Grażyna?

Spojrzała na niego z powagą.

- No wiesz, sytuacja wymaga zastanowienia! To poważna decyzja! Może nie jesteś odpowiednim facetem dla mnie?

- Ty obłudnico! - wykrzyknął, udając oburzenie. Chwycił ją za rękę, drugą przysunął do siebie. Nie wy czuł oporu. Spojrzał w jej piwne oczy. - W takim razie odwołuję to co powiedziałem! Pójdę do Jolki!

- Nie tak szybko! Co, już ci nie odpowiadam?

- Może troszeczkę! - Teraz on odpowiedział z pewnością.

Chwyciła go za ramię. - Przecież wiesz, że pragnę być z tobą na zawsze...

- Pierwszy raz słyszę!

- Ale nie ostatni...

Spojrzeli na siebie i roześmieli się. W ich oczach migotała tęcza. Kaskady uczuć przelewały się przez ich umysły i ciała. Patrzyli w niebo, które było pokryte srebrnymi cekinami gwiazd i stwarzało intymny nastrój. Byli sami pośrodku tej olbrzymiej przestrzeni. Mieli przed sobą całe życie i świat u swoich stóp, ale niebo miało również tajemniczą głębię czerni. Nieprzeniknioną i zastanawiającą.

- Jak myślisz Marcin, czy uda nam się być całe życie razem? - zapytała.

- Jeżeli dwoje ludzi pragnie tego samego, to trzeba w to wierzyć.

- Dobrze, że tak myślisz. To daję siłę - powiedziała.

Objął ją i pocałował. Odwzajemniła mu pocałunek, poddając się jego ramionom. Niebo zawirowało nad nimi, byli szczęśliwi.

Był to ostatni obraz, który zapamiętał tak dokładnie przed swoim wyjazdem do Anglii. Teraz siedział na ławce sam ze swoim smutkiem. Co będzie z ich życiem? Czy będzie znowu z Ewą? I co się z nią dzieje przez tyle czasu? Sięgnął po telefon kolejny już raz. Ewa nie odpowiadała. Podniósł się ociężale. Dopiero teraz zaczął odczuwać zimno. Nie bardzo wiedział, co ma ze sobą zrobić. Przemierzał ulice bez celu. Był już wieczór, skierował kroki w stronę domu. Stał przed drzwiami, przekręcił klucz w zamku i otworzył. W pokoju zapalone światło rozpraszało mrok. Serce zabiło gwałtownie. Czyżby Ewa wróciła?

Joanna Pisarska

Stolik dla dwojga

I

- No i co ty na to?

- Wiesz, Ewa, powiedziałaś mi tak niewiele, same suche fakty. Chyba jednak na ich podstawie trudno byłoby mi go tak zaraz potępić. Przecież nie wiesz na pewno, czy coś między nimi zaszło!

- Bronisz go? Ciebie też zauroczył? Widzę, że niepotrzebnie ci się zwierzyłam!

Siedziały w sympatycznej pizzerii z wielkim piecem w kącie i kinkietami przy każdym ze stolików, nadającymi o tej wieczornej porze całemu wnętrzu klimat zaciszości. Sala nie była zapełniona, a goście prowadzili przyciszone rozmowy, jakby poddając się nastrojowi spokojnej, rytmicznej muzyki i śniegu, gęsto sypiącego za oknem.

- Na pewno dobrze, że mi się zwierzyłaś. To pomaga. Przecież po to siebie mamy. Pamiętasz? Tak niedawno to ty wysłuchiwałaś mnie w tym samym miejscu!

- Pamiętam. Przepraszam cię, Kasiu! Wczorajszy dzień kompletnie wytrącił mnie z równowagi. Wiem, że powinnam się pozbierać - jutro poniedziałek i trzeba iść do pracy, ale na razie mam mętlik w głowie! Wydaje mi się, że życie usuwa mi się spod nóg! Nagle wszystko się zmieniło, wszystko wygląda inaczej! Zaczynam dostrzegać rzeczy, których wcześniej nie widziałam albo nie

przypisywałam im żadnego znaczenia. Już nie chodzi tylko o wczorajszy wieczór. Były sygnały wcześniejsze, ale chyba je bagatelizowałam. Nie chciałam wierzyć, że coś w naszym związku jest nie tak!

- Zaczekaj! O czym ty mówisz? Przecież wasze małżeństwo mogłoby być wzorem dla wielu innych! Na pewno przemawia przez ciebie rozżalenie. Uporządkujmy wszystko. Powiedz jeszcze raz: w dniu waszej rocznicy ślubu przypadkowo spotkał się ze swoją byłą dziewczyną, poszli na kawę i tak się zagadali, że zapomnieli o Bożym świecie?

- To jego wersja oficjalna. Na użytek żony, czekającej nadaremnie kilka godzin i biegającej od drzwi do okna z niepokojem, że może coś mu się stało, bo przecież to chyba niemożliwe, żeby zapomniał o rocznicy i stoliku zarezerwowanym przez siebie w „Kasjopei”!

- To mieliście iść do „Kasjopei”? Facet z klasą z tego twojego staruszka!

- Nie żartuj sobie! Wiesz dobrze, że to w tym momencie nieistotne.

- O, przepraszam, ale się nie zgodzę! Nie rezerwowałyby w takim lokalu, gdyby od razu zamierzał tam nie pójść. A chyba o to cały czas go podejrzewasz?

- Myślisz, że spędził z nią popołudnie tylko pijąc kawę? Kaśka, nie bądź naiwna! Przyjaciółka ze szkoły! Dobrze sobie! A może cioteczna siostra?

- Ewa, zastanów się dobrze, zanim mi odpowiesz. Bo mówiłaś, że były wcześniej jakieś zdarzenia między wami - ale czy to mogło oznaczać, że się z nią spotykał?

- Tak, teraz widzę to dobrze - spojrzała przez okno, za którym śniegowe płatki tańczyły w złoto-różowym kręgu latarni.

I widziała, jak jej życie również zaczyna tańczyć, jak wszystko, co do tej pory wydawało się poukładane i rów-

niutko przyprószone bielą spokojnej wzajemnej akceptacji, kultury i poprawności, niemal graniczącej z rutyną, zaczyna się mącić i mieszać, jak odsłaniają się dawno zepchnięte w niebyt warstwy, nie tylko szare, przyziemne i miałkie, ale także te radosne, drżące, tęczowe, a poprawność przestaje już wystarczać. Nie, o tym nie była w stanie mówić nawet z najbliższą przyjaciółką. Zapragnęła pożegnać się jak najprędzej, by wreszcie pozostać sama i spróbować jakoś dojść do ładu sama ze sobą, ze swoim zburzonym poczuciem stabilności i ze swoimi wspomnieniami.

- Na pewno dasz sobie radę? Bo gdybym Ci była jednak potrzebna... - Kasia nie dawała jeszcze za wygraną, ale w niej nie było już wątpliwości. Czuła, jak jedno zdarzenie, niby kamyk strącony ze zbocza, pociąga za sobą lawinę wspomnień i że wchodzi oto w ten strumień, porywający, ogarniający i prowadzący nieuchronnie do jakiegoś rozliczenia z przeszłością.

Pożegnała się, zapewniając, że weźmie opinię przyjaciółki pod uwagę i spróbuje dogadać się z mężem, po czym ruszyła w stronę domu, by jej nie niepokoić. Jednak po minięciu kilku przecznic skręciła w jedną z nich, zwracając z powrotem w stronę centrum. Chciała być w ruchu, w otoczeniu anonimowego tłumu - pustka, spokój i bezruch doprowadziłyby ją w tym momencie do szaleństwa. Myśli jej biegły szybko, nadając tempo krokom, jakby się dokądś spieszyła. Budynki z jaśniejącymi rzędami okien i wystaw, wynurzone na chwilę z niebytu, uciekały do tyłu, powracając w niebyt. Śnieg skrzył się na trotuarze, ale padało go coraz mniej, a gałęzie drzew, gzymsy, parapety, wszystkie te nie rzucające się normalnie w oczy detale, teraz oprószone srebrnymi gwiazdkami, również umykały przed jej szukającym czegoś przed sobą, a może w głębi siebie, spojrzeniem.

Tak, słyszała o dawnej znajomej Marcina i domyślała się, że była to więź głębsza, niż chciałby i mógł z nią o tym mówić. Oboje szanowali się nawzajem i żadne z nich nie dążyło nigdy do zranienia tego drugiego, nie próbowała więc indagować, by wyciągnąć nieco więcej wspomnień, których mogłaby potem użyć jako psychologicznej broni. On zaś wiedział o jej przeszłości tyle, ile wymagała tego wzajemność. To był niepisany układ, wygodny i bezpieczny, zapewniający kulturę i poprawność pożycia. Możliwy między ludźmi, których wzajemne uczucia były stonowane, a relacje pozbawione gwałtownych namietności, nie narażone więc na emocjonalną szarpaninę.

Tak, wiedziała o Grażynie i zdawała sobie sprawę, że była to nie tylko przyjaźń, ale i głęboka młodzieńcza miłość jej męża, która ukształtowała jego nastawienie do kobiet, do życia rodzinnego i do powinności małżeńskich. Wiedziała, że sama jest tą drugą, ale nie przeszkadzało jej to. On także przecież był na początku ich znajomości jedynie środkiem na otarcie łez, nikim ważnym, nowym znajomym, z którym można było pogadać o interesujących rzeczach, ale przecież nie tak zaraz układać wspólną przyszłość. Pojawił się jednak w momencie, kiedy jej wiara w sens ludzkich relacji przeżywała kryzys, kiedy młodzieńcze marzenia prysły, a potrzeba więzi, czułości i ciepła zdawała się być pogrzebana na zawsze. Pojawił się i został. Pomógł stopniowo pozbierać się, odkryć w życiu nowe radości, otoczył troską i zainteresowaniem, delikatnie wsparł podejmowane wysiłki. Mogła dzięki niemu rzeczywiście rozpocząć nowy etap życia, może nie tak barwny, jakby niegdyś pragnęła, ale stabilny i pewny..

Tak, wiedziała, że nie Grażyna i nie przeszłość męża była w tym momencie problemem. Tym problemem by-

ła jej własna przeszłość, jej namiętna, gorąca, drażąca, wznosząca się na niebieskie szczyty, szybująca z chmurami i spadająca w nieogarnione przepaście pasja życia, radości i piękna i, jeśli trzeba jej było nadać imię, to brzmiało ono Janek.

Był to szczupły, niewiele od niej starszy młody człowiek, którego pogodne usposobienie i afirmacja świata nieco ją zmyliły, powodując, że przypisała im inne znaczenie, zwłaszcza w odniesieniu do siebie, niż on sam chciałby im nadać. Mieszkał w Krakowie, ona, pochodząc z Gdyni, studiowała w Lublinie, więc odległość nie pozwalała im spotykać się tak często, jak by chcieli. Poza tym, z wyjątkiem jednego wspólnego wakacyjnego pobytu na oazie, gdzie się poznali, nie były to spotkania dłuższe niż jeden dzień, praktycznie więc najczęściej wymieniali się listami, bądź do siebie dzwonili. W swoich rozmowach i listach szczerzy aż do bólu, pozostawiali jednak zawsze przestrzeń niedopowiedzenia. W niej realizował się ich wzajemny szacunek dla wolności i integralności drugiego, a przestrzeń ta, pozwalając na niedefiniowanie uczuć, uwrażliwiała na cały szereg stanów pośrednich, rozmaite subtelne napięcia, niuanse, które choć niewątpliwie się dzieją, nie do końca wiadomo, czym są. „Ewa + Jan” – wydrapała kiedyś na kawałku zielonego szkieleka, przypominającego kształtem serce, które fala wyrzuciła jej pod stopy, gdy wędrowała brzegiem morza podczas kilkudniowego odpoczynku w domu.

A jednak nie mogli być razem. Okazało się to, nie wiedziała już, czy zbyt późno, czy wcześniej, i nic nie mogła na tę nową rzeczywistość, zmieniającą otwierający się właśnie przed nią świat, poradzić. Pozostało zbierać okruchy sympatii i ciepła, bez pretensji do nikogo, bez żalu do losu, bez wrogości, w którą mogłaby się

zmienić poprzednia afirmacja. Pozostali jeszcze przez krótki czas w kontakcie, więc zbierała te okruchy pieczolowicie, niby relikwie, i przechowywała od spotkania do spotkania, sięgając do nich jakże często. Były zawsze na wyciągnięcie ręki, zawsze gotowe przybiec, załsnąć, zauroczyć. Najbliższe sercu – to wprowadzające je w coraz żywsze porywy, to w sielankowy spokój, wyciskające na przemian łzy i śmiech, tańczące niemal na rżęsach i wargach, niemal złączone z oddechem. Przez kilka ostatnich lat celowo odsunięte w niepamięć, zamknięte w jakimś zakamarku jaźni, niby w zabezpieczonej szkatule z napisem „Nie otwierać – przeszłość”, by nie stanęły na drodze uczciwego szczęścia w ramionach męża, przecież istniały, czekały, jak zawsze gotowe przybiec i, z upływem lat zmieniających życie w banał, coraz bardziej gotowe lśnić, czarować, opętać.

Dotarła do Starówki i minąwszy bar, w którym siedziała przed kilkoma chwilami z przyjaciółką, nie zauważywszy go nawet, skierowała się w stronę rzeki, instynktownie ciągnąc do wody, tak jakby w niej odnaleźć mogła nie tylko odpowiedź na najbardziej nurtujące pytania, ale też przyjaźń, czułość i ukojenie. Toń, zmarszczona nieco wieczorną bryzą, pomimo żółtawego światła nastrojowych latarni, rozmieszczonych wzdłuż nabrzeża, pozostawała ciemna i nieprzenikniona, nie zrażało to jednak, ale dodawało jeszcze tajemniczości, zapraszało, pociągało.

Nie było tu prawie ludzi, zresztą pora robiła się coraz bardziej późna. Ewa zatrzymała się i odetchnęła głęboko. Chłód płynący od wody, zapach wilgoci, proszące z rzadka płatki śniegu studziły skronie i uspokajały rozpędzone myśli. Światła połyskujące w załamaniach fal układały się we wzory i obrazy wspomnień, które, nie

tlócząc się teraz i nie przypominając już lawiny, spokojnie napływały szerokim nurtem.

II

- Janek? Słyszysz mnie? Ten telefon jest okropny! I wszyscy mnie słyszą, kiedy tak do ciebie krzyczę!

- Słyszę! Nie musisz wcale krzyczeć. Dobrze, że udało ci się mnie złapać, bo za chwilę miałem wyjść.

- Wiem, mówiłeś wczoraj, ale chciałam się jeszcze raz upewnić co do naszego umówienia, no i czy przypadkiem znalazłeś może jakiś sklep z walizkami.

Poprzedniego dnia dzwoniła do niego z tego samego aparatu, umieszczonego w holu domu rekolekcyjnego, gdzie przebywała z koleżankami na trzecim już w swoim życiu turnusie oazowym. Chłopcy byli zresztą tam również, mieszkali jednak w oddzielnym budynku. I oczywiście nie musiałyby dzwonić z niewygodnego i zacinającego się urządzenia, gdyby chodziło o któregośkolwiek z nich. Wystarczyłoby przejść kilka kroków pięknie zadbanego ogrodu, położonego w cieniu zalesionej skarpy, albo poczekać do kolejnego wspólnego punktu dnia.

Sprawa zaś walizki przedstawiała się w ten sposób, że zniszczyła się jej w czasie podróży i nie mogąc po drodze nigdzie dostać właściwej, pomyślała sobie, że skoro i tak mają po jej powrocie z oazy spotkać się w Krakowie, może podpowiedziałyby jej, gdzie mogłaby od razu po przyjeździe taką kupić. Janek jednak nie miał czasu, tym bardziej, że planował poświęcić jej kilka dni później cały dzień. Swoim jednak zwyczajem wypytywał o wszystkie szczegóły potrzebnego sprzętu. Śmiała się z tego, ale było jej lekko na duszy, bo wiedziała, że nie potraktował jej prośby jako narzuconego sobie nie-

wygodnego ciężaru, wykazał natomiast, pomimo odmowy, sympatyczne zainteresowanie jej problemem.

Teraz, z właściwym sobie poczuciem humoru, kontynuował upewnianie się co do rodzaju, rozmiaru, koloru i wreszcie ceny, aż w końcu coś ją tknęło i zapytała:

- Widziałeś taką?

- Tak...

- To cudownie! Nie będę musiała szukać. Blisko dworca?

- No... w pewnym sensie... Jest u mnie w pokoju.

- ???

- Halo! Jesteś tam?

- Tak... - zaniemówiła na chwilę, ale na szczęście on wydawał się tego nie zauważać, bo pozornie niefrasobliwie, z odcieniem dobrego humoru w głosie, kontynuował rozmowę.

- Na pewno nie spodoba ci się. Ma taki dziwny kolor i jest dość mała - nie wiem, czy wszystko zmieścisz. Ale najgorszy jest zapach.

- Jak to?

- Czuje się go w pomieszczeniu. Jest okropny, chyba tak pachnie to tworzywo, z którego jest zrobiona. Na pewno nie wytrzymasz tego. Ale pytałem i będziesz mogła ją zwrócić.

Stała w ciasnym korytarzu kurczowo ściskając słuchawkę psującego się aparatu, niewidzącymi oczyma patrząc na czekającą na kogoś i chyba przysłuchującą się tej rozmowie zakonnicę, śmiejąc się i trzepiąc coś dalej, by nie pokazać, jak bardzo jest wzruszona. W kolejnej zaś minucie zgodziła się, że pójdą na Babią Górę, chociaż nie wiedziała kompletnie, czy jest do tego kondycyjnie przygotowana, nie miała też ze sobą odpowiedniego do wspinaczki obuwia. No i przecież przede wszystkim nigdy nie chodziła na górskie wycieczki, więc w mo-

mencie odkładania słuchawki cała rozmowa wydała jej się żartem, a po przebudzeniu następnego ranka po prostu snem.

Jednak snem nie była, bo gdy pewnego pięknego przedpołudnia kilka dni później dotarła do Krakowa, Janek czekał na nią z nową walizką i zaparkowanym w pobliżu samochodem, wypełnionym owocami i innym prowiantem na drogę. Jechali około dwóch godzin, słuchając radia i rozmawiając tak, jakby widywali się każdego dnia i wystarczyło jedynie wymienić się ostatnimi nowinami, by następnie można już było spokojnie roztrząsać zwykłe codzienne kwestie, śmiać się i przekomarzać, klócić i godzić.

Dopiero wejście na górski szlak, biegnący lekko początkowo wznoszącą się ścieżką w otoczeniu cienistego lasu, wprowadziło poczucie nowości, niepowtarzalności i oryginalności wszystkiego, co się tego dnia działo. Janek, jak się okazało, zaprawiony w wędrówkach piechur, znający trasę i niespodzianki pogodowe, czekające popołudniową porą w okolicach szczytu na nieświadomych niczego turystów, próbował od początku nadać tempo ich marszowi, trudno jej było jednak dotrzymać mu kroku. Zostawała w tyle, a on czekał, żartując z jej nieporadności i stylu życia, który ją do tego doprowadził. Nie pozostawała zresztą dłużna, wytykając mu niechęć do ludzi, izolacjonizm, nawet grubiaństwo, bo przecież jak można... I tak, prześmiewając nawzajem swoje słabości, przyspieszając i zwalniając, przepychając się i ciągnąc, pokonywali pierwszy leśny etap drogi. W kosodrzewinach częściej się rozdzielali, spore odcinki trasy pokonując osobno i prawie się nie widząc, w ciszy, od czasu do czasu przerywanej pozdrowieniami z rzadka jedynie mijających ich, schodzących już ze szczytu turystów.

Ta droga, wijąca się wśród splątanych gałęzi, gdy zieleni kosówek, głęboka, mięsista, zmysłowa, od korzeni nasycona wilgocią, z góry prześwietlona błękitem i słońcem, dotykała kolan i łąsiła się do rąk, a zapach żywicy wdychany głęboko, pulsował w niej razem z górskim powietrzem w rytm przyspieszonego tętna, stawiała się niemal drogą na jakąś mistyczną Górę Karmel, gdzie fizyczne odczucie ciężaru i wszystkich normalnych przejawów zmęczenia organizmu, związanych z wysiłkiem, a wyolbrzymionych teraz przez podjęcie nietypowego zadania i w nietypowym otoczeniu, mieszało się z obezwładniającym niemal uczuciem duchowego prowadzenia, któremu poddawała się, nie mogąc zaprzestać i zawrócić, ciesząc się nim, choć nie bardzo wiedząc, czym właściwie jest, i ciesząc się swoją biernością, pozornie aktywną, bo przecież wspinała się, pracowały mięśnie, ale w głębi istoty prawie bezwolną i bezwładną, gotową zgodzić się na wszelkie warunki tej wędrówki, która wynosiła ją nad wszystko, co do tej pory знаła i której nie chciała zaprzestać.

W pewnym momencie, skrajnie już zmęczona, zatrzymała się, by wypić kilka łyków wody i chwilę ochłodzić. Janka nie było widać – czekał pewnie na jakimś obszerniejszym zakręcie, gdzie już z daleka mógłby kręcić głową i śmiać się, widząc, jak nadchodziła. Nie spieszyła się. Niczego już i tak nie była w stanie przyspieszyć. Przez pierwsze minuty słyszała głośnie uderzenia serca, pompującego ze zwielokrotnioną siłą zwielokrotnione chyba masy krwi, które uderzały jej do twarzy i jeszcze bardziej rozgrzewały, niż w czasie marszu. Potem pulsowanie uciszyło się, zaszumiał wiatr, odezwały się nieliczne ptaki, po niebie nadpłynęły lekkie cieniste obłoki. Poczuła, że jest szczęśliwa. Poczuła się swobodnie, lekko i niemal błogo. Oto wędruje na swoją górę, młoda i peł-

na życia, z przewodnikiem, który wprawdzie trzyma się na dystans, ale potrafi okazać przyjaźń, a może kiedyś okaże też coś więcej, z marzeniami o krainie po tamtej stronie tęczy, z rozbudzonymi nadziejami na kolorową przyszłość.

Uśmiechnęła się sama do siebie i zaczęła coś nucić. Schowała do torby butelkę z wodą i wyjęła paczkę higienicznych chusteczek. I gdy tak stała, kolejnymi chusteczkami z namaszczeniem ścierając z twarzy, karku, dekoltu i głowy strużki potu, podbiegł do niej po cichu i chwycił mocno w pasie. Odwróciła się szybko, przestraszona i zachwycona. Nie miała pojęcia, że jest w pobliżu i obserwuje jej sam na sam ze sobą. Nie drgnęła gałąź, nie zaszeleściła ściółka, nie zerwał się ptak. Musiał czekać ukryty gdzieś wśród zieleni, dając jej czas na dojście do równowagi. Może także rozmyślał o swoim szczęściu, marzeniach i nadziejach. Może myślał o niej, o jej ciemnych, związanych w ogon włosach, szarych, błyszczących oczach i lekko zamyślonym uśmiechu. O wzniesionym do góry łokciu i linii ciała, biegnącej od niego przez lekko naprężone ramię, wklęsłość pachy i uniesioną nieco pierś, do smukłej talii w niewielkim półobrocie i wyokrągłającego się z niej biodra. A może nie, może to tylko jej wyobraźnia, pobudzona magiczną drogą i przyspieszonym tętnem, podsunęła na chwilę ten pomysł, pewnie niestosowny i absurdalny.

– No nie! Cały czas stałeś tu i gapiłeś się na mnie?! – zawołała pozornie oburzona, ale jednocześnie roześmiana, a serce biło jej znowu szybko, gdy wyrwała mu się i biegła uciekając pod górę. Dogonił ją po kilku krokach i znowu chwycił, ale zaraz rozluźnił uścisk i zaczął popychać do przodu, podpierając silnie kręgosłup i plecy. Poddawała się, zgrzana i wciąż roześmiana. On też się

trochę zmęczył. Oddychał ciężko, głęboko wciągając powietrze.

- A pewnie! A co, może nie wolno? Urządziłaś taką pokazową toaletę, że grzechem byłoby przegapić!

Oderwała się, odbiegła znowu i ukłoniła jak na scenie.

- Jasne. Specjalnie na twoje życzenie.

Przykucnął, zgarnął garść małych kamyczków z drogi i zaczął obrzucać nimi jej nogi.

- Wiesz, chyba jesteś nienormalny! Jak ty mnie traktujesz? Chyba coś ci się pomyliło! Może idź podokuczać młodszemu bratu? To byłoby chyba odpowiedniejsze ode mnie towarzystwo do tej zabawy!

- Ależ jesteś drażliwa! O zobacz - przerwał, gdy już otworzyła usta, by zripostować. - Wyszliśmy na odkryty teren. Tak będzie aż do szczytu. Te głazy tam, to piargi - rozejrzał się. A potem nagle zmienił temat.

- Weź jakiś kamyczek. To będzie nasz kamień dialogowy. Słyszałem o małżeństwach, które mają taki zwyczaj, że kiedy chcą przeprowadzić poważną rozmowę i nie kłócić się w jej trakcie, przekazują go sobie z rąk do rąk i kiedy mówi coś osoba trzymająca kamień, druga nie może jej przerwać.

- Dobry pomysł! - podniosła kamyczek i chwilę oglądała go, obracając w dłoniach. Był trochę szary i trochę różowy, z delikatnymi ciemniejszymi pasemkami. - Teraz nie będziesz mógł mi dokuczać!

- Jeszcze nie zaczęliśmy. Daj mi ten kamień! Muszę być pierwszy - jestem przecież mężczyzną! No, daj mi go! - próbował go jej odebrać, ale schowała kamyczek do kieszeni.

- Jest mój! - zawołała triumfująco, ale w tej chwili sięgnął po niego. W ułamku sekundy jego dłoń znalazła się w wąskiej, niewielkiej kieszeni jej bawełnianych tury-

stycznych spodni. Poczula dotyk i prąd przebiegł jej ciało. Udała, że niczego nie zauważyła i gestami pokazała, że przyjmuje warunki gry, ale tak naprawdę cieszyła się, że nic w tym momencie nie musi mówić, bo chyba niepewność w głosie zdradziłaby jej poruszenie. On także nie zdradził się, ale spoważniał i nie żartował już z niej. Zaczął opowiadać o wydarzeniach z dzieciństwa, o licznym rodzeństwie, nieżyjącym już ojcu, zapracowanej matce. Wydawało się, że odkrywa przed nią swoją drugą twarz, ale przecież już dawno wiedziała, że jest dobrym, mądrym człowiekiem. Jakże inaczej mogłaby się nim w ogóle zainteresować?

Nie przerywała mu i nie odpowiedziała nawet, kiedy zauważył:

– Chmurzy się. Typowe w tej okolicy.

Obydwoje popatrzyli w stronę szczytu, skąd ciągnęły gęste szare chmury. Uświadomiła sobie, że bardzo się ochłodziło, ale nie zapytała, czy daleko jeszcze. Zatrzymała go i poprosiła gestem, by dał jej kurtkę, którą niósł w swoim plecaku. Próbował żartować i prowokować ją, by przerwała milczenie, ostentacyjnie bawił się kamieniem, głośno analizując jego wygląd i zaglądając jej w twarz, by sprawdzić, czy jest skłonna ulec, próbował nawet straszyć nadchodzącą nawałnicą, ale nie złamała się.

– Spójrz na ten widok. To Wielkie Jezioro Orawskie – wskazał na leżący daleko w dole, po lewej stronie szerokiego garbu, którym szli, pejzaż, zasnuty w połowie ciemnymi chmurami, które w kontraście ze zmniejszającą się coraz bardziej, prawie zanikającą już, przestrzenią błękitu i światła, wydawały się niemal czarne. Jezioro zachowało jeszcze resztki odbitego od słońca blasku i lśniło onirycznie na przekór ponurej i groźnej scenerii nieba.

Szli teraz szybko, w milczeniu, pochylonymi do przodu ciałami dając opór wiatrowi, który już się zerwał i szarpał ubrania. Nie wiedziała, ile to trwało, nie podnosiła już prawie głowy. Świst wiatru opanowywał mózg, ogłuszał, włosy zasłaniały oczy i dostawały się do ust. Widziała przed sobą jedynie najbliższy odcinek wznoszącej się ogromnymi głazami drogi i znikające co chwilę za kolejnymi zakrętami nogi Janka w łopoczących szarych dżinsach i szarych adidasach. W pewnym momencie szlak nieco wyprostował się i odsłonił się szczyt. Zauważyła kątem oka słupek drogowskazu i wielki kamienny wiatrochron, pod którym schroniło się i odpoczywało kilkanaście osób.

Dotarła, jak jej się wydawało, resztkami sił, ale nie usiadła od razu. Stała na skraju rozległej przestrzeni szczytowej i patrzyła na rozciągający się wokół spektakl kłębiących się mas wilgoci z pokrytym kirem cienia krajobrazem gór i dolin, ciągnącym się hen po horyzont, w tle.

Janek stanął obok.

- Chcesz coś zjeść? Bo jeśli tak, to musisz się pośpieszyć. Zaraz będzie tu łało. Będziemy schodzić tamtędy - wskazał dalszy ciąg trasy.

- Janek! Dotarłam! Zdobyłam Górę Karmel!- zawołała zapominając o milczeniu, które jego także przestało już chyba bawić. - Uściskasz mnie?

- No nie wiem... - zawahał się na chwilę. - Nie mówiłem ci, ale za rok mam być księdzem. Nie wiem, czy mogę sobie pozwolić na taką poufałość... - uśmiechał się przeproszająco, a ona czuła jak nagle grunt usuwa jej się spod nóg, a sinoszare niebo ciemnieje aż do czerni, wlewając się w duszę, która zaczyna twardnieć, stając się podobna leżącym wokół głazom.

– Jak to? O czym ty mówisz? Nic nie wiedziałam... Boże!

– No, chyba to nic złego! – próbował żartować. – Nie sądziłaś chyba... Ewa, specjalnie ci o tym mówię, żebyś miała jasność sytuacji... Bardzo sobie cenię przyjaźń z tobą... No i musisz mi wybaczyć, ale nie jestem w stanie wciąż rozmawiać o sprawach wiary, więc jeśli to cię zmyliło...

– Nie... Nie mam zresztą czego wybaczać – patrzyła na jego zafrasowaną twarz, jasne oczy z kilkoma zielonymi plamkami, które teraz, pod zmarszczonymi, zbiegającymi się nisko, ale trochę podniesionymi u nasady nosa, brwiami, wydawały się piwne, na płaszczyznę czoła, wznoszącego się szeroko aż do niewielkich zakoli w krótko ostrzyżonych ciemnoblond włosach, na nos nadający charakter całej twarzy, wąski u góry, a rozszerzający się dołem i z powrotem zwężony na końcu, kojarzący się nawet z fizjonomią ptaka, na usta, wymowne, ruchliwe, z nieco zmysłową dolną wargą, dopiero co rozciągnięte w uśmiechu, teraz skupione, zamyśnione, niepewne. – Nie mogę mieć przecież żalu o to, że jesteś sobą... Chodźmy już. Nie jestem głodna. Powinniśmy się już zresztą zbierać.

Dalszego ciągu wycieczki prawie nie pamiętała. Schodzili w strugach deszczu, po śliskich piargach, ona w nieodpowiednim obuwiu, na chwiejnych nogach. W najtrudniejszych miejscach podtrzymywał ją, prowadził za rękę, podpowiadał, gdzie ma postawić stopę. Ta troska i gesty, nie wiedziała już, czy bardziej nienawistne, czy upragnione, spełniane niemal w milczeniu, bo zresztą nie byłoby i tak jak rozmawiać, stały się jedynym wyraźnym wspomnieniem z całej drogi powrotnej.

Niżej deszcz ustał i nawet ubrania częściowo im przeschły na wietrze. W lesie, gdzie droga nie opadała

już tak stromo, zwolnili i po raz pierwszy od szczytu nawiązali rozmowę. Ochłonęła już z pierwszego wrażenia i była w stanie zapanować nad emocjami na tyle, by niepotrzebnie ani nie ranić jego, ani nie zwiększać swojego bólu.

- Bardzo się cieszę z tej wycieczki. Naprawdę. Dzięki tobie po raz pierwszy odbyłam tak wspaniałą wędrówkę. Chciałabym, żebyś wiedział, ile to dla mnie znaczy.

III

Kraków powitał ją czystym porannym niebem i zupełnie suchymi ulicami, gdy wysiadła z pociągu i wyszła przed dworzec. W podziemnym przejściu kupiła szczoteczkę i pastę do zębów. Weszła do toalety i doprowadziła się do porządku po nocy spędzonej na siedząco i prawie bezsennie. Potem sprawdziła godzinę i wyszła na Planty. Usiadła na jednej z ławek, wyjęła telefon komórkowy i włączyła go. Zaadresowała do Kasi i napisała: „Jestem chora, doniosę zwolnienie, jak wrócę od lekarza. Zawiadam szefową.” Poczekała chwilę na odpowiedź. „Dobra. Z Marcinem ułożyło się?” - Kasia przypominała delikatnie o wczorajszej rozmowie. „Tak. Dzięki! Opowiem wszystko, jak się spotkamy.” Teraz wiedziała, że ma przynajmniej z tej strony na jakiś czas spokój. Potem odszukała listę nieodebranych połączeń. Wszystkie były od Marcina. Wykasowała je i znowu wyłączyła komórkę.

Podniosła się i ruszyła w stronę Starego Miasta. Nie była tu od czasu spotkań z Jankiem. Kawał życia... Ale teraz tamto dawne życie stało jej przed oczami, jakby nie było upływu lat, jakby od tamtej pory nie minęła epoka. Szła znanymi tylko ze wspólnych spacerów ulicami

i próbowała rozpoznawać znajome miejsca. Budynki kamienic i kościołów układały się w całość, jakby miasto miało swoją własną osobowość, jakby zapraszało. Wyglądało jednak inaczej, niż we wspomnieniach. Być może z powodu wczesnej pory dnia, gdy dopiero budzi się do codziennych trudów i zgiełku, gdy myte są trotuary i zamiatane schody, gdy sklepikarze przywożą towar i otwierają interes. A być może dlatego, że była teraz sama.

Odnalazła bar, w którym kiedyś pili herbatę i zamówiła śniadanie. Musiała się trochę rozgrzać. Pomimo ładnej, słonecznie się zapowiadającej pogody, ze zdecydowanie wyższą temperaturą, niż na wybrzeżu, był jednak luty i po całonocnej podróży trochę już zaczynała marznąć. Usiadła przy tym samym stoliku na dwie osoby, stojącym przy oknie, z malutką ikebanką, tym razem zimową w charakterze. Jedząc wyglądała na ulicę, na mijających lokal przechodniów i wspominała, jak dla żartów opowiadali sobie wymyślone historie na ich temat. Poprosiła o kawę. Nie musiała się spieszyć. Do Franciszkańskiej było niedaleko, a jak spodziewała się, kurii nie otwierano przed dziewiątą, a może nawet dziesiątą. Zdąży jeszcze przejść się do Sukiennic.

Trochę po dziesiątej weszła w piękną zabytkową bramę pod słynnym papieskim oknem. Przedstawiła się na portierni i zapytała o sekretariat. Znad biurka powitała ją uśmiechem sympatyczna zakonnica.

- Szukam znajomego księdza, z którym straciłam kontakt. Czy może mi siostra powiedzieć, w jakiej parafii pracuje? I prosiłabym też o numer telefonu.

- Jak się nazywa?... A rok wyświęcenia?... Tak... - w skupieniu przeglądała jakieś księgi, kilka razy wracając do tej samej. W końcu podniosła wzrok z przepaszającym wyrazem twarzy.

- Niestety, nie mam danych tego kapłana. Czy jest pani pewna, że podała mi właściwe nazwisko? Przyznam się, że osobiście nie znam takiego, a księża z całej diecezji przyjeżdżają tu często załatwiać różne sprawy... Ale wie pani co, przypominam sobie, jak kiedyś mówił o pewnym diakonie, który wystąpił tuż przed święczeniami i ożenił się. Nie pamiętam nazwiska, więc nie mogę z całą pewnością stwierdzić, że chodzi o tę samą osobę, niemniej fakt taki miał miejsce. To się zdarza, nie trzeba się oburzać. Cóż może wiedzieć o życiu taki młody człowiek?... Dziękujemy Bogu za tych kapłanów, których mamy - podsumowała sentencjonalnie i uśmiechnęła się na pożegnanie.

Nad Wisłą było jeszcze cieplej niż wśród ulic. Słońce unosiło się nad Wawelem, pozostawiając niemal cały zamek w cieniu. Po wodzie płynęły łabędzie, zupełnie jak latem. Trawa wzdłuż nabrzeża, nie przyprószona śniegiem i wciąż jeszcze zielona, podobnie się kojarzyła. Jedyne nagie, bezlistne drzewa przypominały o aktualnej porze roku.

To dziwne, ale nigdy tędy razem nie spacerowali. Zresztą, nie było to już teraz ważne. Nic nie było ważne. Nic i nikt. Tak to się już w życiu dzieje, że wszystko się zmienia. Nie można w kimkolwiek pokładać nadziei. Nawet wierzyć w to, że po prostu jest, że gdzieś istnieje, że żyje, tak jak zamierzał żyć, że pamięta o swoich dawnych ideałach, że dzięki nim jest nawet teraz lepszy, niż był kiedyś.

Pragnęła spotkać się z nim, nie do końca zdając sobie sprawę po co, ale w przekonaniu, że byłoby to dla niej ważne, przebyła Polskę z góry na dół, zniknęła z oczu męża, oszukała przyjaciółkę. Może chciała upewnić się, że realizuje się jako kapłan, a może dostrzec w jego oczach ślad tęsknoty za odrzuconą okazją na

szczęście? Ale przecież szczęście nie istnieje! Ludzie nie potrafią być szczęśliwi! Potrafią się tylko ranić! Marcin, zraniony przez Grażynę, teraz ranił ją. Może tamtą także wcześniej ranił? Janek dziś ranił ją po raz drugi. Ranił nie tylko tu i teraz – to byłoby jeszcze do zniesienia. Ale on kaleczył, wypaczał, burzył jej przeszłość, a trywialność tej sytuacji złościła i upokarzała. Oby żona okazała się żołzą, a dzieci chuliganami!

Ze złością kopnęła kamyk, który przypadkiem znalazł się na jej drodze. Podskoczył, płosząc kilka gołębi, spokojnie przeszukujących chodnik w poszukiwaniu okruszyn. Jakiś chłopczyk na trójkołowym rowerku zagapił się na nie i skręcił nieopatrznie w stronę trawnika. Rower uderzył w krawężnik i przewrócił się na bok. Malec, przez chwilę bardziej zdumiony niż przerażony, milczał z otwartą szeroko buzią i oczami, po czym zaniósł się koszmarnym, piskliwym wrzaskiem. Dwoje starszych dzieci, przypuszczalnie rodzeństwo, podbiegło natychmiast ze słowami pocieszenia. Większy chłopiec podniósł rower, mniejsza nieco dziewczynka pomogła dziecku wstać i przytuliła je. Zaraz też podeszła starsza od Ewy, sądząc z wyglądu, skromnie wyglądająca kobieta, wysłuchiwała żarliwej opowieści najmłodszego, który już opanował strach i przeszedł do fazy fascynacji swoją przygodą, poprawiła mu ubranie i zarządziła dalszy ciąg spaceru.

„Nigdy nie będę matką – pomyślała – a teraz nie jestem nawet żoną.” Zawróciła w stronę miasta i tymi samymi ulicami doszła z powrotem do Starego Rynku. Zaludnił się bardzo od godzin rannych. Mijała stragany, mimów, gołębie i panoszące się wszędzie hałaśliwe grupy i grupki turystów. Przed kościołem Mariackim też było tłoczno. Obdzieliła monetami kilku żebraków i weszła do środka. Trwał tam jakiś remont i część bocznej

nawy była zagrodzona, słysząc było stukanie narzędzi, wiercenie, głośno wydawane polecenia. Bliżej głównego ołtarza tłoczyły się dwie konkurencyjne wycieczki ze swoimi przewodnikami. Uczestnicy jak na komendę podnosili głowy i spoglądali w wyznaczonym kierunku, gdy w tym samym momencie przewodnicy wymieniali się grzecznościowymi, nieszczerymi uśmiechami.

Odnalazła boczną kaplicę z Najświętszym Sakramentem, podeszła do jednej z ławek i uklękła. Nie modliła się, a w każdym razie nie odmawiała żadnej ze znanych sobie form modlitwy, chociaż widziała różańce w dłoniach kilku znajdujących się tu osób. Nie myślała też o niczym konkretnym. Wszystkie wrażenia ostatnich dni, mieszanka wspomnień z obrazami teraźniejszości, rozczarowanie ludźmi, zmęczenie podróży – wszystko to odpłynęło, pozostało za drzwiami świątyni. Tu, pomimo różnorodności dźwięków, które pozornie kłóciły się z sacrum, znalazła się jednak przestrzeń na wewnętrzną ciszę, w której mogła wejść w siebie, w jakiś obszar nierozpoznany i niezamieszkały swojej ukrytej jaźni, w jakąś toń niezmaconą, niewzruszoną i ciemniejszą niż rzeka w zimowy wieczór. I wchodziła, coraz głębiej i głębiej, bez pytań i odpowiedzi, bez poczucia przestrzeni i czasu, bez balastu emocji, pamięci, wyobraźni.

* * *

Marcin w najnowszej garniturze w kolorze zgaszonego granatu, który wraz z białą koszulą i odpowiednio dobranym krawatem pięknie komponował się z jego ciemnymi włosami, ciemną oprawą niebieskich oczu i jasną cerą, wszedł do pokoju w chwili, gdy zakładała naszyjnik i właśnie próbowała zapiąć z tyłu łańcuszek.

Wziął go z jej rąk i dokończył zaczęta przez nią czynność, upewniając się, czy zrobił to jak należy.

- Słuchaj, Ewa. Dzwonił jakiś ojciec Jan. Nie pamiętam nazwiska. Chyba miało coś wspólnego z krzyżem. A może to nie nazwisko? Ze zgromadzenia karmelitów bosych. Ponoć twoja siostra dzwoniła do niego. Ale ty przecież nie masz siostry?

- Czy mówił o co chodzi?

- Tak. Prosił, żeby ci przekazać, że nie będzie mógł się spotkać, ponieważ wyjeżdża do Rwandy. Znasz go?

- Nie zupełnie... ale chciałam poznać. Skoro jednak wyjeżdża...

- Chodźmy już. Opowiesz mi po drodze. Przecież czeka na nas stół!

- Nie powiedziałeś mi, gdzie!

- To niespodzianka!

- Nie.... Czyżby udało ci się?...

Regina Kantarska-Koper

Migrena

6 lipca, sobota, 12.15.

Anna zaczynała się martwić. Umówiły się z Renatą na dwunastą, już kwadrans po, a Renaty ani widu, ani słychu. Gdyby chodziło o kogoś innego, nie przejęłaby się nawet godzinnym spóźnieniem, ale Renata słynęła jako wzór słowności i punktualności, godny przechowywania w skarbcu Sévres pod Paryżem. Miała przez tę swoją niemodną dzisiaj punktualność więcej nieprzyjemności, niż korzyści. Ile się w życiu naczekała, nade nerwowała! Anna przypomniała sobie wspólne szkolenia. Renata często wcześniej rano źle się czuła, więc gdy prowadzący zostawił im wybór, czy będą się spotykać o ósmej czy o dziewiątej, jedna Renata była za późniejszą godziną. Po czym tylko ona przychodziła na ósmą, a cała grupa o godzinę później, ironicznie rozglądając się z udawanym poczuciem winy, czy ostatnia na kuli ziemskiej „strażniczka norm” jeszcze nie wyszła z siebie.

Gdy pytała: – Dlaczego w takim razie chcieliście zacząć zajęcia wcześniej? – odpowiadali: – Bo inaczej przychodzilibyśmy na dziesiątą.

Próbowała też się spóźnić, ale nie umiała. Nastawiała budzik o godzinę później, ale i tak budziła się wcześniej. Udawała przed sobą, że nie zwraca uwagi na czas, że dłużej się powyleguje, pojedzie późniejszym autobusem, ale nie potrafiła przestać zerkać co chwilę na

zegarek, wbrew swojej woli nabierała przyspieszenia i znowu była na zajęciach godzinę przed wszystkimi.

– Musiało się coś stać, pomyślała Anna. To niepodobne do Renaty. Nie ma co dłużej czekać, pójdę do niej, zobaczę, może potrzebuje pomocy...

Poprzedniego dnia, 5 lipca, piątek wieczorem.

Renata zdjęła fartuch i jeszcze raz spojrzała na rząd słoików, które po dzisiejszym pracowitym dniu zasilili jej spiżarnię. Była zadowolona, choć zmęczona. Cały dzień dźwigała na czwarte piętro ciężkie zakupy, szorowała, obierała, kroїła, tarła warzywa i owoce, myła słoiki, zaprawiała, pasteryzowała przetwory. Przyjadą dzieci na święta, to sobie pojedzą, cieszyła się. Została tylko do zawekowania na jutro ich ulubiona sałatka jarzynowa. Musi postać dobę, porządnie puścić sok. A teraz mogę sobie odpocząć, pomyślała z ulgą. Jeszcze chwilę poczytała i zasnęła.

6 lipca, sobota, 5.00.

Obudził ją straszliwy ból głowy. Była mokra od potu. Chciała otworzyć oczy, ale poraziło ją światło, kłuło ostrymi szpilkami nawet przez zamknięte powieki aż do głębi mózgu, potężna fala mdłości niemal wyszarpnęła żołądek; ściany pokoju zaczęły wirować w zawrotnym tempie. Wstrząsnęły nią torsje, chciała wstać do łazienki, jednak nie była w stanie zwlec się z łóżka. Była słaba, wszystko w niej drżało, najmniejszy ruch powodował nową olbrzymią porcję cierpienia. Boże, tylko nie dziś, tłukła się myśl po umęczonej głowie. Muszę dokończyć

sałatkę, bo się zepsuje, umówiłam się z Anną, nie mogę jej zawieść... Znowu próbowała się podnieść, wziąć jakiś lek lub zadzwonić po lekarza, lecz tylko pogorszyła swoją sytuację, więc zrezygnowana poddała się torturom migreny. Nie wiedziała, jak długo to trwa, chwilami udawało się jej zdrzemnąć, chociaż i przez sen ból i mdłości nie ustawały, ale zawsze była to jakaś ulga. Raz udało się jej dobrać do łazienki, skąd przywlokła miskę na wymioty. Przekręciła też klucz w zamku, na wypadek gdyby ktoś przyszedł, a ona nie była w stanie podejść do drzwi. Próbowala wziąć pyralginę w zastrzyku (doustnie), ale już nie dała rady odłamać ampułki, pokonana nowym atakiem migreny.

6 lipca, sobota, 12.50.

Anna zapukała kilka razy, a potem nacisnęła klamkę. Drzwi się otworzyły, weszła do zaciemnionego pokoju i przerażała się. W zmiętej, mokrej od potu i wymiocin pościeli leżała blada jak kreda i cicho pojękująca Renata z twarzą przy misce, zmierzwiłone włosy zakrywały zmrużone od bólu oczy, a całym ciałem wstrząsały torsje. Anna szybko podjęła decyzję i zatelefonowała na pogotowie. Po dość długim oczekiwaniu w słuchawce odezwał się znudzony, opryskliwy głos. Wyjaśniła, o co chodzi, opisała objawy i usłyszała:

- Do takich nie jeździmy. Proszę wezwać lekarza z przychodni - i połączenie zostało przerwane.

Zadzwoniła do przychodni. Tym razem jeszcze dłużej czekała na połączenie, z narastającym zdenerwowaniem patrząc na męki Renaty. Wreszcie recepcjonistka podniosła słuchawkę, ale jeszcze przez chwilę słyhać było jej rozmowę z koleżanką i śmiech. Gdy w końcu

wysłuchiwała, o co chodzi, wyjaśniła, że wizyty domowe są do dwunastej, a teraz jest już po pierwszej. Jednak Anna nie ustąpiła i dotąd przekonywała, prosiła, aż lekarz łaskawie zgodził się przyjść.

Lekarka pojawiła się o wpół do drugiej ze skwaszoną miną i od razu zaczęła od wyrzutów, że pacjentka mogła wziąć jakiś proszek, a nie zawracać głowę lekarzom. Z łaski zmierzyła ciśnienie, było bardzo wysokie, osłuchiwała i właściwie nie wiedziała, co ma jeszcze zrobić. Zapytała, czy są w domu jakieś środki przeciwbólowe i oburzyła się, że nie zostały użyte.

– Proszę wziąć tę pyralginę – powiedziała sucho. – Dziwię się, że pani nie wzięła.

Renata z trudem zwlokła się z łóżka i znalazła lek, jednak nie starczyło jej siły na otwarcie ampułki. Anna pomogła jej, ale po wypiciu leku Renata natychmiast zwróciła wszystko. Każdy ruch, wysiłek, każdy głośniejszy dźwięk powodował nowy potężny ból głowy, zawroty, mroczki, dreszcze. Padła na łóżko bez życia, pragnąc tylko, żeby zostawiono ją w spokoju. Lekarka obserwowała ją bezradnie i z trochę większym współczuciem.

– Jednak wezwę pogotowie – zdecydowała.

Lekarzowi nie odmówiono przyjazdu pogotowia. Około drugiej wszedł zasapany doktor – niewysoki starszy mężczyzna z pokaźnym brzuszkiem – z dwoma sanitariuszami. Gdy zorientował się, że w pokoju jest lekarka, krzyknął ze złością:

– To pacjentka już była badana?! To ja się nie będę do pacjentki dotykał! – wykrzywił usta ze wstrętem, odwrócił dłonie i schował je za siebie, podkreślając tym gestem swoją niezłomną decyzję niebadania chorej. – To po co ja włożyłem na czwarte piętro?! Ufff!

Stanął z boku i ciągle jeszcze z zadyszką niechętnie przyglądał się Renacie, która, gdyby nie odruchy wymiotne (nie miała już czego zwracać), wyglądała jak martwa. Lekarka z przychodni szybko się pożegnała i wyszła z widoczną ulgą.

– Zabieramy ją. Proszę się ubrać – zdecydował lekarz, gdy nieco odsapnął. I wyszedł z mieszkania.

Anna narzuciła na lejącą się przez ręce koleżankę jakąś sukienkę. Dobrze, że jest lato, pomyślała. Renata z trudem przez zaciśnięte zęby wyszeptała prośbę o zaewekowanie sałatki.

– O nic się nie martw, zrobię wszystko, co trzeba – uspokajała ją Anna. – Proszę pomóc jej zejść – zwróciła się do sanitariuszy.

Po wyjściu wszystkich opadła na krzesło i chwilę zbierała myśli. Rozejrzała się, co jest do zrobienia i energicznie zabrała się do dzieła. Odsłoniła okna, wywietrzyła mieszkanie i przystąpiła do pasteryzowania sałatek. Zeszło jej kilka godzin. Co jakiś czas telefonowała na pogotowie, żeby dowiedzieć się, co z Renatą, ale nikt nie był w stanie jej poinformować. Przepadła jak kamień w wodę. Około piątej wszystko było zrobione. Anna zaczęła się niecierpliwić, dzwoniła coraz częściej, aż w końcu ktoś, także już znecierpliwiony jej natręctwem, powiedział, że pacjentka poszła do domu. Od stacji pogotowia było bardzo blisko, więc Anna spodziewała się koleżanki za kwadrans. Jednak mijały godziny, nadszedł wieczór, a jej nie było.

6 lipca, sobota, około 14.30.

Renata zwlokła się po schodach, podtrzymywana przez sanitariuszy. Każdemu krokowi towarzyszył rwą-

cy ból w skroniach, potylicy i nowa fala mdłości. Wepchnęli ją do karetki i pojechali. Na izbie przyjęć zostawili chorą i kazali czekać. Było to ogromne pomieszczenie, w którym mieściła się i poczekalnia, i recepcja, i gabinet lekarski, a także łóżka na kółkach i nawet wanna. Wszystko ledwie przedzielone zasłonkami. W poczekalni tłum ludzi. Renata z trudem znalazła wolne krzesło pod ścianą i padła na nie, zwisając głową w dół. Nie miała siły siedzieć prosto. Zamknęła oczy i próbowała uspokoić żołądek. Nie wiedziała, jak długo trwało, zanim się nią zainteresowali. Najpierw wypełniali formularze, męcząc rutynowymi pytaniami, dopiero wtedy zrobili jej zastrzyk i odstawili na łóżku w kąt.

Renacie wydawało się, że przeżywa *déjà vu*. Przed laty też z tego samego powodu wylądowała w szpitalu (na kilka tygodni). Był to okres między Bożym Narodzeniem a Sylwestrem, do tego niedziela. Spędziła wtedy prawie cały dzień na szpitalnym korytarzu, dano jej tylko nerkę na wymiociny i zapomniano o niej. Kiedy o dwudziestą jakaś zdziwiona pielęgniarka ją zauważyła i już chciała się nią zająć, druga zawołała, że w telewizji właśnie zaczyna się modna wówczas tasiemcowa opera mydlana, i pielęgniarka pchnęła energicznie łóżko z Renatą w kąt.

Jak teraz. Jej głowa znalazła się tuż obok okna. Jaskrawe słoneczne światło było torturą. Renata wyciągnęła rękę, namacała zasłonkę, przyciągnęła ją lekko i zakryła oczy.

– Niech pani nie szarpie tak tej zasłony, bo panią zabijemy! – usłyszała ryk pielęgniarza.

Pod ścianą za przepierzeniem leżał pod kropłówką cały pokryty tatuażami mężczyzna, pewnie więzień, bo obok stało dwóch mundurowych. Gębę naprawdę miał

zakazaną, za sam wygląd dożywocie. I otóż ten kryminalista oburzył się na pielęgniarza:

– Niech pan nie krzyczy na tę panią! Nie widzi pan, że cierpi? Światło ją razi, lepiej by pan przestawił łóżko! Panie władzo, ten typ groził pani. To są groźby karalne! – zwrócił się do swego „opiekuna”.

Stróż prawa obejrzał się na „dowcipnego” pielęgniarza. A więzień, wykorzystując ten moment, wyrwał wenflon z żyły, pozrywał rurki, przewody, butelki; krew trysnęła na ściany, podłogę, pielęgniarzki zaczęły krzyzczeć, męczyzna próbował uciekać, ale był słaby lub pijany, zachwiał się i upadł na stojącą obok wannę. Szybko został spacyfikowany i na nowo podłączony do kropłówki.

Zastrzyk powoli zaczął działać, przynajmniej żołądek się uspokoił. Głowa także stała się lżejsza. Renacie udało się zasnąć. Gdy się obudziła, był już wieczór. Głowę miała lekką, bezbolesną. Wstała i po prostu wyszła. Spacer przez park przywrócił jej siły, czuła niczym niezmaczone szczęście. Nic nie było ważne, nie istniały żadne kłopoty, problemy, tylko ta lekkość i całkowity brak bólu. Do następnego razu, pomyślała z uśmiechem.

Styczeń 2008 r.

Janina Kozak-Pajkert

Skobel i rygiel

Ojciec modlił się jak każdy katolik. Ale tym razem powtórzył głośno dwa razy „... ani żadnej rzeczy, która jego jest.” Obciągnął roboczą marynarkę i ruszył na Sienny Rynek. Patrzyłam zdumiona jak hałasuje, bezceremonialnie budzi dzieci, chrząka i nie wiadomo po co poprawia kołdrę na moim uchu. Jest wydarzenie – myślałam. Bez słowa wiedziałyśmy z mamą, że firma stoi jasna, czyściutka i bez długów. Tylko ojciec wychudł i obrósł szczecina.

- Ogolił się – szepnęła mama.
- Nawet na targ włożył czystą koszulę. Otrzeptał kurz z nogawek spodni – dodałam.
- Dumny, pewny, o piątej rano.
- O piątej rano. Ważny!
- Nie rozmawia już o ojcowiznie, ani o maszynach zakupionych. Wszystko na miejscu akuratnie, do rozruchu – córko.
- Porządnie – mamó.

Kiedy wyjrzałam przez okno, widziałam, jak ojciec oddala się dużymi, męskimi krokami, pochylony jakby szedł pod wiatr. A dzień zapowiadał się piękny, wypełniony sierpniem i miodem bujnych krzaków mimozy.

Wiedziałam, dlaczego poszedł na Sienny Rynek, choć nic o tym nie mówił. Przedtem kilka razy powtarzał nagle, bez związku mruczał:

- Czas jeszcze wojenny. Krowę Michałowi wyprowadzili pod oknami. Walonki chyba włożyli na kopyta. Czas jeszcze zbójecki szabrownicy! Trzeba zamknąć drzwi na dziesięć sztab. Własność moją, z potu, z ojcowizny! Opoka nasza, prawda? - zwracał się do mamy.

- Pewnie tata minął ostatni dom na naszej ulicy. Idzie na targ.

- A ty czemu nie śpisz i ubrana? - dziwiła się mama.

- Dzień jest inny. Od świtu.

- Aha! Inny. Wyczekany. Wypracowany.

I wtedy nagle zajechał przed firmę pierwszy klient - wóz wyładowany workami zboża. Mama zaraz machnęła chustką nad ramionami i impetycznie wybiegła z kuchni.

Ja za nią.

Ojciec rozkazał bramy wjazdowej nie zamykać, niech oznajmia, że firma się zaczęła. Mówił „firma”! My też „firma”.

Gospodarz krzyknął radośnie pochwalonego. Mama odpowiedziała cicho i patrzyła na mnie bezradnie, ze smutkiem i oczekiwaniem.

- Lecę, zawrócę tatę. Lecę - mamolo!

Mama zatuliła chustę na piersiach, jakby chłód ją przejął czy dreszcz. Zaprosiła gospodarza do domu, na poczekanie z herbatą i drożdżowym ciastem.

- A na, cóż to, po miastowemu? Powietrze dobre, letni czas dla gospodarskiej radości.

- Proszę, zapraszam. Milej się poczeka. Porozmawiamy, co na wsi, w polu.

Biegłam. Mijałam domy sąsiadów już przebudzone dymem z komina, krzątaniem na podwórkach. Domy poranione wojną.

- To nic, to nic. Zaraz skończy się wzniesienie - pocieszałam siebie. - A potem, to już prościutka ulica. Tam,

na sąsiedniej ulicy ojciec powinien zbliżyć się do białego domku pani Zosi, szczęśliwy, spokojny, bo zbudował firmę. Jest utalentowany, na pewno. Poprawił projekt inżyniera palcem na planie. Wyjaśnił wszystko dłonią w powietrzu. Inżynier uznał wskazówki taty – myślałam. Idzie lekko i pewnie. Troszczy się o mamę i o nas. Żona i dzieci – to duży świat. Będzie nam lżej żyć. Nie gwiżdżą już bomby. Niemcy nie kopią dzieci w brzuch ani w twarz – myślałam.

Biegłam. Wydawało się, że serce bije w całym moim ciele, w każdym jego włóknie. Brakowało mi tchu. Jakby cała ulica tętniła. Jakby wszystkie domy z firankami miały rozbujane od nadziei i biegu serca, a wszystkie okna dopingowały do pośpiechu, bo tam mieszkają ludzie, którzy tak, jak ojciec chcą budować firmy i życie. Wszyscy coś organizowali w swoich poszarpanych szrapnelami domach: naprawiali dachy, szklili okna, na parapetach ustawiali równiutko doniczki z kwiatami, zawieszali czyściutkie firanki. Trzymając się za ręce przyrzekali miłość w małżeństwach, rodziły się malutkie dzieci, ale syte, w wygotowanych pieluszkach. Wszyscy coś zaczęli ojciec – firmę. Więc i ja muszę zawrócić ojca. To jest moje wsparcie, mój dobry czyn dla rodziny, dla ojca obrośniętego szczeciną i wychudzonego. Trzeba dobro czyścić, a nie nazywać – mówiła babcia.

Wiedziałam, gdzie ojca dogonię. Prawie mijał biały domek pani Zosi i pochylił głowę na znak pozdrowienia. Pani Zosia rozwieszała w podwórku, na sznurkach, białe płaty upranej bielizny pościelowej. Objęłam ojca, zwalając się całą sobą na jego pochylone plecy. Nawet nie obejmował się, żeby popatrzeć, że ktoś za nim biegnie i ciężko dyszy. Niósł widać swój ciężar i swoje myślenie na przyszłość, badał niepokój.

- To - to, ta-tu-tu-siu. Je-jest k-klient. Cho-dź za-zaw-zawra-caj!

Ojciec odwrócił się, podniósł mnie z chodnika, bo już osuwałam się do słabowitego klęczenia.

- Wody, wody, pani Zosieńko! - wołał w stronę sznurków z bielizną. Ale pani Zosia i bez wezwania już dreptała w naszą stronę z dzbankiem. Ojciec kołysał mnie na rękach to w jedną, to w drugą stronę leciutko, jak w kolebce. Ludzie z sąsiedniego domu i z naprzeciwka odsuwali firanki, a idący przystanęli. Woda lała mi się na szyję i chłodziła gardło. Wracałam w uspokojenie, w bezpieczeństwo.

- Już, no już cicho, cichutko. Moja córka nie może się jękać. Cicho, dziecko już dobrze.

- Wie-wie-działam, ż-że cię t-tu do-go-nię.

Pani Zosia dużymi, mokrymi rękami dotykała mojej twarzy i szyi, głaskała.

- Jezu! - płakała - dziecko zgonione jak na wojnie, Jezu!

- Biegła za mną, biegła, taką drogę - powtarzał ojciec. Potem ostrożnie postawił mnie obok siebie. Dokoła domek pani Zosi otulały żółte mimozy, a białe prześcieradła i poszwy tkwiły na sznurkach jak listy do Pana Boga, dziękczynne i dobre. Dogoniłam ojca.

Ruszyliśmy do domu. Ojciec objął mnie za ramiona i troskliwie prowadził.

Kiedy weszliśmy do kuchni, pozdrowił gospodarza i powiedział:

- Ona dziś do szkoły nie pójdzie. Jej lekcje zaczęły się o piątej rano. A skobel i rygiel jeszcze będą - i pocałował w czoło mnie i matkę. Zapalił z gospodarzem papierosa. Gospodarz siedział i czekał. Ojciec patrzył w okno jakimś dziwnym patrzeniem, dalekim i zmrużonym.

- Wczoraj byłem w Radzie i w Wydziale Finansowym. Będzie taki skobel i rygiel, że drzwi naszej firmy, naszego młyna, krótko będą gościnnie otwarte.

- Co pan mówisz, co pan mówisz? - gospodarz aż przegiął się w stronę ojca.

- Ot, tak wnioskuję. Widzę, słyszę.

A mama zaraz podeszła do ojca i pogłaskała łagodnie, uspokojeniem jego ramię.

- Przestań - mówiła - przestań. Nie sprowadzaj złego. Pan Bóg sprawiedliwy. Cicho. Taka praca, taka praca! Cicho.

Położyłam się na kozetce i zaraz usnęłam. Śniły mi się zamknięte drzwi z potężnym skoblem, z zakrzywionym hakiem. I rygiel jeszcze potężniejszy, z kłódką jak żelazna miska. Mocowałam się i mocowałam, żeby te dwa zawory ciężkie i mocne odsunąć. Nie ustępowały.

Nie ustąpiły, aż zmożyły moje ręce a potem serce ojca.

Dariusz Wiszowaty

1

Zastanawiam się co było na początku świata?

Podświadomość podpowiada mi, że to muzyka, stworzona przez pył gwiezdny i ruch planet. Prastwórca tworzył dźwięki wibrujące rytmem istnienia i wszechobecną ciszą. Harmonia stworzona przez pozorny chaos, przenikała dobro i zło, nadając im sens i chęć do dalszego komponowania rzeczywistości. Mam nadzieję, że koniec świata, też obwieści muzyka, która będzie wiecznie trwać, opowiadając historie, w której będzie częściąka każdego z nas.

2

Uwierzcie, że Bóg nam daje rock and rolla, abyśmy poznali smak wolności. Od dzieciństwa mam pulsujący rytm i radosne, niepokorne dźwięki gitar, dających nadzieję na wolną od obłudy i kłamstwa przyszłość.

Jest jak skała, dająca ciepło, schronienie, siłę i wolę życia. Jej ekspresja i naturalność sprawia, że pojawia się przysłowiowe światło w tunelu i że wszystko może się jeszcze wydarzyć.

3

Wierzę, że istnieje przyjaźń między ludźmi, z łagodnym ciepłem, przy którym może ogrzać się niejedna du-

sza. Całe życie szukam, słuchając rytmu istnienia, czekając aż przyjdzie ocalenie. Tęsknię za przyjaźnią życzliwą i altruistyczną, która nie ugnie się pod wpływem złego czasu.

Każda z istot potrzebuje wsparcia, akceptacji i świadomości, że jesteśmy komuś potrzebni. Prawdziwa przyjaźń jest ponadczasowa. Wartości chrześcijańskie wskazują nam ludzką drogę i co po nas zostanie.

4

Miłość jest ulotna jak powiew wiatru w jesienną noc. Czekam na nią całe życie, marząc skrycie, że nadejdzie, a ona czeka i frywolnie się uśmiecha, kpiąc ze mnie.

Drwiąc pije napój szaleństwa, mówiąc:

„hej! otrząśnij się, przecież mnie nie ma, to tylko złudzenia”. Cały czas wierzę, że ona istnieje i przyjdzie do mnie, tak jak Matka przychodzi do dziecka i utuli mnie szalem utkanym z promieni słońca, które będą mnie ogrzewać do końca życia, uśmiechając się do gwiazd, szepcząc, już cię nie opuszczę.

Zbigniew Głuszcak

Iwan Kryłow - BAJKI

Liście i korzenie

W piękny czas lata, w słonecznej godzinie,
Rzucając cienie na trawy w dolinie,
Liście na drzewie z zefirem szeptały.
Pyszniać się tkaną z zielności szatą,
Własne uroki przed nim wychwalały:
„Czyż nie jest prawdą, że przez całe lato
Jesteśmy główną ozdobą doliny?
Dzięki nam drzewo wznosi tak wspaniale
Majestatyczną koronę gęstwiny –
Skłębioną, bujną jak kędziorów fale.
Jakże by ono bez nas wyglądało?
Możemy nieraz cieszyć się pochwałą,
Bo w naszym cieniu pasterz odpoczywa,
Przybysz z daleka wędrówkę przerywa,
Od skwaru chowa, koi utrudzenie,
Zaś w czas ulewy znajduje schronienie.
To nasz wdzięk zwabia hoże tanecznicze
Strojne w gorsety i barwne spódnice.
To wśród nas słowik śpiewa w nocnej porze,
Żegna wieczorne, wita ranne zorze.
A i wy, wiatry, dobrze o tym wiecie,
Że z nami prawie się nie rozstajecie...”
– „Nam też wypada powiedzieć: dziękuję!” –

Jakiś głos z ziemi ku górze wzlatuje.
 Liście na drzewie gniewnie zaszemrały:
 „Kimże jesteście? Któż jest tak zuchwały,
 Że po grubiańsku nie liczy się z nami?”
 – „Jesteśmy drzewa tego korzeniami.
 Trwamy w ciemności, roimy się w glebie,
 Pracując w znoju nie tylko dla siebie.
 My was żywimy, z nas soki ciągniecie,
 Dzięki nam piękno roztaczać możecie.
 Lecz czas wasz krótki, bo jesień przychodzi,
 A z nową wiosną liść nowy się rodzi.
 Prawom natury podlegamy wszędzie,
 Wyniosłość, pycha losu nie odmieni.
 A jeśli żywych zabraknie korzeni,
 Nie będzie drzewa ani was nie będzie”.

(1811)

Gościnność Diemiana

– „Sąsiedzie miły, moje ty słoneczko!
 Częstuj się, proszę, zjedz jeszcze troszeczkę”
 – „Nie mogę więcej, jestem objedzony”
 – „Nic to wielkiego! Będę urażony,
 Jeżeli nowej porcji nie nabierzesz”
 – „Zlituj się, zjadłem uchy trzy talerze...”
 – „Przestań rachować! Jeśli ci smakuje,
 Z całą pewnością zdrowia nie zepsuje.
 Wspaniała zupka – ucha palce lizać!
 A jaka tłusta! Z wierzchu okraszona,
 Jakby bursztynem była doprawiona.
 Spraw mi przyjemność braciszku mileńki:
 Sterleta trochę, leszcza kęs maleńki.
 Jeszcze łyżeczkę! Pomagaj mi żono!”

Tak to ugaszczał Diemijan sąsiada
 Fokę, gdy go na ucztę rybną zaproszono.
 Wciąż coś podtyka i że nie je, biada,
 Karmi bez przerwy, nie daje wytchnienia,
 A z czoła Foki pot kroplami spada,
 Ostatnie danie ostatkiem sił zjada.
 – „Teraz cię Kocham! – dzielnyś bez wątpienia –
 Wykrzyknął Diemian tonem uniesienia. –
 Za to niejadków nienawidzę szczerze...
 Więc może nową porcyjkę nabierzesz?”
 Jakkolwiek Foka rybną zupę lubił,
 Teraz na długo zatracił ochotę.
 Zerwał się, chwycił czapkę i kapotę;
 Leciał w pośpiechu, mało nóg nie zgubił,
 I w swoim domu ledwie żywy zjawił.
 Już u Diemiana stopy nie postawi.

*

Pięknie, gdy wena twórcza dopisuje.
 Lecz jeśli uszu bliźnich nie szanujesz
 I że zamilknąć pora nie pojmujesz,
 Wówczas poezja lub proza czytana
 Obrzydłą bardziej niż ucha Diemiana.
 (1813)

Iwan Kryłow – związał się towarzysko na jakiś czas z grupą literatów, którzy swoje okresowe spotkania nazywali „Biesiadami miłośników rosyjskiego słowa.” Przeważali w niej wielbicieli XVIII-wiecznej literatury i zwyczajni grafomani, toteż Kryłow miał do nich stosunek bardzo krytyczny. Na jednej z „biesiad” jakiś uczestnik odczytywał swój przydługi nudny utwór. Po wyczerpaniu ustalonego wcześniej programu, przewodniczący zebrania sprowokował wystąpienie Kryłowa, a on ze

zmiętej kartki papieru przeczytał tę właśnie powiastkę. Jej treść zabrzmiała jak improwizacja, trafiła celnie w atmosferę chwili, toteż przyjęta została gromkim śmiechem.

„Bajka”, nosząca tytuł „Diemianowa ucha”, zmieniała się w opowiadaną anegdotę zyskującą szeroki rozgłos.

Pustelnik i niedźwiedź

W biedzie przysługę każdy rad przyjmuje,
Nie baczac raczej, kto ją ofiaruje.
W tej opowiastce kryje się przestroga:
Usłużny dureń – groźniejszy od wroga.

* * *

Z dala od miasta, w głuszy, wśród gęstwiny
Żył pewien człowiek bez żadnej rodziny.
O pustelnikach mówią rozmaicie.
Ten i ów pisze o ich słodkim bycie,
Śmiesznie mieszając smutki i radości –
Wszak sam nie zaznał takiej samotności.
Czytam więc zdania, że ruczaje czyste,
Ciemne dąbrowy, doliny świetliste,
Na łąkach kwiaty, trawy jedwabiste...
Ślicznie – odpowiem – jakaż piękna mowa!
A jednak zbrzydnię łąka i dąbrowa,
Jeżeli z nikim nie zamienisz słowa.
Stąd i pustelnik, którego przedstawię,
Znużył się w końcu wieczną samotnością,
Zgnębiony nie je i nie sypia prawie.
Za czyjąkolwiek tęskniąc obecnością
Idzie w głąb lasu, aby się wywiedzieć,
Czy w okolicy są jacyś sąsiedzi,

Z którymi mógłby zawrzeć znajomości.
Lecz w głuchej puszczy prócz wilków, niedźwiedzi
Innych kompanów wszak się nie spotyka.
Właśnie z niedźwiedziem nosem w nos się styka,
Bije mu pokłon i zdejmuje czapę,
A wielki niedźwiedź wyciąga doń łapę.
Tak słowo w słowo znajomkami stają.
Później poczuli w sercach przyjaźń błogą
I już ze sobą rozstać się nie mogą,
Dlatego razem całe dnie spędzają.
Lecz co robili, o czym rozmawiali,
Na jakie żarty sobie pozwalali -
Nic konkretnego nie wiem do tej pory.
Pustelnik zwykle do zwierzeń nieskory,
A niedźwiedź przecież milczkiem jest z natury.
Wszystko więc skryte za tajemnic murem.
Jakkolwiek było, pustelnik szczęśliwy,
Że Bóg mu zesłał tego przyjaciela,
W pochwałach twierdzi, że to skarb prawdziwy.
Za miśkiem chodzi, nic ich nie rozdziela,
Bez misia nudno, szkoda każdej chwili.
Pewnego razu obaj zamyślili
Wędrować razem przez wzgórze, doliny,
Rozległe łąki i lasu gęstwiny.
Dzień był upalny, więc marsz wkrótce trudzi,
A że niedźwiedzie żwawsze są od ludzi,
Pustelnik w tyle za miśkiem zostaje,
W końcu zmęczeniu zupełnie poddaje.
Kompan to spostrzegł i radzi sensownie:
„Odpocznij, bracie, połóż się wygodnie,
A jeśli zechcesz, to i pośpij sobie,
Gdy ja w tym czasie posiedzę przy tobie.”
Pustelnik z chęcią się w trawie ułożył
I ledwie ziewnął, zaraz sen go zmorzył.

Misiek straż trzyma – ale nie próżnuje! –
 Bo oto widzi, że po nosie druha
 Spacerkiem chodzi dokuczliwa mucha.
 Machnąwszy łapą odpędził owada,
 Lecz mucha wraca, na policzku siada.
 Zganiecie łapą efektu nie daje,
 Gdyż mucha bardziej natrętna się staje –
 Umyka zwinnie, za moment znów spada,
 Teraz wolniutko po czole wędruje...
 Widząc to niedźwiedź duży głaz ujmuje
 I z całej siły uderza nim w głowę –
 Od ciosu czaszka pękła na połowę.
 Sposób na muchę był bardzo skuteczny:
 Przeniósł śpiącego na spoczynek wieczny.

(1807)

Zwrot: „usłużny dureń groźniejszy od wroga” – stał się przysłowiem.

Zebranie gromadzkie

Wilk do lwa prośbę służalczą skierował,
 By go starostą owczarni mianował.
 Słówko poparcia wpadło w uszy lwicy
 Za sprawą dobrej kumoszki lisicy.
 Lecz że o wilkach wielu ma złe zdanie,
 Lew awans wstrzymał, odczuwa wahanie;
 Jakże decyzję szybko podejmować,
 Kiedy go zaraz będą krytykować.
 Wymyślił w końcu sprawy rozwiązanie:
 Wezwie zwierzęta na walne zebranie;
 Wówczas wypyta tego i owego,
 Co wie o wilku dobrego lub złego.

Rozkaz spełniony. Rody zwierząt liczne,
 Zamieszkujące lasy okoliczne,
 Przybyły karnie w miejsce naznaczone.
 Lew stawia sprawę, zebrani słuchają,
 A później długo o niej rozprawiają,
 Lecz nikt ni słowa przeciwko wilkowi.
 Teraz zniknęły wszelkie wątpliwości,
 Można starostą wilka ustanowić.
 Cóż na to owce? Milczą z ostrożności?
 Nikt nie usłyszał, by się odezwały,
 A na zebraniu przecież być musiały.
 Otóż to właśnie! Ich nie zapraszano
 I o ich zdanie spytać zapomniano,
 Choć należało pytać w pierwszym rządzie,
 Bo panem losu wilk w owczarni będzie.

* * *

Choćby najlepszy ład ustanowiono,
 Jeśli rząd przejmie niegodziwców grono,
 Zaczną fortelem albo przekrętami
 Wywracać wszystko do góry nogami.

(1816)

Włościanin i owca

Włościanin owcę do sądu pozywa,
 A wprzód od podłych złodziejek wyzywa;
 Biedacze grozi kryminalna sprawa.
 Koleją rzeczy przychodzi rozprawa.
 Lis będzie sędził, więc się zaraz zdało,
 Że na tej sali powietrze zawrzało.
 Szybkie pytania lecą w obie strony:
 Powód, pozwany; kim są, o co wnoszą,

Jakie dowody przestępstwa przynoszą;
Niech po porządku fakty przedstawiają,
Mówią, jak było, wrzawy nie wszczynając.
Włościanin rzecze: „Tego dnia a tego
Dwóch kur zabrakło ze stadka mojego.
Rankiem w kurniku wszystko się wydało:
Piórka, kosteczki – tyle z nich zostało.
A na terenie podwórza całego
W nocy jedynie owca przebywała.
Owca zaś mówi, że całą noc spała.
Tu wszyscy wiedzą o jej uczciwości,
Poszanowaniu dla cudzej własności.
Nigdy z zarzutem takim nie spotkała,
By się oszustką lub złodziejką stała.
Można zapytać każdego sąsiada;
Potwierdzi również, że mięsa nie jada.
Wolę nie wnikać w prawne zawiłości,
Stąd wyrok lisa przytaczam w całości:
„Sąd argumentów owcy nie przyjmuje.
Każdy złoczyńca kręactwa próbuje,
dociera ślady, a winnym nie czuje.
Przewód ustalił, iż rzeczonej nocy
Owca w obejściu od kur nie odchodzi,
Co bez wątpienia jej winy dowodzi.
Mięso kur smaczne, okazja wspaniała,
Więc od zjedzenia ich nie powstrzymała.
Stwierdzam, że zbrodnia jest udowodniona,
Za karę owca winna być stracona.
Później zostanie wyrównana szkoda:
Mięso sąd weźmie, skóra – dla powoda”

(1821)

Michał Siedlecki

Wrota

Osoby:

PIJAK (zwany również Klaudiuszem)

KAROLINA (alkoholiczka z wyboru)

ARTUR (samiec nad samcami)

AKT PIERWSZY

SCENA PIERWSZA

Park. Noc. Pijak budzi się i drapie po głowie, chwiejnym krokiem podąża w stronę ławki. Ławka znajduje się naprzeciw latarni. Lampa latarni jest uszkodzona, oświetla tylko skrawek parkowej alei. Pijak podchodzi do ławki i siada na niej, wpatruje się w lampę.

PIJAK

Ścierwo ze mnie paskudne, pchła karmiąca się krowim łajnem, żaden ze mnie alkoholik. Alkoholik ma chociaż swój honor a ja? Alkoholik wybiera rodzaj trunku a ja? Alkoholik wie, że jutro znowu będzie szczęśliwy a ja? Kim więc jestem? Człowiek, puste słowa, co one dzisiaj znaczą? Człowiek jest w stanie powstrzymać się od głupich żądań, od idiotycznych nałogów a ja? Ja wcale nie odbiegam od przeciętnej. Nie ma na świecie żywego stworzenia, które nie potrzebowałoby jakiegoś sztucznego substytutu, jakieś marnej imitacji rzeczywistości, by

się nią zaspokoić i nie myśleć co przyniesie dzień następny. Co przyniesie, to i zabierze!

Pijak wpatrzony w latarnię zamyśla się. Kontempluje światło.

PIJAK

Chciałbym być żarówką, która raz wkręcona pali się całą wieczność, wtedy wiedziałbym, że nigdy nie zgasnę.

Pijak kładzie się na ławce i podziwia pochmurne niebo, które uświadamia mu, że Ziemia to wielka puszka.

PIJAK

Boże, stworzyłeś Ziemię na kształt butelki, gdy pociągniesz głębszego, ktoś umiera i tylko zakąska zostaje. Zjedzą nas robale, twoi żołnierze, rozłożą nas na części składowe, a później pozostanie z nas tylko popiół. Dusza? Ile ich potrzebujesz, czy dusza może wchłaniać? Boże, gdybyś mógł mnie zapewnić, że po śmierci można mieć kaca.

Do na wpół sennego Pijaka podchodzi Karolina.

KAROLINA

zmęczonym głosem

Klaudiuszu, ty moja druga połowo. Zawsze ci mówiłam, że dawno temu, gdy miałam jeszcze prawo wyboru, to wybrałam wódkę i wybrałam ciebie. Jakże się cieszę, że cię widzę.

Właśnie byłam w centrum, wiesz, sosny na swoim miejscu, wiewiórki schowały się do dziupli, a wrony, nie, wron nie było. Wszyscy mi mówią, że plotę androny. A ja tak kocham żółdkową gorzką, no i ciebie też.

No. Jak myślisz? Gdybym była facetem, czy wtedy mogłabym więcej?

PIJAK

Kobieto, żaden facet cię nie przepije.

KAROLINA

Klaudiuszu, ty mnie obraziłeś, znam się na tym, przecież prawie skończyłam podstawówkę. Tam była taka opowiadanka, o tym jak dwoje bachorów, no, one pojechały do Afryki. Tam ich chciano obrazić, powiedzieli im – wy chrześcijanie, to wy gustujecie w winie, no a my Arabowie nie pijący. Jeśli wyrzekniecie się wina, no to ja wam łeb nie ścina.

PIJAK

Przestań, znowu mieszasz fakty.

KAROLINA

Nie, nie wspominaj mi o 1410. Tak, jak ktoś mi mówi o Racławicach, to bierze mnie na wymioty.

PIJAK

Kobieto, opamiętaj się, bo od twego gadania robi mi się źle. Wiesz co, idź lepiej do tych swoich wiewiórek, no. Ja tu kontempluję ciszę, a ty ją zakłócasz swoją prostacką sztuką oratorską. Nie wiem, wykap się w stawie, lub idź do dentysty!

KAROLINA

z emfazą

Rozumiem, że to komplement, ach jaki ty słodki. Wiedziałam, że w tobie mam przyjaciela jak jasna chole-

ra. Kocham gorzką żołądkową, ciebie i ten park. Ach, gdyby tu były jakieś wrota, jakieś stare drzwi, za którymi by się coś...

PIJAK

z pasją

To chyba najmądrzejsza myśl, zdanie jakie kiedykolwiek wypowiedziałaś. Wrota. Wyobraź sobie, że przekraczam je, no cholera, oboje je przekraczamy, stawiamy pierwsze kroki w świecie, no właśnie, w świecie, nie, ach, w świecie bez twarzy, do dupy to wszystko!

KAROLINA

Nie, przekraczamy wrota, a tam komitet powitalny wiewiórek. Wszystkie wystrojone zapraszają nas do swoich dziupli.

PIJAK

A ty znowu swoje, czy nie potrafisz wyzwolić się z presji rzeczywistości, czy zawsze jesteś uwarunkowana otaczającym cię światem? Czy nie potrafisz marzyć o boskim niebycie? Czy to, co widzisz przekłada się na to, co czujesz w głębi swojej duszy? Czy znowu mam ci przypominać o najważniejszych wartościach? Ta, tylko, że w dzisiejszych czasach nie ma już żadnych. Jedni obalali Boga, drudzy stwarzali maszyny, inni znowu byli ugruntowani w przeszłości i z niej czerpali nektar. Escape from reality, kobieto!

KAROLINA

Klaudiuszu, co ci jest, czy to głód? Wiesz co, nazbierałam trochę, starczy na tanie wino, przecie my chrześcijany!

PIJAK

Tak, to chyba jedyna rzecz, której człowiek nigdy nie zniszczy – alkohol! Jak można zniszczyć coś, co wprawia nas w lepszy nastrój? To nic, że kiedyś od tego zginiemy, to nic, że pijackim krokiem nie dojdziemy do wrót na kresach parku. Cóż, jeśli to nam tylko zostało. Idź kobieto, męski mutancie żebra, idź po puchar dla swego mi- strza!

KAROLINA

Idę, i zaraz wracam, bądź tutaj i nigdzie nie odchodź.

Karolina podążą swoim dogmatycznym krokiem w stronę delikatesów. Pijak podnosi się i popada w zadumę.

PIJAK

Głupia Karolina, coraz jej morda się dopomina. Czy ten świat polega tylko na braniu i zaspokajaniu własnych potrzeb? Czy nie potrafimy już dawać. Odbieramy, zabieramy, przyśpieszamy swój nieunikniony kres, popadamy w hedonizm. Życie to tylko gest, poza, nic więcej nam już nie zostało. O Boże, gdybym mógł zmienić ten świat, to pokarm i wodę zastąpiłbym snem! Odpowiednia ilość snu zapewniłaby nam godziwy byt. Oniryczna fantazja prowadziłaby nas do wieczności, i jeśli ktoś by umarł, to tylko we śnie, śniąc o potędze, potędze bez krwi znoju i potu, potędze duszy! Zazębiające się dusze, tryby, które do siebie pasują, seks w eterze, rozkosz w uniwersum. Raj, raj za wrotami, a może tam nie ma nic? Nie jestem twórczy mówiąc o tym, o czym dysputowali wielcy, lecz wielcy w mowie, mali w środku. Boże wszechmogący, Boże wszechwiedzący,

kocham Cię i jeśli umierać będę, spraw abym ostatnim drgnieniem moich członków, nie naruszył ładu, który stworzyłeś.

Wraca Karolina. Pod pachą niesie bełta. Na ustach uśmiech, krok zachwiany. Siada na ławce obok Pijaka.

KAROLINA

No, załatwiłam sprawę. Masz, napij się pierwszy.

Piją jakiś czas.

KAROLINA

Zostawiam pół butelki, byśmy mogli przed świtem ją skończyć.

PIJAK

z powagą filozofa

Zastanawiałaś się kiedyś, że tak bardzo boimy się dnia, dlaczego żyjemy nocą, a rankiem śpimy? Dlaczego zimę wolimy, latem jesteśmy bezradni, zagubieni, zmęczeni życiem i popadamy w jakiś psychotyczny stan oczekiwania na ciemność, która nas pochłania. Słuchaj Karolino, a jeśli przekroczymy te wrota i zatoniemy w mroku, poczujemy w nozdrzach palący się las i zrozumimy, że im dalej będziemy się zagłębiać, tym czad stanie się bardziej uporczywy i zacznie nas dusić, a ogień bardziej dosięgać? Czy możliwe jest obejście tego lasu, czy za nim coś się znajduje, i czy to właśnie nie jest powodem naszego lęku? Bo jeśli okaże się, że za lasem jest... nie, to nie może być prawda, to byłby koniec!

KAROLINA

Daj spokój, wiesz co, skończmy lepiej tę butelkę i prześpijmy się, może jutro, w okolicach osiemnastej, świat będzie lepszy!

Skończyli wino.

PIJAK

Za dużo oczekujesz, za mało wiesz.

Zasnęli. Noc była długa, „sen bez snów”. Godzina dwunasta w południe. Pijak i Karolina leżą po przeciwnych stronach ławki. Ktoś do nich podchodzi i usiłuje zbudzić Karolinę.

ARTUR

podnieconym głosem

Królowo moich snów, obudź się.

KAROLINA

skacowanym głosem

Co jest? Co, co się dzieje?

ARTUR

z emfazą

Zastanawiam się, gdy chodzę, nad każdym ruchem mojej kończyny, kocham was dziewczyny!

KAROLINA

A, wierszokleta, nie, to przestaje być śmieszne.

ARTUR

basem

Jestem człowiekiem wysportowanym, mam stałą, dochodową pracę, szukam kobiety mego życia, o gwiazdo zaranna.

KAROLINA

speszona

Co ty sobie wyobrażasz, Klaudiusz, obudź się, jakiś zboczeniec, co on sobie myśli, będę krzyczeć, Klaudiusz!

PIJAK

z trudem

Obudziłem się, więc żyję. Glorious victory, no!

KAROLINA

zrozpaczona

Klaudiusz, pomóż mi, ten typ się do mnie dobiera, chce naruszyć me nieskalane ciało i duszę moją z wybo-ru!

PIJAK

z obojętnością

Kobieto, to pewnie Olo po operacji twarzy i ciała swego, cześć Olo.

ARTUR

Na imię mam Artur, jestem samcem nad samcami, kocham kobiety, mężczyzn kochać nie potrafię, kobiety mają coś...

PIJAK

z przekąsem

Tak, mają jakiś magnes wilgotny, ty erotomanie bez twarzy, sobowtórze człowieka, poczwaro podniecona, uciekaj stąd, bo zaraz skonam!

ARTUR

zdeenerwowany

W mordę strzelić umiem, alkoholika nie skrzywdzę, szkoda ręki na łachmytę!

PIJAK

To idź w ustronne miejsce i nie szkoduj ręki!

ARTUR

przymierza się do uderzenia

Ty!

KAROLINA

zastania Pijaka

Przestań Artur i siadaj, pogadajmy spokojniej.

ARTUR

niewinnym głosem

Ja tylko kocham, mało tego, pożądam kobiety, bez nich żyć nie potrafię, dla nich żyję i nimi w myślach rządę, kreuję własny harem w głębinach wyobraźni.

PIJAK

rozbawiony

Zgoda Arturze, też kocham kobiety, tylko, że inaczej, przez pryzmat doświadczenia, jeśli coś ci to mówi.

ARTUR

podniecony

Doświadczałem wiele, rozkoszowałem się każdym skrawkiem kobiecego ciała, jednak żadna mi nie wystarczyła, dążę oto do zbudowania własnego burdelu, kilka tysięcy kobiet zaspokajających mnie dzień cały, że aż na samą myśl dostaję samczych konwulsji!

KAROLINA

rozbawiona

Słodki romantyk ostrej sztuki kochania!

PIJAK

z natchnieniem

To co niemożliwe, w tym wypadku jest jeszcze bardziej niemożliwe!

ARTUR

z powagą

Żyć by zaspokoić potrzeby, żyć z kobietą, na kobiecie i co najważniejsze w kobiecie!

Tu następuje krótka pauza na wymuszony śmiech Pijaka i Karoliny i niczym nie kamuflowaną radość Artura.

ARTUR

Dziwny jest ten świat, jakże blisko jesteśmy i jakże daleko, co powie o tobie mnich, który przybędzie z krainy nieznanej, czy pogodzisz się z jego opinią w języku tobie niezrozumiałym?

PIJAK

Powiadasz mnich z krainy nieznanej, otóż, może ten świat znajduje się za tymi wrotami na skraju parku?

ARTUR

Jakimi wrotami?

PIJAK

Otóż, trzeba ci wiedzieć, że tu, gdzieś w pobliżu istnieją równoległe światy, tam nasze marzenia przestają nimi być raz na zawsze, one są chlebem powszednim, hipercodziennością, zaspokajającą nasze pragnienia, czymś lepszym od najlepszego narkotyku, czymś niepodważalnie pięknym.

ARTUR

podekscytowany

To chodźmy tam!

PIJAK

Ty chyba żartujesz, wiesz gdzie są wrota?

ARTUR

z nonszalancją

Ja, niby ja miałbym nie wiedzieć?

PIJAK

To prowadź!

KAROLINA

podniecona

Tak, tak, wrota, inny świat, och, penetrujmy!

ARTUR

z ekstazą

Penetrujemy...

PIJAK

przerzywa mu

Arturze, opanuj się. No. A teraz mów gdzie jest to miejsce?

ARTUR

zastanawia się, a później wypowiada wszystko na jednym wydechu

Proponuję na północ gdzie mrozy największe tam tereny nieprzystępne dla zwykłych śmiertelników, a skoro jesteśmy niezwykli, to wrota znajdziemy!

PIJAK

zdziwiony

Trochę to pogmatwane, ale odpowiada mi, jak na mój pijacki rozum, coś z tego będzie.

KAROLINA

podekscytowana

No, to dawaj, idziom, znajdziom!

ARTUR

zakochanym głosem

Gdzie ukochana czeka na ciebie, gdzie nagie ciało wygina się w takt kocich dysonansów, gdzie mnich szkaradny nuci pieśń zatracenia...

PIJAK

z dozą ironii

Gdzie gra na lutni ślepa Gienia, hej!

*Wstali z ławki i skierowali swój chód na północ, w stronę wrót,
za którymi świat mieni się w innych kolorach.*

SCENA DRUGA

Północne rejony parku. Wczesny wieczór. Pijak, Karolina i Artur zmęczeni dwugodzinnym marszem, siadają na pobliskiej ławce. Wyciągają zmęczone kończyny i rozkoszują się zapadającym zmrokiem. Kontemplacja trwałaby może wieki, gdyby nie przejeżdżający rowerzysta, który wprowadza do ich medytacji element chaosu.

PIJAK

Ptu!

KAROLINA

No!

ARTUR

Tak!

PIJAK

Otóż, zmierzam do tego, że ten marsz to był urojony pomysł. Wrót nie ma, nie było i nie będzie. Błędne te nasze marzenia, chore plany, których realizacji podjąć by się mogła tylko piłkarska reprezentacja czubków.

KAROLINA

z roztargnieniem

Oglądałam kiedyś film, jacyś z północy bili się z południowcami... i kto wygrał tego nie pamiętam, może dowiemy się, jak skierujemy nasz chód na południe?...

PIJAK

z szewską pasją

Artur wytłumacz tej kobiecie, że głupstwa plecie!

ARTUR

Karolinko, nie ważne kto wygrał, ważne że my przegraliśmy, a najbardziej to ja poniosłem klęskę, zaprowadziłem was do miejsca, gdzie rządzi powszedniość, nie ma tu kobiet, pięknych nimf wodnych, nie ma tu celtyckich kapłanek gotujących wywar na wolnym ogniu, oj, nie zaproszą nas dzisiaj do swoich komnat, by zatracić się i znaleźć ukojenie w zapachu róży!

KAROLINA

podniecona

Wolę bławatki!

PIJAK

Niż piękne szmatki?

KAROLINA

zdeenerwowana

Zaraz cię zdzielię, ty podłe ciele!

ARTUR

zakochanym głosem

Karolino, ty piękna dziewczyno, ile czasu potrzebujesz by zawładnąć sercami wszystkich mężczyzn na świecie?

KAROLINA

Chlebodawco... chciałam powiedzieć, że mi to schlebia, czy zbułkuje, czy jak to się mówi?

ARTUR

Nic nie mów, otwórz swe serce.

PIJAK

uginą się pod ciężarem spazmatycznego śmiechu

Ha, ha, ha!... wiecie co, nadajecie się tylko do kabaretu!

ARTUR

Nie rozumiesz tej poezji, tej naszej miłości? Klaudiuszu, zawsze ci mówiłem, że byłeś nieczuły na sprawy piękne, najwyższe, zawsze je ignorowałeś i budowałeś ten swój pancerz zatwardziałego ramola, uodpornione go na wdzięki kobiet!

PIJAK

kona ze śmiechu

A jesteś pewny, że Karolina to kobieta?

W tej chwili Karolina i Artur rzucają się na uciekającego Pijaka. Cała rozwydrzona grupa okrąża pobliskie drzewa i krzewy, trwa to jakieś 15 minut. Pijak okazuje się być zawodowym maratończy-

kiem, bowiem nikt go nie może dogonić. Karolina i Artur padają na trawie, a Pijak okrąża ich dwukrotnie i siada od nich w odległości dziesięciu metrów.

PIJAK

łasi się

Psieprasiam...

Karolina i Artur milczą konsekwentnie, nie odpowiadają na wynaturzenia Pijaka, który uważa, że może z nimi nawiązać dialog tylko wtedy, jak zdegraduje się do ich poziomu inteligencji. Pijak skacze jak orangutan, drapie się po głowie, ustawicznie powtarza „psieprasiam” i uderza się w głowę na znak skruchy i pokuty za własne grzechy.

ARTUR

z furią

Do cyrku potworze!

KAROLINA

zdeenerwowana

Ty klaunie, ty gnido, ty małpo, ty ropucho, ty idioto!

PIJAK

miłym głosem

Przepraszam i proszę o wybaczenie.

KAROLINA

Niedoczekanie twoje, ty parszywy demonie!

ARTUR

Przebaczam ci, ale jeśli Karolinka nie zmieni zdania, to cofnę decyzję i będę się gniewał tak długo jak ta piękna białogłowa!

PIJAK

Co, konspiracja?

KAROLINA

Nie wiedziałam, że z ciebie jest zwierz, a skoro psom daje się drugą szansę, to daję ci ją, *(krzyczy)* nie wiedziałam, żeś ty żmija nikczemna!

PIJAK

Teraz przesadzasz, ale skoro... dobra szkoda słów, nie będę się już więcej z wami kłócił, skoro mi wybacza-
cie, to znaczy, że jest zgoda...

KAROLINA

z wielkim wysiłkiem wymawia słowo

Zgoda...

ARTUR

Skoro miłość ma mówi w ten sposób, nie pozostaje mi nic innego, jak iść za głosem serca i upokorzyć się przebacząc ci.

KAROLINA

A ty znowu zaczynasz swoje, nie jesteśmy po słowie, a ty traktujesz mnie jak własną brankę!

ARTUR

rozbrojony

Ależ wybac mi, przebac mi, bądź tak miła i zrozum, że to nie ty, a ja jestem twoim niewolnikiem, możesz ze mną zrobić, co uważasz za stosowne, królowo moja, ty moja cesarzowo!

PIJAK

z powagą greckiego filozofa

Słuchajcie, zostawcie te swoje miłosne igraszki i zastanówmy się razem nad tym co nas tutaj sprowadziło, to znaczy nad problemem tych metafizycznych wrót, prowadzących do Edenu.

KAROLINA

Zanim jednak wznowimy poszukiwania, musimy coś zjeść, nie wiem jak wy chłopcy, ale odczuwam potworny głód.

ARTUR

kiwa potakującą głową

Tak, to jest dobry pomysł, co ty na to Klaudiuszu?

PIJAK

Karolina zapomniała ci chyba powiedzieć, że nie mamy pieniędzy i żywimy się wyłącznie...

KAROLINA

przerzywa mu

Klaudiusz chciał po prostu powiedzieć, że...

ARTUR

Żaden problem, dzisiaj ja stawiam!

KAROLINA

podekscytowana

Ależ ty kochany!

PIJAK

Ocaliłeś nas przed głodem, nie wiem, jak mam ci dziękować.

ARTUR

Nie ma sprawy, czego się nie robi dla przyjaciół, wiecie co, to najpiękniejszy dzień w moim życiu! Zaprowadzę was do restauracji gdzie serwują najlepsze dania.

Pijak, Karolina i Artur udają się do ekskluzywnej restauracji „Krowia jama”. Zasiadają do stołu dla trzech osób, na którym pali się złota menora, otaczają ich piękne antyki, dystygowanym krokiem podchodzi do nich kelner przypominający z wyglądu uranistę.

ARTUR

z nonszalancją

Poproszę trzy porcje „krowich rarytasów a la tu tu” i do tego trzy butelki najlepszego białego wina.

KAROLINA

zachwycona

Jestem zachwycona, jakże to pięknie brzmi, a jak to musi wspaniale smakować, a to wino jest pewnie wyborne.

PIJAK

Szczerze powiedziawszy, to danie brzmi oryginalnie, a wino umili nam życie, nie wiem jak ci się odwdzięczyć, drogi Arturze.

ARTUR

Ależ nie ma o czym mówić, moi mili, to ja czuje się zaszczycony, że mogę wspólnie z wami czerpać radość z posiłku.

Kelner przynosi trzy dania, zaraz potem zjawiają się trzy butelki białego wina. Pijak, Karolina i Artur w błyskawicznym tempie pożerają zawartość talerza, następnie równie szybko wlewają w siebie szlachetny płyn z procentami, a na koniec wszystkiego z ich otworów gębowych wydobywają się trzy skośne beknięcia.

PIJAK

uraczony

Drogi Arturze, nawet nie wiem jakimi słowami wyrazić moje wzruszenie i radość. Gdybym był kobietą, to pewnie bym cię namiętnie pocałował.

Artur wpatruje się w Karolinę, na której twarzy pojawiają się dwa bordowe rumieńce.

ARTUR

śpiewa

Karolino, Karolino, gdy myślę o tobie, przewraca mi się w głowie!

KAROLINA

zdeprymowana

Przestań...

PIJAK

Moi mili, wiem, że wyda się to wam nad wymiar dziwne, ale proszę o zrozumienie. Uważam, że powinniśmy kontynuować poszukiwania tych tajemniczych wrót, sądzę, że jedynie to może nas wyzwolić od bata rzeczywistości, jedynie ten inny świat, ten inny wymiar przyniesie nam ukojenie i tylko tam poczujemy się naprawdę szczęśliwi.

KAROLINA I ARTUR

jednocześnie

Gdzie są te wrota?

PIJAK

Mogę tylko zaproponować to, co i tak wyda się wam idiotyczne. Karolina wspominała coś o południu... Skoro była tego tak pewna, cóż intuicja kobiety nie zna granic, jestem skłonny przystać na tę opcję. A teraz postaram się was zarazić moją wizją, bo jeśli wrota są na południu, to jeszcze dzisiaj będziemy oddychać rajskim powietrzem i przed bramą porzucimy nasze troski, niczym brudne ubrania i jak niemowlęta nie skażone przez zło tego świata, dosięgniemy absolutu!

ARTUR

No, rzeczywiście, muszę przyznać, że zaraziłeś nas, masz wielką wyobraźnię, ale ktoś z nas nie jest marzyicielem, przystaję na twoją propozycję, z wielką rozkoszą ponowię poszukiwania, co ty na to Karolino?

KAROLINA

Wcale nie jestem taka pewna tego południa, ale skoro tak bardzo upieracie się przy tym, to zgadzam się, jak to się mówi, „raz kozie śmierć”.

ARTUR

Drogi Klaudiuszu, sądzę, że powinniśmy odłożyć naszą eskapadę na dzień jutrzejszy, moje biedne członki są strudzone penetracją tego megabuszu, osobiście uważam, że sen jest w tej chwili jedynym dobrym lekarstwem na nasze dolegliwości.

KAROLINA

Jestem za, tak, wypoczynek po obfitym posiłku sprawi radość naszym ciałom i duszom, niech pochłoną nas rozkosze nie z tej ziemi, niech dzieją się cuda!

ARTUR

Tak, rozkosze, cuda, miłość, seks, ekstazy, o, przepraszam, poniosło mnie...

PIJAK

Zgoda Karolino i Arturze, zatraćmy się we śnie, niech marzenia rzeźbią nam umysł, ale jest jedno ale...

ARTUR

zdziwiony

Jakie ale?

PIJAK

z lekkim zakłopotaniem

Skoro jesteś w naszej grupie, musisz spać jak my, to znaczy na parkowej ławce, wtedy może nabierzesz większego szacunku do otaczającego cię świata i zrozumiesz dlaczego te wrota są celem naszego życia, a nie wymysłem naszej chorej wyobraźni?

ARTUR

Nigdy nie posądzałem was o chorobę psychiczną, a co się tyczy tej pierwszej kwestii, to z wielką chęcią mogę spać na ławce, drobiazg.

PIJAK

No, to żeśmy się dogadali, cóż za nim pójdziemy spać, powinienem wam coś wyznać. Otóż dawno temu,

gdy byłem jeszcze bardzo młody, zakochałem się w pięknej kobiecie, która niczym jaskółka zjawiała się przed moim domem, niczym wiatr potargała ścieżki wiodące do mego serca. Nie pamiętam jej twarzy, ale jedno wiem na pewno, była to najpiękniejsza kobieta, może to wyda się wam absurdalne, ale oddałbym za nią życie. Otóż, do czego zmierzam (*plącze*), jeśli znajdziemy te wrota, to jestem święcie przekonany, że pierwszą osobą, która poda mi dłoń, będzie miłość mego życia.

ARTUR

wzruszony

To jest rzeczywiście wzruszające, nie wiem co powiedzieć w takiej chwili, która obnażyła przed nami duszę artysty, tak Klaudiuszu, jesteś artystą, ty, jeśli kochasz, kochasz naprawdę.

KAROLINA

Nigdy mi tego nie mówiłeś Klaudiuszu. Jeśli ją tak mocno kochasz, wiedz, że nic nie dzieje się na ty świecie bezcelowo, ile bym dała, by twoje marzenie spełniło się.

ARTUR

Zobaczysz, wszystko się jakoś ułoży, musisz mieć wiarę, zobaczysz, że jeśli znajdziemy te wrota, odnajdziesz swój skarb, który zatraciłeś w młodości. Myślę, że każdy z nas poszukuje tego lepszego świata, bo wie, że tylko tam jest w stanie żyć bez trosk tylko tam...

KAROLINA

rozmarzona

Tylko tam.

PIJAK

Dobranoc wszystkim, jutro okaże się na ile nasze przypuszczenia są trafne, dzisiaj żyjemy nadzieją, bo kto nie ma tej nienormalnej pewności, że człowiek potrafi otworzyć w swojej percepcji wrota, które mogą się zmaterializować i przybrać kształt widzialny dla wszystkich, ten jutra nie dożyje.

KAROLINA

Dobranoc, miłych snów.

ARTUR

Dobranoc.

Pijak, Karolina i Artur położyli się na trzech pobliskich ławkach, zamknęli oczy i pogrążyli się we śnie, śniąc o lepszym świecie, kryjącym się za tajemniczymi wrotami.

SCENA TRZECIA

Cała trójka budzi się z długiego snu, przeciąga zmęczone kończyny, drapie się nerwowo po głowach, uśmiecha, wita i klepie po plecach.

PIJAK

Coś trzeba zrobić z tym naszym południem, trzeba coś przedsięwziąć, trzeba coś ustalić, ale jak i co?

ARTUR

zaspanym głosem

Pozycje południowe zawsze mnie interesowały.

KAROLINA

z roztargnieniem

Południe, południe, hej-hop-hula-hop...

Tu następuje pauza, Karolina, Artur i Pijak załatwiają swoje fizjologiczne potrzeby.

PIJAK

zadowolony

No, nareszcie nastąpił odpływ płynów i gazów, istne fizjologiczne katharsis, a teraz na południe.

KAROLINA

zrozpaczona

Ty, tu mówisz o południu, a mi jeść i pić się chce.

ARTUR

kiwając głową

No, ona ma rację.

PIJAK

sfrustrowany

I ciągle to samo, mamy w głowie jakąś ideę, chcemy ją zrealizować, chcemy ją urzeczywistnić, a tu jak grom z nieba pada na nas przekleństwo, w stylu jeść, pić itd. Ludzie, zastanówcie się, czy by przeżyć trzeba nażreć i napić się do syta? Proust'owi wystarczyła magdalenka z herbatką, a nam winny wystarczyć ochłapy z kosza, bo skoro spaliśmy jak degeneraci, to i jedzmy jak degeneraci!

ARTUR

Gówna jeść nie będę, a tak poza tym to gdzie jest Karolina?

Mija dwadzieścia minut, a Karoliny wciąż nie ma, Pijak i Artur krążą wokół parku... nagle zza drzew wyłania się rozradowane oblicze Karoliny.

KAROLINA

wrzeszczy

Mam, znalazłam, kurde, znalazłam całą dychę!

PIJAK

Co?

ARTUR

Niemożliwe...

KAROLINA

podniecona

Mówię wam, to cud, to istny cud!

PIJAK

Oto i mamy śniadanie, cieszymy się, cieszymy, pieniądz spadł z nieba, szkoda, że pieniądz nie daje szczęścia, a jest tylko zaspokojeniem naszych żądz, ile by go nie było i tak zawsze będzie za mało.

ARTUR

Nie jest tak źle, zjemy po dwie bułki z mlekiem, a ja wam postawię kawę.

KAROLINA

Mądrze gada, zróbmy to.

PIJAK

Jeśli tak ma być, to niech tak i będzie.

KAROLINA

rozkojarzona

No!

ARTUR

zdziwiony

Hm!

Cała trójka idzie do sklepu, kupuje wyżej wymienione produkty spożywcze, następnie zjada bułki, pije mleko, później Artur stawia wszystkim po filiżance kawy i po „sytych” posiłku Pijak, Karolina i Artur udają się w południowe rejony parku.

PIJAK

zamyślony

Zastanawialiście się kiedyś, co znaczy żyć i doświadczać, pomyśleliście kiedyś o tym, że młody człowiek może przeżyć więcej niż osiemdziesięciolecie. Jakoś tak jest w życiu, że jedni widzą więcej, a inni mniej, jednym wystarczy seks, narkotyki i pieniądze, a znowu inni żyją nadzieją, że spadnie im gwiazdka z nieba.

KAROLINA

Mnie tam wystarczy jak sobie w nosie podłubię i splunę krwią, po trzydziestym papierosie.

ARTUR

A ja bym zaliczał i zaliczał i...

PIJAK

oburzony

A wy, znowu swoje, ten o dupach, a ta o krwi i pewnie o krwiopochodnych wiewiórkach...

KAROLINA

przerywa mu

Skąd wiesz?

PIJAK

Jakoś tak to już jest, jeden mój mistrz stwierdziłby, że poznaje się ludzi „na odór”, zaś drugi, że „zdrowo-rozsądkowo”.

KAROLINA

Ty to masz łeb.

PIJAK

Jak to mawiał mój mistrz „od nadmiaru głowa nie boli”, na co ten drugi ironicznie się uśmiechnął... Jakoś tak to się rozkłada, że korci nas i ta dobra, i ta zła strona, lecz nigdy nie jesteśmy do końca pewni, która jest która?

KAROLINA

Co ty powiesz, dobro to dobro, zło to zło, to są takie maleńkie dogmateczki.

ARTUR

No właśnie, przecież wiemy co znaczy dobro, a co zło, to się przecież przekłada na sprawy łóżkowe.

PIJAK

Nie wiem, jak wam to wytłumaczyć, ale pojęcie dobra i zła jest relatywne.

KAROLINA

Ale przecież istnieje, coś takiego jak wina...

ARTUR

No właśnie, jak zrobisz źle, masz poczucie winy, a jak zrobisz coś dobrego, raduje ci się serce.

PIJAK

„Omnibus dubitandum”.

ARTUR

sfrustrowany

Ale kurna jego raz, istnieje coś takiego jak poczucie winy, istnieje moralność, i są w końcu ludy nie uświadomione czym jest dobro, a czym zło...

PIJAK

Powiedz mi, drogi Arturze, jak ty to zrobiłeś, że mnie „upupiłeś” i jak wyzbyłeś się w swoim wywodzie nacechowania seksualnego?

ARTUR

śmieje się

„Omnibus dubitandum”.

KAROLINA

Chłopcy, dajcie spokój, co wy robicie, uważajcie...
cholera jasna... idziemy na te południe, czy nie, he?

PIJAK

Idziemy!

ARTUR

Przemy!

PIJAK

A już myślałem, że cię straciliśmy!

*Cała trójka śmieje się, bolą ich brzuchy, boli od śmiechu głowa,
a niebo jest błękitne, a oni podążają na południe.*

PIJAK

Zauważyłem, że wszystko ze sobą rozmawia, każdy
był rozmawia z każdym bytem – to istna metafizyka.

ARTUR

O co ci chodzi?

KAROLINA

No właśnie?

PIJAK

Do tego trzeba dorosnąć, może jak znajdziemy te
wrota, wszystko się wyjaśni.

KAROLINA

Miejmy taką nadzieję.

ARTUR

śpiewa

„Brunetki, blondynki, ja wszystkie was dziewczynki...”

KAROLINA I PIJAK

przerywają mu

Przestań!

ARTUR

Ale ja jestem sobą!

KAROLINA

W życiu zawsze trzeba być sobą!

PIJAK

Ktoś mi kiedyś powiedział – „Bądź sobą, będziesz kimś”!

KAROLINA

Jakże to piękne.

ARTUR

śmieje się

Zgadzam się z przedmówcą...

Tu następuje pauza, po czym Artur pada na kolana i lamentuje.

ARTUR

płacze

Wybaczcie mi, popełniłem gafę.

KAROLINA I PIJAK

jednocześnie

Wybaczamy!

ARTUR

Nie mogę się powstrzymać, bo jestem prostym człowiekiem, kocham kobiety i aż energia mnie rozpiera, kiedy idzie piękna "lady", kołysze biodrami i pozdrawia pocałunkiem, to się czuje, to się wie, to jest życie, to jest życie, "life is life"!

KAROLINA

Masz rację, to jest życie, lecz ja żyję od wiewiórki do wiewiórki, od bełta do bełta, jakoś tak już jest, że wpadłam „w sidła pułapki”.

PIJAK

Spróbujmy inaczej, spróbujmy czegoś innego...

KAROLINA

Co proponujesz?

ARTUR

No właśnie.

PIJAK

z miną Sokratesa

Hm... Zadajemy sobie fundamentalne pytania, lecz jesteśmy samotni, z tych pytań nic nie wynika, a jak wiadomo życie toczy się dalej. Świat w zasięgu ręki ulega destrukcji bo, bo człowiek jest głupszy niż myśli. Dąży-

my do bezgranicznej, wszech potężnej władzy, ale z wiedzy wynika miłość, a nie destrukcja! Człowiek myślący to wyjątek, bowiem niczym zwierzęta polegamy na instynkcie, z instynktu narodził się fundamentalizm, fundamentalizm jest żądny krwi, zaś przelana krew większości kojarzy się z wyzwoleniem, zaś to wyzwolenie prowadzi do dominacji i totalitaryzmu. Czy znów zabłyśną złotem domy i ulice Bejrutu? Pytam się oto, co ma zrobić człowiek uczciwy, czy i on jest dzisiaj fikcją najwyższą, cholera jasna... czy ludzie żyją tylko po to, by się wyżywać?!

ARTUR

Nie rozumiem, czy z tego wynika, że mam się obrzezać i zostać Żydem...

Tu następuje pauza. Pijak uderza Artura w głowę, po czym Artur go przeprasza.

PIJAK

z niesmakiem

Eeee, no... w dobie globalizacji coraz więcej samotnych, im bardziej się zespalamy tym bardziej się nie rozumiemy... człowiek gubi się gdy ogląda telewizję, książek i tak już nikt nie czyta, a jeśli już, to tylko jednostki, które w oczach innych są kandydatami na kolejnych zanudzaczy... każdy ma monopol na prawdę, lecz prawda wybiera, poddaje nas selekcji i nie każdemu będzie dane poznać bodaj rąbek jej tajemnicy... ludzie, którzy ulegają hipermasowej kolektywizacji są jeszcze bardziej samotni od zanudzaczy, są samotni niczym palec, bowiem ten kto mówi ustami wszystkich, jest bezradny jak dziecko, bo powtarza slogan, zasłyszany frazes, jest bubkiem...

i lada podmuch, lada wstrząs i koniec... a wtedy traci głowę... spać nie może, bo właśnie o czwartej rano, słynna rozgłośnia radiowa nada koncert super gwiazdy z Ameryki.

KAROLINA

oburzona

Ale ja lubię patrzeć na świat oczami dziecka!

ARTUR

Ja też.

PIJAK

pewnym głosem

Ja także, ale zawsze jest ta granica, żeby nie popaść w infantylność.

KAROLINA

Co przez to rozumiesz?

ARTUR

No właśnie...

PIJAK

Napisałem kiedyś taki wiersz... wiem jedno, jest grafomański, ale może to wam wyjaśni cały problem...
(cytuje z głowy):

czy artysta jest człowiekiem
gdy pieści słowo stwarza fikcję
modeluje zdania wyrzuca przecinki
gdy tworzy sztukę z twardej materii własnej

pustelni
gdy wyrzuca masło bowiem
chleb powinien być bez żadnego dodatku
kim jest więc artysta
bogiem czy człowiekiem

KAROLINA

A więc kim jest?

ARTUR

Bogiem?

PIJAK

Człowiekiem...

Cała trójka pada sobie w ramiona, tańczy kankana, robi pompki, przysiady, przewroty w przód i w tył, staje na głowach, uderza się w głowy, robi z ust harmonijkę... jednym słowem podąża na potudnie.

ARTUR

zdziwiony

Ale co ma infantylność do kreacjonizmu (*Artur jest potwornie dumny, że użył tego słowa*), co ma piernik do wiatraka?

KAROLINA

myśli

No...

PIJAK

Otóż ma, jak mi ktoś powiedział: „Wiatrak miele mąkę na pierniki”.

ARTUR

Też kiedyś napisałem wiersz, pracowałem nad nim tysiące lat, posługując się dziesiątkami słowników i nie czytając świerszczyków, oto i on, mam go na kartce i przeczytam, jeśli pozwolicie (*cisza*), rozumiem, że cisza jest przyzwoleniem:

wciąż w tej pustelni rodzę się i umieram
brud na prowizorycznej kanapie
który zdrapuję brudnymi paznokciami
materializuje się w igłę jaką wdycham
gdy celu już nie widzę
i ślepy bez poczucia czasu
wierzę już tylko w interwał
w bezgraniczną pustkę
i bólu już nie ma i szczęścia już nie ma
wiem że pozuję płacząc się w czczej formie
Schulzowski mityzm ogarnia moją
podświadomość
tak naprawdę to nie wiem
czy forma jest li tylko zaprzeczeniem dogmatu ale
czy dogmat jest li tylko zaprzeczeniem formy
nie mam konceptu ale wierzę bo coś
mi pozostało
w tej pustelni
jakiś jeździec zbliża się do mojej świątyni
w lśniącej zbroi a może
w szklanym pancerzu
lewą dłonią trzyma cugle w prawej glejt
czy dowiem się
czegoś
ze świata zewnętrznego
czy to jest posłaniec miłości

KAROLINA

Cudne, przepiękne, doskonałe...

PIJAK

Coś mi tu pachnie różą?

ARTUR

Hm...

KAROLINA

Sama nie wiem.

PIJAK

To chyba dobrze.

ARTUR

No!

PIJAK

rozgląda się

Ot i doszliśmy na południe.

KAROLINA

Aj, aj, aj!

ARTUR

Nie ma tu niczego.

PIJAK

Bóg jest!

AKT DRUGI

SCENA PIERWSZA

Południowe rejonu parku, późny wieczór. Cała trójka siada na zroszonej trawie, rozprostowuje kości, rozprostowuje wszystkie członki, kładzie się na plecach, przybiera surrealistyczne pozycje i zaczyna kontemplować.

PIJAK

I tu też nic nie ma, szkoda, najważniejsze w życiu mieć nadzieję, nadzieja nie jest wbrew pozorom matką głupich, głupi ten, kto nie ma nadziei.

ARTUR

Słusznie, słusznie...

KAROLINA

impulsywnie

No!

PIJAK

Twierdzę, że nie ma sensu tracić czasu, wiem już jak znaleźć wrota?

KAROLINA

zdziwiona

No, jak?

ARTUR

Właśnie, jak masz zamiar to zrobić, bo ja ni w ząb i ni..., a zresztą, seksualnie tego wyjaśnić się nie da.

PIJAK

stanowczym głosem

Ależ da się i seksualnie i wiewiórkowo!

ARTUR I KAROLINA

jednocześnie

Jak?

PIJAK

z lekką dozą ironii

Otóż tak... (*pozerska pauza*)

KAROLINA

Mów, bo ci więcej bełta nie dam!

ARTUR

A ja, w mordę dam!

PIJAK

rozluźniony

Spokojnie, wszystko w swoim czasie.

ARTUR

sfrustrowany

My nie mamy czasu, to nie Kreml, ani stalinizm, toż mamy kapitalizm, czas to pieniądz.

PIJAK

Chodzi oto... żeby zrozumieć moją myśl, należy wyzbyć się poczucia czasu, należy go kurna zrelatywizować i dojść do następującego wniosku...

KAROLINA

Jakiego znowu wniosku?

PIJAK

Otóż wniosek jest prosty, jak i proste jest nasze życie, ach jakie jest proste...

Artur rzuca się na Pijaka i uderza go mocno w głowę i szyję, Pijak spluwa krwią, dotyka się głowy oraz szyi i wyciąga dłoń do Artura. Artur pada na ziemię i krzyczy w niebiosa...

ARTUR

Niszczyłem w sobie Boga...

PIJAK

„Reszta jest milczeniem”.

KAROLINA

„A o co chodzi?”

PIJAK

Chodzi o to, że musimy przedsięwziąć wszelkie środki, zrobić wszystko co w naszej mocy, by jeszcze dzisiaj, a najlepiej przed świtem dojść do tych tajemnych wrót.

KAROLINA

Nie rozumiem.

ARTUR

O co ci chodzi Klaudiuszu?

PIJAK

Musimy zapomnieć kim jesteśmy, kim byliśmy lub kim będziemy, spróbujmy tak, jak by to miało się wydarzyć od zaraz, od teraz, zaczynamy?

ARTUR

Może to tautologiczne myślenie (*raduje się swoją erudycją*), ale znowu nic nie rozumiem.

KAROLINA

Zgadzam się z przedmówcą.

PIJAK

zdeenerwowany

Wiecie co, to wasze, a nie moje myślenie to „masło maślane”.

ARTUR

stanowczo

To o co ci w końcu, gościu, chodzi?

PIJAK

Chodzi mi o to, byśmy wyzbyli się wszystkich swoich przyzwyczajęń i nałogów, i spróbowali tej nocy nie spać a szukać, szukać wrót. Czyli wychodzi na to, że ja dzisiaj nie piję, Karolina też nie pije, a Artur nie... no i wszystko jasne, a więc jak zgoda?

KAROLINA

Zgoda Klaudiuszu.

ARTUR

Klaudiuszu zgoda.

PIJAK

To co ruszamy, czy dalej będziemy tak leżeć jak barany?

KAROLINA

Znaczy się, że nawet nic nie zjemy, nic nie wypijemy... eee... chociaż łyka wody, coś, co by nas wzmocniło przed długą i męczącą wędrówką, co wy na to chłopcy?

ARTUR

Zastanawiam się.

PIJAK

zbulwersowany

Nie, tym razem postawię na swoim, albo idziecie ze mną, albo rozdzielamy się i nie chcę was znać!

KAROLINA

Klaudiuszu kochany, „prowadź na salony”.

ARTUR

„Skoro słowo się rzekło”!

PIJAK

śpiewa

Znajdziemy, znajdziemy, odnajdziemy, wyszukamy, oblatamy, hop, znajdziemy, hej znajdziemy, musimy,

musimy, bum - cyk - cyk - tararaaara, bum - cyk - cyk - tararaaara!

KAROLINA

Joł men!

ARTUR

Ju gat it.

Tupu, tupu, tupu-Pijak, Karolina i Artur kierują się na wschód... tupu, tupu, tup, tup, tup są na wschodzie stał się cud.

ARTUR

No i co, jesteśmy na wschodzie, nic tu nie ma, może myślny o zachodzie?

KAROLINA

No, myślny o zachodzie.

PIJAK

Nie, skoro jeszcze żyjemy, to nie myślny o umieraniu, pomyslny o wschodzie, tam zaczyna się każde życie, życie się nie kończy, jak to mawiał Einstein: „W miłości drogie dzieci nie kierujcie się rozumem, lecz sercem”!

KAROLINA

A co ma miłość do wschodu?

Artur milczy

PIJAK

naturalnym głosem

Otóż ma, miłość poczęła życie i każde życie jest nieśmiertelne, Bóg nigdy nie umrze, bo jest bytem, a niebytu nie ma, bo jest fikcją, a więc to, co jest bytem nie jest umiejscowione w czasie, stąd jego relatywność, a skoro czas nie istnieje, to to, co sprawia, że starzejemy się jest wynikiem uciekania z nas miłości, jej ostatni element wyjdzie, gdy umrzemy, dlatego z wiekiem obojętniejemy, tako też pielęgnujemy w sobie miłość a staniemy się nieśmiertelni.

Karolina i Artur milczą

PIJAK

śpiewa

Idziemy, idziemy, idziemy, na wschód, do niebios bram!

Tum, tum, tam idą na wschód do niebios bram.

PIJAK

Jesteśmy u niebios bram, mamy przed sobą wschód, patrzcie, powoli zaczyna się robić widno, jasność, blask, żyjemy, żyjemy, żyjemy.

KAROLINA

spontanicznie

Hura!

ARTUR

zdołowany

To już jest koniec.

PIJAK

To jest początek końca.

Tomasz Chmielik

Słów parę o literaturze esperanckiej

„Ponieważ nie istnieje naród esperancki, ani esperanckie społeczeństwo czy wyodrębniona zbiorowość ludzka, nie możemy wymagać, aby w tak nienormalnych warunkach powstawała oryginalna literatura”. Słowa te napisał w 1931 roku nie żaden przeciwnik esperanta, ale Izrael Lejzerowicz, znany pisarz tworzący w języku międzynarodowym.

Wiele osób, które aprobują cele esperantyzmu, a nawet przyznają, że język sztuczny może pełnić wszystkie funkcje społeczne, nadal z niedowierzaniem przyjmuje istnienie beletrystyki esperanckiej. W ten sposób, jakby zgadzają się ze słowami, które wypowiedział prawie osiemdziesiąt lat wcześniej Izrael Lejzerowicz. Przyczyną tych wątpliwości może być też obiegowe wyobrażenie, że literatura, a w szczególności beletrystyka, stanowi najwyższą jakościowo formę użycia języka.

Musimy sobie zdawać sprawę, że język literacki nie został dany wraz z pierwszym podręcznikiem esperanta, *La unua libro*, który L. L. Zamenhof (1859-1917) opublikował w lipcu 1887 roku w Warszawie. Wykształcił się on stopniowo, równocześnie z doświadczeniami, które zdobywała międzynarodowa grupa użytkowników. Dopiero w latach trzydziestych ubiegłego stulecia ukazały się podstawowe dzieła normujące esperancki język literacki: słownik z elementami frazeologii, *Plena vortaro de Esperanto* (Pełny słownik esperanta, 1930), pod redakcją Emi-

le Grosjean-Maupina i gramatyka opisowa, *Plena gramatiko de Esperanto* (Pełna gramatyka esperanta, 1935), Węgra Kálmána Kalocsaya i Francuza Gastona Waringhiena. Nowsze wersje tych dzieł ukazały się dopiero kilkadziesiąt lat później: *Plena ilustrita vortaro de Esperanto* (Pełny ilustrowany słownik esperanta, 1970) pod redakcją Gastona Waringhiena oraz *Plena analiza gramatiko de Esperanto* (Pełna analityczna gramatyka esperanta, 1980) Kalocsaya i Waringhiena.

Literatura esperancka pełni wiele funkcji. Przyczynia się do rozwoju języka, służąc zarazem jako tworzywo do ćwiczeń językowych. Jest bardzo ważnym czynnikiem wychowania w duchu ideałów ruchu esperanckiego, spośród których należy wymienić przede wszystkim internacjonalizm, antymilitaryzm i sprawiedliwość społeczną. Funkcje te przejawiały się równocześnie we wszystkich okresach rozwoju literatury esperanckiej, ale z różnym natężeniem i w różnym stopniu.

Jednak wątpliwości nadal pozostały, a przeciwnicy esperanta powtarzają wciąż pierwszy i najważniejszy zarzut, wymieniony przez Lejzerowicza: nie istnieje naród esperancki. Przekonanie o nierozzerwalnym związku między pojęciami narodu i literatury pięknej wiąże się z wydarzeniami, jakie miały miejsce pod koniec XVIII i na początku XIX wieku, kiedy na naszym kontynencie, a szczególnie w krajach środkowoeuropejskich, rozpoczął się rozwój twórczości beletrystycznej i równocześnie zaczęły wyodrębniać się narody. W pewnym sensie Lejzerowicz miał rację, ponieważ literatura nie może istnieć bez trwałej i zwartej bazy społecznej. Jednak bazę może stworzyć nie tylko naród, ale także określona grupa społeczna. Esperantyści są taką grupą o wystarczającej zwartości, którą wzmacnia wspólnota języka. Stopniowo wykształca się ogólnoswiatowa społeczność użyt-

kowników esperanta o wspólnej kulturze albo przynajmniej jej elita. Tylko wzrost liczebny tej społeczności może zagwarantować trwałą bazę finansową dla literatury.

Niestety społeczność ta nie jest wystarczająco zwarta i silna, aby popierać rozwój innych dziedzin sztuki, jak malarstwo, rzeźba czy film. Aby stworzyć i utrzymać literaturę, ruch esperancki poświęcił wszystkie możliwe i dostępne we własnym zakresie siły i środki. Po prostu język bardzo potrzebuje literatury, a w konsekwencji międzynarodowa wspólnota esperantystów, której celem jest rozpowszechnianie języka, nie ustaje w popieraniu jej rozwoju.

Sami esperantyści podkreślają, że powstanie literatury zawdzięczamy dalekowzroczności Zamenhofa, który zamieścił utwory literackie już w *La unua libro*.

Nie do przyjęcia są podnoszone zarzuty o braku korzeni. Można stwierdzić, że na długo przed powstaniem esperanta ukazały się dzieła napisane w duchu racjonalizacji i naprawy świata (jak *Utopia* Tomasza Morusa lub większość utworów Woltera). Właśnie przesłanie ideowe tych utworów esperantyści uznają w pewnym sensie za swoją tradycję. Literatura esperancka należy do międzynarodowej wspólnoty, a jej tradycja ideowa powstała w wielu krajach i w wielu językach. To zabrzmiał paradoksalnie, ale właśnie ta literatura może być najbardziej bogatą w tradycje literaturą świata

Jednak literatura esperancka ma także swoją piętę achillesową – spójność. Brakuje jej spójności diachronicznej (ciągłości historycznej), jak i synchronicznej (powiązania między utworami z wybranego okresu). Przeważają dzieła peryferyjne, które – podobnie jak w językach narodowych – są tworzone przez pisarzy żyjących w izolacji. Większość z nich nie uczestniczy aktywnie

w życiu literackim. Można powiedzieć, że w Esperancji praktycznie wszyscy pisarze tworzą w mniejszej lub większej izolacji. Dlatego sceptycy wciąż zadają pytanie, czy można mówić o literaturze esperanckiej czy tylko o zbiorze utworów napisanych w języku międzynarodowym. Do dziś nie ma zadowalającej odpowiedzi na to pytanie. Dopiero powstają nowoczesne opracowania historii literatury esperanckiej, których autorzy (Geoffrey Sutton, Carlo Minnaja, Giorgio Silfer) wskazują jednak, że brak spójności zarówno synchronicznej, jak i diachronicznej, nie jest aż tak znaczący, jakby się mogło wydawać.

Z pewnością należałoby zadać też pytanie, jaka jest wartość literatury w języku esperanto, a w szczególności utworów oryginalnych. Wydaje się, że poezja esperancka osiągnęła poziom poezji w literaturach narodowych. Być może jest to ocena na wyrost, jeśli weźmiemy pod uwagę liczbę dobrych książek poetyckich ukazujących się w danym roku. Proza esperancka ustępuje poezji. A dramat w literaturze esperanckiej jest prawie nieobecny. Szczególnym powodzeniem cieszy się teatr jednego aktora, a spektakle z liczną obsadą aktorską oraz bogatą oprawą scenograficzną należą do rzadkości i są wystawiane tylko podczas corocznych światowych kongresów, w których uczestniczy po dwa-trzy tysiące esperantystów z kilkudziesięciu krajów świata.

W 2009 roku Esperantlingva Verkista Asocio (Związek Pisarzy Esperanckich) po 25 latach działalności przekształcił się w Akademio Literatura de Esperanto (Akademię Literatury Esperanckiej). Akademię tworzą najwybitniejsi pisarze tworzący w języku międzynarodowym. Jej pracami kieruje Mauro Nervi, włoski poeta i tłumacz. Głównym celem działalności jest popularyzacja literatury esperanckiej w świecie. Akademia dąży do

nawiązania współpracy z narodowymi związkami pisarzy. Każdego roku jesienią zgłasza swojego kandydata do literackiej Nagrody Nobla. Po śmierci szkockiego pisarza Williama Aulda tym kandydatem jest Islandczyk Baldur Ragnarsson. Niedawno we współpracy białostockiego oddziału Związku Pisarzy Polskich, Książnicy Podlaskiej i Akademii Literatury Esperanckiej ukazała się *Podlaskia Antologio* (Antologia Podlaska), która zawiera wiersze prawie 70 poetów z Białegostoku i Podlasia, tworzących nie tylko w języku polskim, ale i w językach białoruskim, ukraińskim oraz litewskim. W ten sposób esperantyści chcą promować w świecie twórczość autorów piszących w językach narodowych. Istnieje też zamiar wydania antologii pisarzy esperanckich w tłumaczeniu na język polski.

Najczęstszą formą esperanckiego życia literackiego były i są czasopisma, wokół których gromadzili się pisarze z różnych krajów.

Pierwszym czasopismem o szeroko pojętej tematyce kulturalnej był *La Revuo* (Przegląd). Wydawcą została firma Hachette z Paryża, a pierwszy numer ukazał się 1 września 1906 roku. Jak można przeczytać, *La Revuo* jest „międzynarodowym literackim miesięcznikiem, wydawanym przy stałej współpracy dr L. L. Zamenhofs”. Redakcję nowego miesięcznika przejął Félicien Menu de Ménil (napisał muzykę do esperanckiego hymnu *La Espero*, którego autorem był sam twórca esperanta). Był on zarazem pierwszym pisarzem esperanckim. Pisał rytmiczne i łatwo wpadające w ucho wiersze o przyjaźni i tolerancji. Do najlepiej znanych należą *Mia penso* (Moja myśl), *Preĝo sub la Verda Standardo* (Modlitwa pod Zielonym Sztandarem), *La vojo* (Droga) oraz wspomniana już *La Espero* (Nadzieja):

Nowych uczuć trysnęłaś krynico,
Idzie światem potężne wołanie;
Niech je wiatry na skrzydła pochwycą,
Niech rozniosą po życiowym łąnie;
Głos się rozszedł – wzywa ludzkie rzesze
Nie do mieczy, nie do krwawej burzy,
On nadzieję świętą w sercach krzesze,
Ludziom – wrogom wieczny pokój wróży!

Pod sztandarem tej świętej nadziei
Pokoju się skupią szermierze...
Szybko rośnie moc nowej idei
Dzięki pracy i niezłomnej wierze.
Trwałe mury dzieliły narody,
Między nimi stały lat tysiące...
Ale padną odporne przegrody,
Gdy uderzą w nie serca gorące.

Na ośnwie jednej wspólnej mowy
Ludu myślą napęlnią się bożą,
W zrozumieniu i w zgodzie świat nowy –
Jedną wielką rodzinę utworzą.
Więc szermierze wytrwają w jedności,
Wielkim trudem się swoim nie zmęczą,
Póki piękne marzenie ludzkości
Nie zabłyśnie nam wieczystą tęczą.

przełożył Leo Belmont

Co miesiąc Zamenhof publikował swoje tłumaczenia ze Starego Testamentu (tak wysoko oceniane nawet dziś przez hebraistów) i dzieł Szekspira, Gogola, Schillera, Goethego, Orzeszkowej, Moliera i Andersena. Wkrótce

na łamach pisma zaczęli wydawać swoje utwory i przekłady najważniejsi autorzy: A. Grabowski, K. Bein, H. Valienne, E. Boirac, H. Hodler, E. Privat, M. Hankel. Dzięki współpracy z nimi *La Revuo* bardzo szybko stał się najbardziej prestiżowym czasopismem w języku esperanto przed pierwszą wojną światową.

Właśnie Antoni Grabowski (1857-1921) jest uważany za pierwszego wielkiego poetę. Jego wiersze – podobnie jak u Zamenhofs – są przepelnione wizją esperanta, które pełni rolę języka tolerancji międzyludzkiej i pokojowego współistnienia narodów. W przeciwieństwie do Zamenhofs Grabowskiego wyróżnia o wiele bogatszy warsztat poetycki. Chociaż bywa równie pompatyczny jak Zamenhof, jego wiersze oparły się upływowi czasu i do dzisiaj zaskakują lekkością frazy. Przykładem może być wiersz *La tagiĝo* (Świt), który przez pewien okres był nawet nieoficjalnym hymnem esperantystów, jak *La Espero* (przedstawiam pierwszą zwrotkę w tłumaczeniu Jarosława Zawadzkiego):

Z piersi swych bracia szykujcie dziś chór
Na pieśń, co jest nowa i żywa.
Silna niech zabrzmi od morza do gór,
Niech każdy, kto śpi, się podrywa.
To świt tam, to świt się dokoła promieni,
Resztki ze świata czmychają już cieni.

Największym osiągnięciem A. Grabowskiego jest genialny przekład Mickiewiczowskiej epopei *Sinjoro Tadeo* (Pan Tadeusz), który opublikował w 1918 roku. Właśnie za ten przekład jest nazywany „ojcem poezji esperanckiej”. Znany jest także z przekładów *Mazepy* Juliusza Słowackiego i opery *Halka*, które zostały wystawione

w krakowskim Teatrze Starym podczas 8. Światowego Kongresu Esperantystów w Krakowie, w 1912 roku.

Polak Kazimierz Bein (1872-1959), podpisujący swoje tłumaczenia pseudonimem Kabe, został uznany za „pierwszego stylistę języka międzynarodowego” (Tazio Carlevaro), a Kálmán Kalocsay napisał: „Jego sposób wyrażania jest czysty, jasny, prosty, prawdziwie elegancki i wolny od wszelkich wpływów narodowych: w jego stylu pełną piersią oddycha duch języka”. Zajmował się tylko przekładami, a jego szczytowym osiągnięciem jest tłumaczenie *Faraona* Bolesława Prusa, który ukazał się w 1907 roku.

La Revuo będzie wychodzić przez osiem lat (od września 1906 do sierpnia 1914 roku). Rocznik składał się z 12 zeszytów, z których każdy zawierał 48 stron literackich i 16 stron z informacjami o różnych wydarzeniach kulturalnych w ruchu esperanckim i ogłoszeniami. Liczna wszystkich stron wyniosła 6164. Co roku odbywał się konkurs literacki, na który pisarze wysyłali swoje utwory, a te nagrodzone ukazywały się właśnie na łamach *La Revuo*.

Najbardziej lubianym w kręgach esperantystów okresu międzywojennego był miesięcznik *Literatura Mondo* (Świat Literacki). Gazeta wywarła bardzo duży wpływ na rozwój dwudziestowiecznej literatury esperanckiej. Redaktorami naczelnymi byli najwybitniejsi pisarze Kálmán Kalocsay (1891-1976) i Gyula Baghy (1891-1967). Gazeta ukazywała się z przerwami w Budapeszcie (1922-1926, 1931-1938, 1947-1949). Z gazetą współpracowali praktycznie wszyscy pisarze tego okresu.

Kalocsay dał się poznać jako wybitny poeta i znakomity tłumacz, który przekładał utwory poetyckie z trzy-

dziestu języków, zebrane i wydane później w dwutomowej antologii *Tutmonda sonoro* (Dźwięki świata, 1981). Sam pisał sonety, poematy, wiersze miłosne i historyczne. Nie stronił od neologizmów, co w znacznym stopniu przyczyniło się do odnowienia i wzbogacenia języka.

W sonecie *La celoj ĉie dronis* (Wszystko przepadło) opisuje zagładę Imperium Rzymskiego. Przecistawia potęgę militarną barbarzyńskich najeźdźców niewidzialnej „sile” poezji, która jest nie do pokonania, pomimo swojej bezradności.

Wszystko przepadło. Już kopytem stuka
Apokalipsę niosąca Chimera.
Na próżno serce zatrwożone szuka
Ucieczki przed tą, która krew wyżera.

Już rwie łańcuchy, kłami ciało skubie
Głupota, co świat ogarnęła cały.
A ja tymczasem, widząc wszystko, dłubię
Swoją nowy sonet w swym kawałku skały.

Gdy w noc czerwone uniosły się łuny
I krzyk rozpacz się rozległ dokoła,
Wieszcząc, że „Gotów w Imperium tabuny!”,

W Rzymie ktoś stanął i nie kryjąc czoła
Wspomniął na czasy pokoju Augusta.
I z Horacego wers szepnęły usta.

przełożył Jarosław Zawadzki

Węgier Gyula Baghy był najpopularniejszym pisarzem okresu między wojnami. Ma w dorobku cztery po-

wieści – opisujące przeżycia jeńców wywiezionych na Syberię podczas wojny domowej w Rosji – *Viktimoj* (Ofiary, 1925) i *Sur sanga tero* (Na krwawej ziemi, 1933), satyra społeczna *Hura!* (1930) i sentymentalna opowieść o młodzieńczej miłości *Printempo en aŭtuno* (Wiosna jesienią, 1931) oraz kilka zbiorów opowiadań i wierszy. Pisanie było jednym z licznych zajęć Baghya. Reżyserował przedstawienia teatralne, w których często sam występował (z zawodu był aktorem). Często odwiedzał kluby esperanckie rozsiane po całej Europie, gdzie prowadził kursy językowe. W swojej różnorodnej działalności kierował się dewizą: *Amo kreas pacon. Paco konservas homecon. Homeco estas plej alta idealismo* (Miłość tworzy pokój. Pokój zachowuje człowieczeństwo. Człowieczeństwo jest najwyższym idealizmem). Tym programem ujął swoich czytelników. Miarą jego popularności niech będzie fakt, że powieść *Viktimoj* drukowana w odcinkach przez *Literatura Mondo*, miała aż trzy wydania książkowe przed drugą wojną światową. O fenomenie Baghya najtrafniej pisał inny pisarz esperancki, Węgier Sándor Szathmári (1897-1974): „Czy można wyobrazić sobie zestawienie *Gyula Baghy*? Absurd! Mówimy *Julio Baghy*. W Esperancji jest to już pojęcie. Relikwia. Synonim literatury popularnej, fanatycznej tęsknoty za lepszym światem, za bardziej ludzkim Człowiekiem, a także nieustannej pogody ducha i altruistycznego poświęcenia się jednej tylko humanistycznej idei: esperantu.”

Baghy nie zrażał się krytyką innych za „łzawy sentymentalizm” i „mgliste filozofowanie”. Konsekwentnie szedł wybraną drogą. „Wolę być naiwnie romantyczny niż naiwnie realistyczny” – pisał. Był najczęściej tłumaczonym poetą na języki narodowe, a jego utwory można czytać po francusku, niemiecku, chińsku, estońsku, fiń-

sku, hiszpańsku, węgiersku, japońsku, katalońsku, łotewsku, holendersku, rosyjsku i szwedzku.

Wśród prozaików z kręgu *Literatura Mondo* na uwagę zasługują Szwed Stellan Engholm (1899-1960), Węgier Ferenc Schilágyi (1895-1967) i Anglik Leonard Newell (1902-1968). Byli oni realistami i mieli upodobanie do krótkich form narracyjnych. I na tym kończą się wspólne cechy tej trójki.

Stellana Engholma zajmowały przede wszystkim sprawy społeczne. W opowiadaniach i powieściach: cykl o miasteczku przemysłowym Torento i jego okolicach – *Al Torento* (Do Torento, 1934), *Infanoj en Torento* (Dzieci w Torento, 1934) i *Vivo vokas* (Życie woła, 1946) oraz *Homoj sur la Tero* (Ludzie na ziemi, 1932), nagrodzona w konkursie na powieść, zorganizowanym przez *Literatura Mondo*, opisuje trudności młodzieży wkraczającej w dorosłe życie, sytuację kobiet i skutki migracji zarobkowej ze wsi do miasta. Wszystkie jego utwory są osadzone w realiach szwedzkich. Osobowość bohaterów kształtuje tylko praca oraz przywiązanie do rodzinnych stron.

Dwaj pozostali pisarze – Schilágyi i Newell – opisują kontakty ludzi z różnych kręgów kulturowych. Stąd ich twórczość jest bardziej esperancka, międzynarodowa. W przedwojennych opowiadaniach Schilágyiego – *La granda aventuro* (Wielka przygoda, 1936) i *La liberigo de la juĝisto* (Wyzwolenie sędziego, 1933) – bohaterami są szarzy ludzie, najczęściej urzędnicy, którzy pragną wyrwać się z monotonii codziennego życia i za każdym razem przegrywają. W minipowieści *Mistero minora* (Zagadka w tonacji mollowej, 1958) narrator rekonstruuje, na podstawie kompozycji muzycznej, przebieg domniemanej zbrodni na swojej dziewczynie, która w rzeczywistości żyje i uciekła z kompozytorem. Jak to bywa u Schilá-

gyiego, bohater ponosi tym razem aż podwójną klęskę: przeżywa uczuciowy zawód, a misternie tkana wizja okazuje się tylko tworem chorej wyobraźni. Pod koniec lat trzydziestych, wobec nasilających się ataków nacjonalistów skierowanych przeciwko Żydom, Schilągwi wyemigrował do Szwecji, gdzie pozostanie do końca życia. Jego późniejsze teksty będą przybierały formę reportażu, a ich tematem będzie obcość wobec Innych oraz trudności w jej pokonywaniu.

Newell jest znany tylko z tomu *Bakšiš* (Bakszysz, 1938), który składa się z dziesięciu opowiadań i reportaży literackich na temat stosunków między Europejczykami, Arabami i Koptami w Egipcie. Opisuje sytuacje, w których ludzi dzieli odmienność obyczajów, tradycji oraz sposobów myślenia. W opowiadaniu *Ali Ford* przedstawia tytułowego bohatera, Araba wychowanego przez brytyjskich żołnierzy. Jego dramat wyraża nieemożność znalezienia swojego miejsca w świecie. Został odcięty od własnej tradycji i żyje jakby zawieszony między dwiema kulturami:

„Ali dryfował od posady do posady. Jego ostatnim chlebobawcą był pułkownik z czerwoną twarzą i długimi siwymi wąsami, który od czasu powstania w Indiach nie wpadł na żaden nowy pomysł. Ali przepracował u niego dzień i ćwierć. W pierwszym dniu jego służby pułkownikowi zachciało się oglądać statki wchodzące do portu w Aleksandrii. Wydał więc Alemu rozkaz w dziwnym angielsko-arabskim żargonie, którego używają Brytyjczycy w Egipcie – *Hat ezaz!* (Podaj szkło!). *Ezaz* może oznaczać w tym dialekcie samo szkło, szklankę, butelkę albo cokolwiek innego ze szkła. Biedny pułkownik o mało nie wyskoczył ze skóry, kiedy tubylec (każdy ciemnoskóry lub Murzyn jest dla brytyjskiego

oficera tubylcem, nawet w Anglii) odpowiedział lekko modelując głos: *Certainly, Sir. Telescope or binoculars?* (Służę, sir. Lunetę czy lornetkę?) Następnego ranka Ali spóźnił się ze śniadaniem. Pułkownik wrzeszczał i przeklinał, jak to pułkownicy. Ali Ford złożył pełen szacunku ukłon i powiedział z godnością: – *I'm extremely sorry, Sir. I was taking my morning tub* (Najmocniej przepraszam, sir. Brałem poranną kąpiel). Zwrot *to take one's morning tub* charakteryzuje arystokrację i burżuazję; robotnik wyraziłby tę samą ideę inaczej. Kiedy bliski apopleksji pułkownik przyszedł do siebie, natychmiast zwolnił Ali Forda. Tubylec mówiący po angielsku językiem wykształconych ludzi, a do tego tak czysty, że kąpie się co rano, był kimś niezwykłym, kogo człowiek o mało elastycznym światopoglądzie nie mógł tolerować." (przełożył Wojciech Usakiewicz).

Literatura Mondo ceniono przede wszystkim za jego obiektywizm. Dużym powodzeniem cieszyły się monograficzne numery „narodowe”: estoński, czeski, polski, jugosławiański, łotewski i szwedzki. Nie tylko sprawy literackie zajmowały uwagę redaktorów. Pisano często i dużo o wszystkich nowych zjawiskach w sztuce, o najważniejszych wydarzeniach kulturalnych tych lat, o postępach sztuki, teatru i filmu. Łamy *Literatura Mondo* były zawsze otwarte dla debiutantów. W 1933 roku ukazał się dodatek *Bibliografia Gazeto* (Gazeta Bibliograficzna, 72 strony), w którym były wymienione i omówione wszystkie ukazujące się książki w języku esperanto. Od stycznia 1934 do końca 1938 roku dodatek ten będzie publikowany co kwartał pod tytułem *Lingva Libro* (Książka Językowa). Do dziś jest on nieocenionym źródłem wiedzy dla badaczy ruchu esperanckiego.

Gazeta ukazywała się w kolorowej szacie graficznej. Zamieszczano w niej wiele zdjęć i reprodukcji dzieł sztuki.

Przy gazecie działało wydawnictwo pod nazwą *Literatura Mondo*, w którym ukazały się najciekawsze książki z okresu między wojnami. Przede wszystkim beletrystyka, ale też dwutomowa *Enciklopedio de Esperanto* (Encyklopedia esperanta), wspomniana *Plena gramatiko de Esperanto* K. Kalocsaya i G. Waringhiena oraz *Parnasa Gvidlibro* (Przewodnik po Parnasie) K. Kalocsaya.

Wydawcą gazety był Vilmos Bleier. W pierwszym okresie liczba stron *Literatura Mondo* wnosila 838, w drugim – 830 (bez dodatków), a w trzecim tylko – 420.

Lata powojenne na Węgrzech z umacniającą się dyktaturą stalinistów nie sprzyjały swobodnej wymianie myśli i poglądów, dla których przed wojną gazeta była zawsze otwarta. Po dwóch latach karkołomnych wysiłków Bleiera i Kalocsaya cenzura zamknęła gazetę w 1949 roku na zawsze.

W czasie drugiej wojny światowej organizacje esperanckie w większości nie działały, a gazety esperanckie nie ukazywały się. Jednak w neutralnej Szwecji, w 1942 roku, Stellan Engholm wydał pierwszy numer gazety *Malgranda Revuo* (Mały Przegląd), która będzie się ukazywać aż do 1952 roku. Gazeta Engholma miała bardzo skromną szatę graficzną, ale odegrała niezwykle ważną rolę w historii literatury esperanckiej. To właśnie w niej mogli zamieszczać swoje utwory pisarze rozrzućeni po krajach Europy, ogarniętych wojną. Do dziś pozostaje tajemnicą, jakimi sekretnymi drogami te wszystkie oryginalne wiersze i opowiadania, artykuły i tłumaczenia docierały do Szwecji. Można z całą pewnością stwierdzić, że dzięki *Malgranda Revuo* literatura esperancka przetrwała swoje najgorsze chwile.

W 1955 roku w Nicei Gaston Waringhien zaczął wydawać *la nica literatura revuo* (nicejski przegląd literacki), jedną z najważniejszych gazet literackich obok *Literatura Mondo*. W ciągu siedmiu lat (1955-1962) gazeta skupi wokół siebie najważniejszych pisarzy, recenzentów i eselistów.

W tym samym czasie w Szwecji ukazał się pierwszy numer innej ważnej gazety literackiej *Norda Prismo* (Północny Pryzmat). Będzie ona wychodzić przez dwadzieścia lat (1955-1975). Do 1967 roku redaktorem *Norda Prismo* będzie Ferenc Schilágyi, po nim redakcję przejmie William Auld (1967-1972), a ostatnim redaktorem zostanie Fin Vilho Setälä. Po zaprzestaniu wydawania *la nica literatura revuo* większość jej współpracowników przeszła do *Norda Prismo*. Ferenc Schilágyi, który swego czasu był w redakcji *Literatura Mondo* w Budapeszcie, jeszcze raz spróbował nawiązać do chlubnych tradycji tej niezapomnianej gazety. Częściowo mu się to udało. *Norda Prismo* nie tylko zamieszczał materiały związane z literaturą. Ukazało się też wiele artykułów o sztuce. Niestety gazeta upadła z powodu malejącej liczby abonentów i braku środków finansowych.

William Auld (1924-2006) był szkockim esperantystą, a jego przygoda z językiem międzynarodowym zaczęła się w 1937 roku. Był największym poetą w historii literatury esperanckiej. Znany ze świetnych przekładów wierszy poetów szkockich i angielskich. Jego przekład trylogii *Władca pierścieni* Tolkiena zachwyca czytelników na całym świecie. Szczytowym osiągnięciem Aulda jest poemat w 25 pieśniach zatytułowany *Infana raso* (Planeta dzieci, 1956, w języku polskim książka ukazała się w 2005 roku w przekładzie Jarosława Zawadzkiego). Poeta wychodzi z założenia, że ludzkość jest jeszcze

w powijakach, ale ma nadzieję, że będzie się dalej rozwijała bez wojen, w duchu poszanowania godności każdego człowieka bez względu na dzielące nas różnice, łamiąc wszelkie anachronizmy moralne i religijne, a z chaosu minionych epok, po okrucieństwach wojen narodzi się nowy Człowiek otwarty na Innego i na Innych. Wszystkie te przemyślenia, wątpliwości i obawy William Auld wyraża wszystkimi dostępnymi środkami poetyckimi. Bywa szczerzy aż do bólu, ale nie broni się przed sarkazmem, kpiną. O niezwyklej fantazji poety i możliwościach języka esperanto niech świadczy ten fragment z *Infana raso* w przekładzie Romana Kwiatkowskiego:

„Ni rusz bez wojny” – mówi degenerał.
 Najświętsza prawda! Ty będziesz umierał,
 a ten zbrojniczy strzalbierz, zwykła strzelma,
 po chamskich mordach dojdzie tam, gdzie cel ma:
 po to brygady jurajskie znów zbroił,
 by z nich swą gadność, sprawę, chałwę doił.
 Politykanciarz gwautorytatywnie
 obwieści, że sąsiedzi nasi dziwnie
 nas nie szanują, szydą z ideałów,
 lecz cielne wońsko zdupce tych cymbałów:
 ten przyrządowy obwieść sercem całem
 dba o kraj biedny wraz z degenerałem.
 Psiądz, rabun, każdy wielkiej prawdy unikalnej
 grosiciel pilnie ślistek wsunie
 w wyborczą durnę, bo każda insekta
 z podrzędnej miski swoje mleko chłępta.
 (A w razie wojny zawsze, jak świat światem,
 inny się bije, inny ma intratę.)
 (Lecz kiepral, kiepłan, mądrale czy osły -
 nikt nie wojuje w nastroju podniosłym.

Tej fanatycznej szkody nie naprawisz:
 my nienawiścią zwilczamy nienawiść.)
 Mieć siłę – to zasrada kurdynalna:
 inaczej grozi wroga moc bratalna.
 A dowód racji? Jest kamień probierczy:
 nie moja wiara, skóra, język sterczy
 jako kretyrium wszystkim bez wyjątku;
 kto nie jest mną, nie może być w porządku.

William Auld dokonał wyboru tekstów i opatrzył bardzo obszernym wstępem *Esperanta Antologio* (1958, 1984), prawie 650 stronicową książkę, która zawiera utwory poetyckie 160 autorów od narodzin wspólnoty esperanckiej aż do dziś.

Jego utwory głoszące tolerancję i wspierające pluralizm kulturowy przyniosły mu zasłużone uznanie nie tylko w Esperancji. Przez wiele lat Związek Pisarzy Esperanckich (EVA), a później Akademia Literatury Esperanckiej (ALE) zgłaszały jego kandydaturę do literackiej Nagrody Nobla.

Do największych poetów zalicza się również Edwina de Kocka. Urodził się w 1930 roku. Pracował jako nauczyciel. Na początku lat dziewięćdziesiątych opuścił RPA i zamieszkał w Stanach Zjednoczonych. Pisze głównie wiersze sprzeciwu wobec apartheidu, hitleryzmu oraz wszelkiej przemocy w stosunkach międzyludzkich.

Epizod

Tego ranka wszedł do mojej klasy -
 tutaj, gdzie się białym dzieciom zdaje,
 że należą do wybranej rasy -
 woźny, tak to łamiąc obyczaje.

Wpadł na rozkaz, bojaźliwy czarny,
niczym pies z ogonem podwiniętym,
patrzył na nas wychudzony, marny,
ale nie wszedł, stał przed progiem świętym;
czyżby ujrzał jakiś świat odległy:
w dżungli wieś murzyńską i rodzinę?
A przeze mnie fale trwóg przebiegły,
myśli płaczne, co zwiastują winę.
Współczucie jednak było nad otchłanią,
choć nie współczuł nikt przez czas ten cały.
Wstyd mi za klasę, bracie, wstyd mi za nią;
gdy ty wyszedłeś, te dzieci się śmiały

przełożył Jarosław Zawadzki.

Islandczyk Baldur Ragnarrson jest rówieśnikiem Edwina de Kocka. Pracował również jako nauczyciel. Debiutował tomem wierszy *Štupoj sen nomo* (Stopnie bez imienia, 1959), na następny trzeba było czekać aż do 2008 roku. Jego wizja świata jest pełna pesymizmu, od którego często ucieka w świat mistycznych przeżyć. Tytułowe „stopnie” z pierwszego tomu wierszy pokazują fazy rozwoju poezji, która nie powinna oddziaływać wyłącznie na uczucia, lecz bezpośrednio na podświadomość człowieka, uświadamiając mu całą prawdę o tragicznej wieczności oraz straszliwej samotności na krawędzi otchłani. Ta mroczna poezja porusza swoim wewnętrznym rytmem.

Wody

Lustra wód
stałe płyną przez mój umysł
rozpadają się na tysiące mikroskopijnych powierzchni

i łączą się
w nowe formy obrazów wielowymiarowych
mieszczące
własne, odrębne światy
rzeczywistości, wspomnień i snów.

Obrazy są tak delikatne
że najdrobniejsza myśl
mąci ich powierzchnię
niszczy harmonię
form i odcieni
nasyca ich pogodę
kłębami ołowianych chmur
obraca światy w ruinę.

Kiedy zasypiam
lustra
znowu zastygają w bezruchu
obrazy rozbłyskują
światy odzyskują ład

oczekują nowej zagłady
o świecie.

przełożył Wojciech Usakiewicz

Dopiero w 1958 roku ukazała się powieść Sándora Szathmáriego *Vojaĝo al Kazohinio* (Podróż do Kazohinii). Powstała ona przed dwudziestoma kilkoma laty, prawie w tym samym czasie, co słynna powieść Aldousa Huxleya *Nowy wspaniały świat*. Szathmári konstruuje modele społeczne porównywalne z rzeczywistymi. Bohater *Vojaĝo al Kazohinio* Guliwer – jakby żywcem wzięty z powieści Jonathana Swifta – odwiedza kraje Hinów i Behinów.

Hinowie kierują się w swoim życiu technokratycznym racjonalizmem, zaś Behinowie mnożą bez przerwy nic nie znaczące pojęcia, tak że jakiegokolwiek działania, które podejmują, nie znajdują racjonalnego uzasadnienia w ich rzeczywistości. W swoim utworze Huxley buduje totalitarny świat, który stanowi antyutopię. Antyutopią dla Szathmáriegiego jest współczesne społeczeństwo europejskie, którego karykaturalny obraz kreśli w opisie państwa Behinów. Natomiast technokracja Hinów tworzy u niego utopię pozytywną. Jeśli porównamy oba utwory, to zderzają się tu dwie wizje: Huxleyowska masowego i zdominowanego przez „miękki” totalitaryzm kulturowy społeczeństwa (w odróżnieniu od Orwellovskiego „twardego” totalitaryzmu państwowego) oraz wizja węgierskiego esperantysty: obraz mrowiska jako zatomizowanej zbiorowości, której jednostki kierowane instynktem działają w sposób racjonalny i jednocześnie podlegają mechanizmom własnej samokontroli. *Vojaĝo al Kazonio* to jeden z najbardziej oryginalnych utworów w całej literaturze esperanckiej. Możemy go umieścić wśród całkiem pokaźnej liczby utworów, które zawierają wizję przyszłych społeczeństw bez ograniczeń klasowych, etnicznych, językowych i religijnych. Wiele z nich ociera się o utopię. Ale czyż samą utopią, która urzeczywistnia się na naszych oczach, nie jest funkcjonowanie wspólnoty esperanckiej, o której wewnętrznej spójności decyduje język transnarodowy?

Kiedy *Norda Prismo* zaczyna przeżywać pierwsze trudności, kiedy William Auld zrezygnował ze stanowiska redaktora, powstała gazeta, która będzie wychodzić do dziś i w krótkim czasie stanie się najbardziej opiniotwórczym organem w Esperancji. Mam na myśli miesięcznik *Literatura Foiro* (Targi Literackie). Gazetę założyło mediolańskie koło literackie *La Patrolo* (Patrol), po-

wstałe w maju 1970 roku z inicjatywy Giorgio Silfera (pseudonim literacki Valerio Arieo) i Manuelli Bottiglioni. Dołączą do nich później tacy intelektualiści, jak Tazio Carlevaro (z włoskojęzycznego kantonu Ticino w Szwajcarii), Gianluigi Gimelli, Gaudenzio Pisoni, Clelia Conterno Guglielminetti (1915-1984), Carlo Minnaja i Nicolino Rossi

Literatura Foiro ukazuje się jako dwumiesięcznik, a w grudniu 2002 roku wyszedł 200 numer. Redaktorami byli Giorgio Silfer (1970-1980), Perla Martinelli-Ari (1980-1995) i Ljubomir Trifonczowski z Bułgarii (od 1996 roku do dziś).

Od 1980 roku gazeta jest własnością *Kooperativo de Literatura Foiro* (LF-Koop, Spółdzielni Targów Literackich), która pokrywa koszty druku gazety, a jednocześnie wydaje książki, płyty z muzyką i filmami. Organizuje też od 1981 roku spotkania ludzi kultury w ramach *Internacia Literatura Forumo* (Międzynarodowego Forum Literackiego). Dwa z nich odbyły się w Polsce: w Gdańsku w 1995 roku (o literaturze erotycznej w języku esperanto) i w Świdniku/Lublinie w 1997 roku (o historii, kulturze i literaturze żydowskiej). W tym ostatnim spotkaniu wzięło udział 65 osób z 12 krajów. Odbyły się wykłady, dyskusje panelowe, pokazy filmów i spektakle teatralne oraz wycieczki po Lubelszczyźnie śladami I. Bashevisa Singera i zapomnianych sztetli.

LF-Koop wydała tak ważne książki, jak antologia dwudziestowiecznej poezji włoskiej, pod redakcją Carlo Minnaji, *Enlumas min senlimo* (Oświeca mnie bezmiar, 1990) i *Dekamerono* (Dekameron, 1990) Giovanni Boccacciego w przekładzie Gastona Waringhiena i Perli Martinelli-Ari. W 1985 roku wyszło wznowienie fińskiej epopei narodowej *Kalevalo* (Kalewala) w imponującym, luksusowym nakładzie 5 tysięcy egzemplarzy!

W 1993 roku 60 Światowy Kongres Międzynarodowego PEN-Clubu w Santiago de Campostela przyjął w poczet swoich członków Sekcję Esperancką PEN-Clubu (Esperanta PEN-Centro), którą założyli dwa lata wcześniej G. Silfer, P. Martinelli-Ari i znany pisarz węgierski István Nemere. Tym samym gazeta *Literatura Foiro* stała się również organem Esperanta PEN-Centro.

Na łamach tej gazety najwięcej uwagi poświęca się beletrystyce, ale ukazuje się też wiele artykułów i esejów o muzyce, teatrze, kinie, socjologii, interlingwistyce i esperanckiej polityce kulturalnej.

Literatura Foiro kontynuuje tradycję *Norda Prismo*. Jest dziś najważniejszą literacką gazetą w języku esperanto.

W 1978 roku ukazała się najlepsza powieść. Napisał ją Szkot John Francis (ur. 1924). Chodzi o prawie sześciusestronicową powieść-rzekę *La granda kaldrono* (Wielki kocioł). Autor przedstawia dzieje szkockiego klanu w pierwszej połowie dwudziestego wieku. Każdy z pięciorga bohaterów musi zająć postawę wobec pierwszej wojny światowej, która zburzyła w życiu wielu narodów cały świat z hierarchicznym systemem wartości ukształtowanym przez wielowiekową tradycję.

La granda kaldrono jest książką o przemijaniu. Francis interesuje mechanizm powtarzalności wydarzeń historycznych oraz sposób odbierania ich przez człowieka i umiejętności włączania do własnego świata przeżyć, wartości i refleksji. Sam autor podkreślił to wymownie w wywiadzie pod tytułem *Kvar demandoj al John Francis* (Cztery pytania do Johna Francisa), który w 1979 roku Giorgio Silfer przeprowadził dla czasopisma *Literatura Foiro*: „Komuś, kto nie urodził się w latach międzywojennych, trudno jest zrozumieć, do jakiego stopnia pierwsza wojna wszystko przesłoniła. (...) Druga wojna

to zatarła. Kiedy się skończyła, wszystkie odniesienia do wojny dotyczyły właśnie tej drugiej. (...) Osobiście nigdy nie mogłem zapomnieć o tej *innej* wojnie, którą zresztą ludzie przecierpieli, żeby skończyć z wojnami w ogóle."

Częstym tematem opowiadań i powieści są przeżycia esperantystów, którzy próbują znaleźć swoje miejsce w dzisiejszym świecie. Wiąże się z tym niepowtarzalność doznań związanych z używaniem języka międzynarodowego w życiu osobistym oraz w relacjach z Innymi. W 1984 roku ukazała się niezwykła powieść *Ombro sur interna pejzaĝo* (Cień na wewnętrznym pejzażu). Jej autorka, Chorwatka Spomenka Štimec (ur. 1949), przedstawia skomplikowane relacje uczuciowe międzynarodowej pary esperanckiej. Opuszczona przez mężczyznę narratorka wraca w swoich wspomnieniach do wspólnie spędzonych dobrych i złych chwil oraz próbuje odkryć całą prawdę o jej nieudanym związku. Codzienne życie międzynarodowych par nie jest niczym nadzwyczajnym, ale w wielu sytuacjach czymś bardzo odległym od doświadczeń większości ludzi:

„Któreś niedzieli tłumaczył coś, pisząc na maszynie. Nagle wstał od biurka i zaczął do mnie mówić w swoim języku. Podniosłem wzrok znad książki, pozwalając, aby swobodnie mówił przez kilka chwil. Monolog trwał. Zaniepokoiliam się. Nie rozumiałam, o co mu chodzi.

- Hej, co ty mówisz?

Spojrzał na mnie nieprzytomnie i wtedy uświadomił sobie, że używa własnego języka. Przeszedł na esperanto, a ja wróciłam do domu.

(przełożył Wojciech Usakiewicz)

Wśród pisarzy esperanckich nie możemy zapomnieć o Jakubie Szapiro. Urodził w Białymstoku w 1897 roku i tu został zamordowany przez hitlerowców 12 lipca 1941 roku, na Pietraszach, wraz z 5000 tysiącami żydowskich mieszkańców rodzinnego miasta. Wybitny dziennikarz, niestrudzony propagator języka stworzonego przez Zamenhofa. Jest autorem skromnej książeczki *Babiladoj de bonhumora Zamenhofano* (Opowieści wesołego esperantysty), która ukazała się w 1922 roku w Białymstoku. Bez złośliwości, nawet z pewną sympatią oraz z dużym poczuciem humoru mówi o wadach esperantystów. W 2009 roku wydawnictwa *Hejme* (Czeladź) i *Libro-Mondo* (Świdnik) wydały po raz trzeci *Babiladoj*. I wielkie zaskoczenie: książeczka stała się prawdziwym bestsellerem i była najczęściej kupowana przez uczestników tegorocznego jubileuszowego Światowego Kongresu Esperantystów w Białymstoku. Pomimo upływu czasu słowa Jakuba Szapiry nadal są aktualne, zmuszając czytelnika do poważnej refleksji nad przyszłością esperanta i ruchu skupionego wokół tego języka.

Nie było moim zadaniem przedstawienie całościowego obrazu literatury esperanckiej. Ograniczyłem się tylko do zwrócenia uwagi na to, co stanowi o jej odrębności. Tworzą ją pisarze, którzy są reprezentantami różnych narodów i którzy wybrali świadomie w tym celu język międzynarodowy, stworzony przez Ludwika Zamenhofa pochodzącego z Białegostoku. Od wielu lat czynnie uczestniczę w życiu literackim Esperancji. Badaam historię literatury. Spotykam się i rozmawiam z pisarzami. Coraz lepiej rozumiem zachodzące procesy literackie i stwierdzam, że coraz bardziej aktualne stają się słowa naszego wielkiego Mistrza, Williama Aulda, wypowiedziane trzydzieści lat temu: „Literatura narodowa jest obrazem różnic między ludźmi, natomiast kultura

esperancka odzwierciedla międzyludzkie podobieństwa."

*opracował Tomasz Chmielik, wiceprzewodniczący Akademii
Literatury Esperanckiej.*

Eugeniusz Szulborski

O odmierzaniu przestrzeni i czasu

Mam przed sobą debiutancki tom wierszy Ireny Batury noszący tytuł „Odmierzam przestrzeń i czas”. I choć jest to debiut książkowy, Autorka jest znaną w Augustowie i na Białostocczyźnie poetką pochodzącą z rodziny tkwiącej w kulturze przynajmniej od dwóch pokoleń. Jej teściem był Anatol Batura, założyciel Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku, świetny prozaik, gawędziarz i humorysta. Mąż Wojciech to historyk, miłośnik Augustowa, Kanału Augustowskiego, znawca dziejów Suwalszczyzny. Chyba się nie pomylę, jeśli stwierdzę, że miłością do przeszłości „zaraził” Irenę. Stąd publikacje ich obojga w fachowej prasie historycznej i wydawnictwach naukowych. Zajmują się eseistyką regionoznawczą i krajoznawczą. Irena Batura jest autorką przewodników, m.in. „Po ziemi sejneńskiej” (2001) i szkiców historycznych drukowanych w „Jaćwieży”. Wiersze publikuje nie tylko w prasie regionalnej. Jej utwory znaleźć można w antologiach, m.in.: „Tam prosto do Augustowa” (2007), „Na skrzydłach słów” (2009). Jak sama twierdzi, interesuje się zielarstwem i turystyką. Szwagier Ireny, Juliusz Szczęśny jest grafikiem, autorem plastykonów zdobiących omawianą książkę. W jego życiorysie można przeczytać, że *Specjalizuje się w ekslibrisach, które wielokrotnie prezentował na wystawach indywidualnych w kraju i za granicą. Jest w tej*

dziedzinie grafiki laureatem wielu konkursów. Pisz też wiersze oraz artykuły o tematyce plastycznej i pedagogicznej.

Książka „Odmierzam przestrzeń i czas” nie wygląda na debiutancką. Już na pierwszy rzut oka widać fachowców, którzy ją przygotowali. A jeśli fachowcy, to Autorka musiała na nich zasłużyć. Do byle jakich wierszy fachowcy nie zaglądają. Tom podzielony został na trzy działy: „Zakradłam się do pamięci”, „Wyłaniający się z mgły ludzie” i „Błogosławione wędrowanie”. Poprzedza je wiersz „Muza inna niż wszystkie”, a kończy „Muza wędrująca” Stefana Maciejewskiego i „Posłowie” Barbary Wojciulewicz.

Wiersze Ireny Batury są zapisami czasu i pamięci, wracaniem do snów i losów ludzi odeszłych, do ich mądrości. Jednocześnie w jakiejś mierze kroplą historii i świadectwem bliskości wielokulturowej, sztucznie rozdzielanej przestrzeni. Jest w nich ożywiona postać babki, migawki rodzinne z czasów obu wojen światowych nasycone prawdą, nie wydumaniem. Pamięć odeszłych przywoływana jest po imieniu. Autorka kreśli sylwetki jakby wsłuchując się w człowieka, rysuje portrety przyjaciół w sposób bezpośredni czyniąc ich bohaterami wierszy. Stąd obok utworów z dedykacjami są takie, które są szkicami, że tak powiem, osobowości, obrazami dusz. Do takich tekstów zaliczyłbym wiersze „Janina” (s. 52), „Józka” (s. 53), „Olgierd” (s. 54), „Wojtek” (s. 55), „Stefan” (s. 56).

W książce Ireny Batury żyją ludzie, ale też pulsuje przyroda. Widoczne jest zainteresowanie ziemią, na której przychodzi Autorce poszukiwać przeszłości, wędrować. *Za każdym wzgórzem inna zieleń / inne zapachy w drga-*

jącym powietrzu (s. 59). Drogi mają swoją logikę / wiadomą po ich przemierzeniu (s. 60). Napotkany zielarz zaprasza / żeby usiąść na trawie / Kobieta pokazuje swój urobek / wiadro czarnych jagód (s. 62). Idąc w górę rzeki przyklekam nad każdym jej / ramieniem / i pytam – czy to ty płyniesz od źródła? (s. 63). W tekstach tych w równej mierze co fascynacja przyrodą widoczne jest zauroczenie w legendach, w przekazach historycznych, w prawdach tkwiących w datach i nazwiskach. Jest tu więc hrabia Karol Brzostowski i Joachim Chreptowicz, rok 1812 i 1833... Zamykam oczy i wsłuchuję się w dawne odgłosy / ale / turkot kół żelazniaków na drodze / tłumi piasek / i szmery nowszej historii (s. 69). Odeszły w zapomnienie malwy / znikły ławeczki / Zza skalnych ogródków / tynkowane ściany przysłonięte tujami / więcej chłodem (s. 71). Ja mówię / – Jesteś moim największym szczęściem / Ty mówisz / – Żyć bez ciebie już nie mogłbym // Czar trwa przez cały dzień (s. 73). A więc miłość. Nie mogłoby jej przecież zabraknąć. Czar książki trwał będzie znacznie dłużej niż jeden dzień. Decyduje o tym piękny język, styl mieszczący się w ramach wiersza i prozy poetyckiej przypominającej niekiedy gawędziarstwo. Zapis graficzny decyduje, że są to dobre wiersze z własnym „ja” Autorki.

Grafiki Juliusza Szczęsnego Batury wykonane są techniką stosowaną przez artystę od lat. Te konkretnie umieszczone w książce są swego rodzaju podsumowaniem tekstów, z którymi je sprzężono. Są uzupełnieniem kompozycji poetyckiej. Na tym przecież polega walor dobrej ilustracji.

Mieczysław Wojtasik

Na drodze Jego milczenia

Z bogactwa doświadczeń życiowych, głębokiej samowiedzy, wytrwałości, umiejętności zestrojenia się – używając formuły Antoniego Kępińskiego – z własnym „rytmem życia” wyrasta dar patriarchalnego widzenia i syntezy człowieczego losu posiadany przez Eugeniusza Szulborskiego (1938), absolwenta UMCS, historyka, poety, aforysty, satyryka, autora ponad czterdziestu książek (sic!). Współtworzył on i przez wiele lat prezesował Nauczycielskiemu Klubowi Literackiemu w Białymstoku, będąc redaktorem wydawanego przezeń bardzo wartościowego kwartalnika literackiego „Najprościej”, a także kwartalnika Galerii im. Sleńdzińskich pt. „Ananke”. Jest również współtwórcą ogólnopolskiego konkursu poetyckiego „O Buławę Hetmańską”.

Zaledwie trzy spośród licznej plejady książek Szulborskiego zostały wydane do roku 1988, czyli w czasach tzw. „przejściowych trudności”, zależnych od „panów w ceratach” (jak ich nazywał Prymas Tysiąclecia w „Zapiskach więziennych”), a wysyp nastąpił dopiero po transformacji na „trudności obiektywne”. W dorobku twórcy przeważają zbiorki poezji, prozy poetyckiej, fraszek (w tym jeden dwuautorski pt. „Kobiety od głów do stóp”) i aforyzmów drukowanych ponadto w znamienitych antologiach, jak np. „Księga aforystyki polskiej XXI wieku. Potęga myśli” (Katowice 2002). Cały Szulborski na półce – to niemały wkład w księgozbiór. Ale nie tylko liczba ty-

tułów zdoła poetę czy pisarza, chociaż każda pozycja w jakiejś mierze podpira i tłumaczy pozostałe. Przecież, jak przypominał nam Jan Paweł II w „*Liście do Artystów*”: „*Dzieła sztuki mówią o twórcach, pozwalają poznać ich wnętrza i ukazują szczególny wkład każdego z nich w dzieje kultury*”. Godna podkreślenia jest ta stale odnawiająca się moc twórcza Szulborskiego, to utwierdzenie się na wysokim pułapie czasu, skąd jak na dłoni widać linie i splątki losów ludzkich.

Najnowsza, licząca zaledwie 36 stron książeczka pt. „*Ślady*”, to szczególny obraz świata – fundamentu chrześcijańskiej religii i duchowego światła w naszych wnętrzach. Podejmując wędrówkę po Ziemi Świętej, śladami Chrystusa, Szulborski stanął przed surowym sprawdzianem własnej tożsamości duchowej i wrażliwości emocjonalnej. Test sprawdzianu otwiera słowami: „*Nie jest łatwo przejść po śladach Pańskich/ szczególnie wtedy kiedy nie możesz zdecydować się/ w jaki sposób odczytać blask gwiazdy/ na nieboskłonie północy (...) Widziałem jak Byłeś rozciągany na drzewie/ dlatego pewnie teraz/ znalazłem się na drodze Twojego milczenia*” (s. 7). Chrystusa milczenie a ludzkie – to dwa przeciwstawne bieguny. W Boskim milczeniu Chrystusa wiecznie trwa rozgwar wszelkich form ziemskiego (i pozaziemskiego?) życia, jest ono pełnią, natomiast milczenie człowieka jest pochodną trudności porozumienia się z dziełem Stwórcy, albo wynikiem załamania się głosu z rozpacz czy braku nadziei. I graniczy z pustką. Stanąć na drodze **Jego milczenia**, to osiągnąć pełnię twórczej ekspresji.

Sto pięćdziesiąt jeden lat temu 21-letni hrabia Stanisław Tarnowski, nazywany ojcem polskiej polonistyki, profesor i dwukadencyjny rektor UJ, został wysłany przez swoją matkę do Ziemi Świętej z przeświadczeniem, że odniesie „*znakomitą korzyść rozszerzeniem myśli*

i serca". W relacji młodzieńca jest passus, iż „w rozterce z samym sobą błędził człowiek po mieście, szukając, czy gdzie nie znajdzie harmonii między niejsem a jego przeszłością". Są też przejawy rozczarowania, choćby na widok tłumów (już wtedy) różnych wyznań w bazylice Grobu Pańskiego. Szulborskiego też chyba nie podnoszą na duchu „stragany po obu stronach Drogi Pańskiej/ i handlarze uliczni wymieszani ze złodziejaskami" (s. 15).

Media nasze („Angora" 15/982) donoszą o tzw. „syndromie jerozolimskim", czyli o zaburzeniu świadomości powstałym w wyniku silnego przeżycia duchowego, o znamionach szaleństwa, zdarzającym się średnio 20 osobom rocznie. Syndrom najczęściej dotyka odwiedzających po raz pierwszy święte miejsca chrześcijan, głównie protestantów i mormonów, rzadziej Żydów, a najrzadziej muzułmanów. U chrześcijan najpopularniejsze są wcielenia w postaci Chrystusa, Matki Boskiej, Jana Chrzciciela i proroka Eliasza. Myślę zatem, iż w dobie nasilającego się kultu mamony, może nastąpić run ku wcieleniom w Judasza...

Książeczka Szulborskiego zawiera wiele głębokich refleksji ujętych w celne, aforystyczne przesłania, na przykład: „a przecież ludzie pozostali tacy sami/ jak wtedy kiedy chodziłeś po ziemi/ ciągle nakładają Ci krzyż/ i nie pytają o sens bólu (...) poczucie pewności przeradza się w grzech/ w chęć dorównania Ci mądrością/ a mądrości nie kupuje się/ na Pchlim Targu w Warszawie" (s. 9); „będziesz we mnie i ze mną na polskiej drodze/ pytań i spóźnionych odpowiedzi" (s. 23); „modlitwa pulsuje różnymi językami/ i w różnych rytach staje się wiatrem/ zmierzającym do Ciebie" (s. 25); „Obok Twoich ścieżek/ nawarstwiło się tyle czasu że dziś trudno/ oddzielić właścicieli straganów od proroków (...) z Twojej świątyni pozostała tylko Ściana Płaczu" (s. 27). I jeszcze dwie frazy z przedostatniego i ostatniego frag-

mentu lirycznych reminiscencji: „*Próbuje łączyć kawałki w jedną całość (...) Całość nie jest całością/ jeśli słowa nie łączą a dzielą/ jeśli człowiek daleki jest/ od człowieczeństwa*” (s. 34).

Na dwóch fotografiach (s. 18) jest sykomora pamiętająca czasy Jezusa. Żyje. Tak i w nas, chrześcijanach, żyje potrzeba upamiętnienia fizycznych i duchowych śladów Jezusa i nieustannego marszu do pełni człowieczeństwa, za Jego Boskością. Poeta z Białegostoku świetnie to pojął, doświadczył i wyraził.

Eugeniusz Szulborski: *Ślady*, NKL, Białystok 2008, ss. 36.

Spis treści:

Poezja:

Eligiusz Dymowski

Modlitwa zmęczonych oczu	3
Zima na Podlasiu	3
Z rozmyślań nad Księgą Życia	4
Nim staniesz się snem	4
Przyjaciół kot	5
Ogrody	6

Mirosława Niewińska

Kobieta od Początku Świata	7
Wtajemniczenie	8
Nad Narwią	8

Erazm Stefanowski

Nie myśl	10
Pod krzyżem	10
Dziękuję	11
Bez Ciebie	11
Zamiast modlitwy	12
Modlitwa księdza Michała Sopočki	13
Ukrzyżowanemu	14
Liryk zimowy	14

Agnieszka Suchowierska

*** (przydarzyły się trzy historie...)	16
*** (ironia to dobry środek znieczulający...)	16
*** (każdy wiersz...)	16
*** (nie warto mieć żalu do nikogo...)	17
*** (wyraźnie czuję...)	17
*** (skrzywdziłam niechący...)	17
*** (twoich oczu...)	18

*** (nie wiadomo nawet...)	18
Truskawka	19
*** (kiedy wszystko uśrednimy...)	20
Kazimierz Kondrat	
Zielona Pani i kot	21
Ciocia Ola i kot Tolik	22
Pragnienie Jarzębiny	23
Kwaciarka	24
Bez końca	24
Nie czekaj	25
Bard	26
Zofia Olek-Redlarska	
Jesteś	27
Ten mały	28
I jeszcze o nim	28
Z daleka	29
Sen z porcelany	30
Janina Kozak-Pajkert	
Dedykacja Pielgrzymowi	31
Odpoczynek	32
Gdzie Cię pogrzebią	32
Anna Tomczyk	
Poezja	34
*** (Siedzę w ogrodzie...)	35
*** (Czy trawa...)	35
*** (Słonecznik...)	36
*** (Wychodzę z domu...)	36
*** (Wszystko już...)	37
Krystyna Gudel	
Dym	38
Budzi się las	39
*** (wstrzemięźliwość...)	39
*** (nieokiełznana noc...)	40
Wolontariusz i staruszka	41

Irena Grabowiecka

*** (Ponad mądrością myśl prosta...)	42
*** (Spotkałam cię na perci...)	42
*** (I znowu jestem z Wami...)	43
*** (Na chechlańskim zalewie...)	43
*** (Milczenie matek...)	44
*** (Nad Czarną księżyc krzyż...)	44
*** (Aniele stróżu mojego wiersza...)	44

Irena Słomińska

Z dzieciństwa	45
Spokój	46
*** (miód gryczany...)	46
*** (ta szafa...)	47
Gdzie miejsce na szarość	48
*** (wilgoć znaczy plamy...)	49
*** (dam ci prezent pod choinkę...)	50

Joanna Pisarska

Spacer w słońcu	51
Szeptem	52
Ostatnia rozmowa	52
*** (tyle jeszcze nie odkrytego...)	53
*** (dotknij raz jeszcze ...)	54

Barbara Lachowicz

*** (Między przybytkiem a ołtarzem...)	55
*** (W nitkach babiego lata...)	55
*** (Na wyciągnięcie ręki ...)	56

Zofia Piłsiewicz

Wileńska impresja	57
Notatka z podróży do Portugalii	58

Ida Matysek

*** (Anioły bez usterek...)	60
*** (bambawolą armatele...)	60
*** (Zamiast atramentu nocy...)	61
*** (Niewidzialne widzialne...)	61
Barany	62

Modlitwa	63
Tajemnice	63
Warriors	64
Janusz Sowiński	
Ojciec	65
Dni odchodzą	66
Nie gaś	67
Najpierw	67
Jest taki dom	68
Zofia Metelicka	
Lecą cicho kartki z kalendarza	69
Ojciec Święty	69
Kapliczka przy polnej drodze	70
Grażyna Cylwik	
Pejzaże domu	71
Kafarnaum	71
*** (Ziemia Święta...)	72
Ks. Jerzemu Popiełuszko	72
Niebo spadło nam na głowę	73
Łagiewniki	73
Regina Świton	
*** (kraj pełna zadziwień...)	74
Zapomniana kapliczka	75
Joanna Dawidziuk	
*** (w moim domu...)	76
*** (Powtarzam...)	76
*** (Podobać się...)	77
*** (Pomarzę...)	77
*** (Jesteś małym pocałunkiem...)	77
*** (Mówisz...)	78
*** (Panie, który jesteś...)	78
Ewa Danuta Stupkiewicz	
Stolica	79
Podróż do Gdańska	80

Marek Dobrowolski

Uśmiechy	81
*** (wypełniasz mnie sobą...)	81
Poeta	82
*** (żyłeś pół wieku...)	82

Robert Panek

Maj	84
Pieśń ciała	85
Wróc ze mną w tamta dni	86
Tropikana z Karaibów	87
Miłość	88
Mój grzech	89
Wydłużony cień	89

Grażyna Łapin

Wiersz dla mamy	91
Wiersz dla taty	92
*** (nakarmiłeś mnie przyjaźnią...)	94
Drzwiczki wersja: historia	95
Drzwiczki wersja: wrażenia	95
Wyobrażenia	96

Ryszard Kondratowicz

Imię	98
Królestwo	98
Wsparcie	98
W szlachetnym tym razie	99
Przez przypadek	100

Aforyzmy:

Kazimierz Słomiński	101
Andrzej Polakowski	105

Proza:

Apoloniusz Ciołkiewicz

Daj adnoho	106
------------------	-----

Andrzej Jarosz	
Harlekin jeziorny	111
Józefa Drozdowska	
Bzy	137
Czajki	140
Czerwiec	142
Dziurawiec	144
Jarzębina czerwona	145
Lampy, lampki, fanfary	147
Lipa	150
Przemijamy	152
Zegary	155
Roman Kowalewicz	
Stolik we dwoje	159
Joanna Pisarska	
Stolik dla dwojga	167
Regina Kantarska-Koper	
Migrena	188
Janina Kozak-Pajkert	
Skobel i rygiel	195
Dariusz Wiszowaty	
*** (Zastanawiam się...)	200

Przekłady:

Zbigniew Głuszcak	
Iwan Kryłow-Bajki	202

Dramat:

Michał Siedlecki	
Wrota	210

O literaturze:

Tomasz Chmielik	
Słów parę o literaturze esperanckiej	255

Recenzje:

Eugeniusz Szulborski

O odmierzaniu przestrzeni i czasu 280

Mieczysław Wojtasik

Na drodze Jego milczenia 283

Epea . J.8 (2009)
ci

ISBN 978-83-60368-37-4